

Heather Graham Pozzessere

Inne imię miłości

tłumaczyła Maria Zaleska

Rozdział 1

Tył rozpędzonego samochodu podskoczył i zarzucił jak szalony. Brad próbował zapanować nad szewroletem, zaciskając wargi. Gdyby wyrzuciło go poza dwupasmową drogę, wylądowałby w okolicznych bagnach, w „bezkresnym morzu traw”, rozparzonym i podmokłym – istnym piekle na ziemi, zapomnianym przez Boga. Podążał na zachód aleją Krokodyli – szosą mającą po obu swoich stronach do zaoferowania znużonym podróżnym jedynie ciągnące się kilometrami błota porośnięte trawą, rozdzierający ciszę krzyk ptaka oraz złowrogie łypnięcia niezliczonych gadów.

Nie było tu nigdzie ani budek telefonicznych, ani barów szybkiej obsługi, ani stacji benzynowych. Nic, tylko bezkresne mokradła Everglades.

Brad nienawidził mokradeł. Nie miało to teraz jednak najmniejszego znaczenia.

Udało mu się w końcu zapanować nad samochodem. Zerknął szybko do lusterka – Michaelson był wciąż z tyłu. Spostrzegł, że spod maski starego szewroleta wydobywają się kłęby pary. Ze też, do cholery, nie mógł ukraść jakiegoś lepszego wozu. Teraz, na tym kompletnym pustkowiu, przyszło mu uciekać zdezelowanym gratem, który w każdej chwili gotów był się rozkraczyć.

Pot zrosił mu czoło. Wiedział, że bez samochodu nie ma żadnych szans. Michaelson dopadłby go w mgnieniu oka i zastrzelił jak kaczkę.

W silniku coś strzeliło i spod maski wydobył się ponownie ogromny kłąb pary, przesłaniając widok na drogę. Brad wyteżył wzrok – wydawało

mu się, że zobaczył w oddali, po lewej stronie, błotnistą drogę wiodącą na południe. Zerknął znowu w lusterko i stwierdził, że Michaelson jest tuż za nim.

Niespodziewanie skręcił gwałtownym zrywem w lewo. Koła zaczęły buksować, a samochód zareagował wyciem na ten raptowny manewr. Przedzierał się dalej przez coś, co trudno było nazwać drogą. Szorstkie trawy siekły o karoserię i szyby, a bzykania owadów nie było w stanie zagłuszyć nawet rżenie przegrzanego silnika.

Nagle auto ugrzęzło w błocie. Brad zaczął szarpać z całej siły kierownicą, dociskając rozpaczliwie pedał gazu do deski w nadziei, że uda mu się wprowadzić pojazd w ruch. Koła kręciły się w miejscu, a szewrolet ani drgnął.

Wyskoczył z samochodu. Czarne blocko przelało mu się przez buty, mocząc wełniane skarpety, a następnie nogawki, aż po łydki.

Zamarł na moment i zaczął nasłuchiwać.

Usłyszał wyraźnie zbliżający się samochód Michaelsona, odbezpieczanie broni, a następnie wystrzał. Tuż koło ucha przeleciała mu ze świstem kula. Za chwilę jeszcze jedna, lądując z pluskiem w błocie – Brad poczuł nieomal jej muśnięcie.

Zaczął uciekać. Niech to szlag trafi! Jego broń pozostała w miejscu noclegu, razem z ciałem Taggarta. Ścigało go trzech facetów z gotową do wystrzału bronią, a on nie miał przy sobie nawet pilniczka do paznokci.

Czyżby miał skończyć tak idiotycznie – w trakcie ucieczki, bez możliwości stawienia jakiegokolwiek oporu, w obrzydliwym, rojącym się od insektów, ponurym, zgniłym trzęsawisku?

Szedł z trudem dalej, grzęznąc w błocie. Nie zdążył ujść więcej niż

dwadzieścia kroków, gdy zgubił oba buty. Starał się biec, ale była to śmiertelna męka. Tak naprawdę to zupełnie nie miał gdzie uciekać – wszędzie dookoła były zarośnięte szuwarami bagna, w których roiło się od grzechotników, węży koralowych, krokodyli oraz moskitów.

Kolejna kula przeleciała ze świstem tuż koło jego głowy. Poczul na policzku podmuch powietrza.

Zaczęło do niego powoli docierać, że zbliża się noc. Owady bzyczały coraz głośniej; na niebie, nad horyzontem, zapłonęła krwistoczerwona luna. Spojrzał za siebie, by skontrolować sytuację. Jak okiem sięgnąć widać było tylko morze traw – wysokich, ostrych jak szpilki, strzelistych traw, których ukłucia czuł na dłoniach i policzkach. Indianie nazywają trafnie tę zarośniętą szuwarami okolicę Bagnistą Krainą.

Brad usłyszał znowu śmiercionośny świst. Oddychał ciężko, czując przy tym ostry ból, jakby go dźgano nożem. Płuca mu omal nie pękły, ręce miał pocięte do krwi, ale brnął dzielnie dalej. Raptem zapadł się – i wylądował w bagnie. Kopał nogami z całych sił, wywijał ramionami jak wiatrak, przyskajac dookoła błotem, aż w końcu z trudem wyszedł z powrotem na brzeg. Odwrócił się na plecy, ledwo dysząc. Leżał otoczony zewsząd szuwarami. Był ciekaw, czy wciąż go ścigają.

– Myślisz, żeśmy go trafili? – doszedł go z oddali cichy głos. Zdaje się, że to był Suarez – najbardziej żądny krwi z nich wszystkich.

Ktoś zachichotał.

– Nieważne. Jeśli spudłowaliśmy, robotę dokończy za nas Stary Dziadek Krokodyl.

– Cicho bądź. Musimy spróbować wpakować mu kulę prosto w łeb, a nie liczyć na krokodyla – wycedził lodowatym tonem Michaelson, który

miał zawsze kamienną twarz i nigdy się nie śmiał.

Zachodzące słońce pokryło karmazynowym całunem rozciągające się wokół moczary. Brad, tłumiąc jęk, dźwignął się z ziemi resztkami sił i zaczął znowu uciekać, ciężko dysząc. Miał uczucie, że przy każdym wdechu płuca wypełniają mu się czerwonym wilgotnym powietrzem. Wszystko wokół było czerwone: szuwary, a nawet czapla, która przycupnęła samotnie na leżącym w oddali drzewie.

Znowu rozległ się strzał.

Brad poczuł ostry przeszywający ból w skroni. Dotknął odruchowo głowy. Jego palce były całe we krwi – równie czerwonej jak otaczający go świat.

Biegł dalej, zataczając się. Miał wrażenie, że owady bzyczą coraz głośniej. Nie słyszał już żadnych głosów ani śmiechu. Spojrzał w górę – słońce już prawie zaszło. Zaczęło się ochładzać i pojawił się lekki wiaterek.

Przeszył go zimny dreszcz.

Gdy zapadnie noc, zrobi się ciemno jak w grobie. Węże, gady, ptaki i dzikie orchidee spowije hebanowa, nieprzenikniona czerń.

Na razie na horyzoncie rozwieszały się wciąż pasma różu, złota i ognistej czerwieni. Brad nie był jednak w stanie ich dojrzeć. Zrobiło mu się bowiem ciemno przed oczami, a dźwięki docierały do niego jak przez mgłę. Czuł, że powoli zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością. Zdawał sobie sprawę, że jeśli przewróci się tu gdzieś nieprzytomny, może nie przeżyć nocy. Prawdopodobnie utonie w bagnie albo padnie łupem okrutnych drapieźników czy też krwiożerczych pijawek, od których roiło się na grzęzawisku.

Za wszelką cenę próbował utrzymać się na nogach. Nie miał jednak siły brnąć dalej. Zatrzymał się, zataczając się w miejscu. Świat wirował mu przed oczami.

Znowu dotarło do niego potworne bzyczenie. Te cholerne owady. W życiu jeszcze nie widział ani nie słyszał tylu insektów naraz. Kłębiły się ich całe chmary.

Nagle upadł. Ostatkiem świadomości poczuł jakby delikatne muśnięcie fali, po czym zapadł się w kompletną ciemność.

Wendy krzyknęła z przerażenia. Wyłączyła motor i przez kilka sekund wpatrywała się w niego, osłupiała, zanim podплыnęła łódką bliżej.

To coś wyglądało jak jakiś potwór z Czarnej Laguny – było jedną wielką bryłą błota. Wyrosło przed nią niczym zjawą.

Wendy przyzwyczajona była do widoku krokodyli i węży oraz różnych innych oślizgłych istot. Ale jeszcze nigdy w życiu nie spotkała w Everglades czegoś takiego.

Po chwili już wiedziała, że jest to wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna. Nawet potężny, stwierdziła, gdy, stękając, usiłowała wciągnąć go do łódki. W końcu jej się udało, ale się przy tym namęczyła. Gdy odsapnęła po wysiłku, starała się ocenić, w jakim stanie jest nieznajomy. Sprawdziła tętno – na szczęście mężczyzna jeszcze żył.

Zamoczyła rękę w wodzie i zaczęła obmywać mu twarz z błota. Spostrzegła na skroni ranę – mała bruzda wciąż krwawiła. Co mu się mogło stać? Może się potknął i uderzył o coś? Pokiwała z politowaniem głową i uśmiechnęła się lekceważąco. Zwykły mieszczuch. Widać to po nim z daleka. Pod warstwą błota dostrzegła modnie skrojony

trzyczęściowy garnitur, jedwabny krawat i bawełnianą koszulę. Mężczyzna nie miał butów – zgubił je zapewne wlocie. Westchnęła i znowu pokiwała głową. Kiedy tacy ludzie zrozumieją w końcu, że z bagnem nie ma żartów? No i co teraz z nim począć?

Przysiadła na piętach, bijąc się z myślami. Mężczyzna nie był zbyt ciężko ranny, tak że nie musiała z nim jechać do szpitala. Nie miała pojęcia, skąd pochodzi, więc nie mogła go odwieźć do domu. Gdyby zostawiła go tu, na bagnach, oznaczałoby to dla niego niechybną śmierć.

Westchnęła znowu. Nawet jeśli ranny wymagał hospitalizacji, to i tak musiała go najpierw zabrać do domu, żeby zadzwonić do Fort Lauderdale po karetkę albo jakikolwiek inny pojazd. Jej samochód był od kilku dni w warsztacie.

– Szanowny panie, czy zechce pan udać się ze mną do domu na obiad?
– mruknęła pod nosem, po czym zaśmiała się niewesoło. Od dawna nie zapraszała mężczyzn na obiad. Z wyjątkiem Leifa, ale to zupełnie co innego.

Zapuściła silnik i ruszyła w głąb bagnistego lądu. Zapaliła lampę, gdyż zaczęło się ściemniać, a na moczarach noc zapadała bardzo szybko.

Po około trzech kilometrach dotarła do celu. Zgasiła silnik i przycumowała łódkę do pomostu. Spojrzała na bezwładne ciało i zaczęła zastanawiać się, jak sobie poradzi. Niepokoiło ją, że mężczyzna jest wciąż nieprzytomny.

Może doznał wstrząsu mózgu? Najpierw powinna go była umyć, a potem dokonać szczegółowych oględzin.

Zostawiła go na chwilę samego i poszła do domu po nosze. Wiedziała, że nie poradzi sobie inaczej sama z takim ciężarem.

Dom był niezbyt duży, ale zupełnie wystarczał na jej potrzeby. Wendy czuła się w nim świetnie. Miała generator prądu elektrycznego oraz własny system oczyszczania wody. Część mieszkalną stanowiły dwie sypialnie, salon oraz duża kuchnia z jadalnią – wszystko urządzone stylowymi meblami. W oknach wisiały brunatne bawełniane zmyślnie udrapowane zasłony. Aż trudno sobie wyobrazić, że najbliżsi sąsiedzi mieszkali ponad trzydzieści kilometrów stąd.

Wyciągnęła spod łóżka w gościnnej sypialni nosze i pospieszyła z powrotem do łódki. Nieprzytomny mężczyzna był ciężki jak kłoda, a więc nieźle się musiała nagimnastykować, ale w końcu udało jej się wciągnąć go na nosze. Spociała się przy tym jak mysz.

Postanowiła go rozebrać aż do slipów, bo choć mieszkała na terenach bagnistych, starała się nie wnosić do domu błota. Co by było, gdyby ranny ocknął się nagle w momencie, gdy go będzie rozbierała? Wzruszyła ramionami – powinien być jej tylko wdzięczny. Gdyby nie ona, pewnie by już nie żył.

Zdjęła bez trudu skarpetki. Z marynarką nie poszło jej już tak łatwo. Musiała go przy tym dźwignąć w górę, ale nie dała rady. Tylko się zasapała. Doszła do wniosku, że zabłocone ubranie i tak się do niczego nie nadaje, więc postanowiła je rozciąć. Popędziła do domu po nożyczki. Nabrała jeszcze kubek wody, wzięła mydło i ścierkę. Zupełnie nie myślała o tym, że zajmuje się z takim oddaniem kompletnie obcym człowiekiem.

Gdy znalazła się znowu przy rannym szybkimi ruchami rozcięła jego ubranie. Uwolniła go z marynarki, kamizelki, krawata i koszuli. Zmyła delikatnie błoto z twarzy i ramion, po czym przyjrzała mu się z uwagą. Poczuła się trochę nieswojo.

Myślała, że ma ciemniejszą karnację, ale to zaschnięte błoto nadało skórze intensywniejszy kolor. Miał miodowożłote włosy z gdzieś jaśniejszymi pasemkami i twarz o wyrazistych rysach. Nos był długi i prosty, brwi pięknie zarysowane, kości policzkowe wydatne. Można było śmiało powiedzieć, że to przystojny mężczyzna. Wendy zastanawiała się, w jakim wieku jest nieznajomy. Oceeniła go na jakieś trzydzieści, góra czterdzieści lat.

Nie była w stanie go udźwignąć, gdyż był mocno zbudowany i silnie umięśniony. Zdaje się, że sporo czasu spędzał w siłowni. I na słońcu, sądząc po opalonej skórze. Wyglądał naprawdę całkiem niezłe.

Wendy wzdrygnęła się, zaskoczona, że była w stanie myśleć w ten sposób o obcym mężczyźnie.

Przeszukała kieszenie marynarki, ale znalazła w nich jedynie miętową gumę do żucia. Chciała zajrzeć do kieszeni spodni. Sklejone były wyschniętym błotem. Poluzowała pasek i próbowała zdjąć mu spodnie. Mocowała się z nimi przez chwilę, aż nagle puściły, tak że upadła do tyłu. Okazało się, że ściągnęła nie tylko spodnie.

Mężczyzna westchnął. Leżał na noszach goły, jak go Pan Bóg stworzył.

Wendy spłonęła rumieńcem. Zamarła, gdyż mężczyzna poruszył się i cicho jęknął.

Miała jak najlepsze intencje, próbowała jedynie udzielić pomocy rannemu; umyła go i uwolniła z zabłoconego ubrania. Zupełnie niechcący rozebrała nieznajomego do naga. Gdyby się teraz nagle ocknął, zupełnie nie wiedziałyby, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Cholera! – zaklęła pod nosem i zerwała się na równe nogi. Powinna nakryć obcego prześcieradłem, zanim oprzytomnieje. Chciała wyminąć go,

nie patrząc, ale uległa pokusie i zerknęła na nagie ciało.

Naprawdę był wspaniale zbudowany. Dobrze umięśniony, wysportowany, smukły, szeroki w barach, szczupły w talii, wąski w biodrach i długonogi. Miał mocno owłosiony tors – złotorude włosy porastające klatkę piersiową zwężały się na wysokości talii, poniżej zaś wiły się bujnie wokół przyrodzenia.

Wendy, osobie raczej powściągliwej, serce waliło jak młotem. Wzdrygnęła się na myśl, jak dawno nie widziała nagiego mężczyzny. Pomimo wszystko nie powinna się była przyglądać w ten sposób obcemu człowiekowi. Ostatnio w ogóle nie myślała o seksie, a teraz, na widok nieznanego zaczynały jej chodzić po głowie różne sprośne myśli.

Zakręciły jej się łyzy w oczach. Uprzytomniła sobie, że nie płakała już od niepamiętnych czasów. Nie był to jednak odpowiedni moment, by się rozczulać. Powinna się wziąć w garść i pójść do domu po prześcieradło.

– Do diabła... – Mężczyzna się ocknął. Zamrugał i usiłował się podnieść z noszy. Obrzucił wzrokiem swoje nagie ciało, po czym spojrzął w górę, na Wendy. Miał przedziwne, miodowe oczy, dokładnie w tym samym odcieniu co włosy. Malował się w nich gniew oraz strach. Wendy cofnęła się o krok, też trochę przestraszona. Przełknęła z trudem ślinę. Przez moment pożałowała, że nie zostawiła obcego na bagnach.

– Do diabła, kim ty jesteś? – spytał niskim, ochryłym – głosem, który zrobił na niej duże wrażenie. Aż się w niej gotowało od emocji.

– Jestem Wendy Hawk. A kim ty jesteś? – Mężczyzna gapił się na nią, milcząc, więc dodała nerwowo: – Ja tu mieszkam. Natknęłam się na ciebie na bagnach i udzieliłam ci pomocy.

Na twarzy nieznanego pojawił się delikatny uśmiech. Gdy się

uśmiechał, był jeszcze przystojniejszy.

– W ramach udzielania pomocy rozebrałaś mnie do naga, tak? – spytał wyraźnie rozbawiony.

Wendy zaczerwieniła się.

– Wcale nie miałam takiego zamiaru, ale... – Urwała speszona.

– Ale ubranie samo ze mnie spadło – dokończył z wystudiowaną uprzejmością.

– Oczywiście, że nie. Byłeś cały utyłany w błocie. Chciałam zdjąć z ciebie te brudy i niechcący ściągnęłam wszystko... Zamierzałam właśnie iść po prześcieradło, żeby cię przykryć, a potem wciągnąć do mieszkania, ale... jak widać... – Urwała znowu, by złapać oddech.

Mężczyzna nagle wstał. Co innego było przyglądać mu się, gdy leżał nieprzytomny, a co innego, gdy stał, pochylając się nad nią, z miną: patrzcie, oto ja!

– ... jak widać możesz poruszać się o własnych siłach – dokończyła. – Przestań! Czy ty naprawdę nie masz za grosz wstydu? Idę po prześcieradło...

– Przepraszam – rzucił przymilnie. Wendy zorientowała się, że jego uśmiech jest co najmniej dwuznaczny i wcale nie ma w nim skruchy. – Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że już się dosyć napatrzyłaś.

– Poczekaj – warknęła i pobiegła do domu. Przekopła w pośpiechu bielizniarkę, wyrzucając przy tym połowę jej – zawartości na podłogę, aż w końcu znalazła prześcieradło. Nieznajomy zamotał je sobie wokół pasa.

– To dziwne, ocknąć się gdzieś na mokradłach rozebrany do naga – stwierdził. Głos miał niski i bardzo zmysłowy.

Wendy przeszedł lekki dreszcz.

– Wybacz, ale chciałam ci tylko pomóc.

– Wiem – zaśmiał się i poprawił prześcieradło. – Ciekaw jestem tylko, jak byś się czuła, gdyby tobie przydarzyło się coś takiego.

– Co za bzdury – zachnęła się. – Mnie by się nigdy nie przydarzyło coś tak idiotycznego. Zbyt dobrze znam mokradła. A ty zapuściłeś się w głąb moczar, grzęznąc po pas w błocie. Powinieneś być mi wdzięczny, że uratowałam ci życie.

– Oczywiście jestem ci ogromnie wdzięczny – powiedział ciepło, po czym wskazał drzwi wejściowe za jej plecami. – Czy naprawdę zamierzałaś zaprosić mnie do środka?

Wendy zawahała się. Miała pewne obiekcje. Nie ufała mu. Był silny, dobrze zbudowany i miał nad nią przewagę fizyczną – to było oczywiste. Poza tym był jakiś spięty. Nawet gdy się uśmiechał, nie tracił czujności, bacznie obserwując wszystko wokół.

– Hej! Przecież to nie ja ciebie rozebrałem do rosołu – zagadnął, jakby umiał czytać w myślach.

Wendy nacisnęła kławkę, otworzyła drzwi i weszła do domu, ale mężczyzna nie poszedł w jej ślady – jego uwagę przykuło bowiem pocięte w strzępy ubranie. Spojrzał na nią zdumiony.

– Rozebrałbym się sam na twoje życzenie, gdybym tylko wiedział, jak bardzo ci na tym zależy – skomentował.

– Martwiłam się o twoje życie! – prychnęła.

Nieznajomy skinął głową i wszedł do środka, przytrzymując rękoma prześcieradło.

– Dziękuję.

Rozejrzał się uważnie dookoła. W domu panował przyjemny chłód,

dzięki klimatyzacji. Nic nie umknęło jego uwagi. Prześlizgnął się wzrokiem po dywanie, bujanym fotelu, wygodnej, dużej kanapie i stoliku z wiśniowego drewna, aż w końcu spojrzał na Wendy, kompletnie zdezorientowany, co sprawiło jej nie ukrywaną przyjemność.

– Gdzie my właściwie jesteśmy?

– W Everglades – odparła słodko.

– Ale konkretnie gdzie?

– Na wschód od Naples, północny wschód od Miami i dokładnie na zachód od Lauderdale.

Nieznajomy zmarszczył brwi.

– A więc dokładnie w samym środku mokradeł Florydy. I ty tutaj mieszkasz?!

– Zgadza się. – Wendy uśmiechnęła się uroczo i poszła do kuchni, gdyż miała nieodpartą ochotę na kieliszek wina. Miała też nadzieję, że wytrąci tym jeszcze bardziej z równowagi niespodziewanego gościa.

Wyjęła z lodówki butelkę rieslinga rocznik 1972 i sięgnęła do szuflady po korkociąg. Nagle, tuż za nią, rozległ się głos:

– Pozwól, że ja to zrobię.

Zaskoczył ją tak, że bez słowa podała mu korkociąg. Przysunął się bliżej. Wendy odczuła miłe ciepło. Oparła się o blat.

– Do tej pory mi się nie przedstawiłeś.

– Nazywam się Bill. Bill Smith.

– Wiedziała, że kłamie. Zastanawiała się tylko, dlaczego. Fałszywych nazwisk używają zazwyczaj przestępcy, ale on nie wyglądał na zbrodniarza. Z drugiej strony, wszystko jest możliwe. W końcu znalazła go nieprzytomnego na bagnach w dość podejrzanych okolicznościach.

– Co robiłeś na grzędawisku?

Korek wystrzelił z hukiem. Wendy sięgnęła po kieliszki – zadzwoniły cicho, bo trzęsły jej się ręce. Przybysz nalał wina i wzniosł kieliszek.

– Na zdrowie. Zgubiłem się. Brnąłem w bagnie rzeczywiście jak idiota, bo kompletnie nie znam tej okolicy.

Wendy postanowiła wyciągnąć z niego całą prawdę. Uniosła kieliszek, patrząc mu prosto w oczy.

– Bagno to raczej dziwne miejsce na spacer.

– Zepsuł mi się samochód. – Wziął butelkę i zaczął studiować nalepkę. Po chwili dodał miękko: – Jestem ci niezmiernie wdzięczny, że mi pomogłaś. Dziękuję.

Wendy skinęła głową, niezbyt przekonana.

– Trzeba coś zrobić z twoją raną na głowie.

– Jaką raną? – Zmarszczył brwi, po czym dotknął prawej skroni. – Aha, tutaj.

– Zdaje się, że trzeba będzie założyć kilka szwów.

– Nie, nie ma sensu. Samo się zagoi. Nic mi nie będzie.

– Przemyć ci ranę? – zaproponowała.

– Będę ci bardzo wdzięczny. – Znowu dotknął zranionego miejsca, po czym przeczesał palcami włosy. – Wciąż jeszcze mam wszędzie pełno błota.

– Możesz wziąć prysznic, jeśli chcesz.

– Chętnie.

– Łazienka jest w korytarzu. Drugie drzwi po lewej stronie. Bardzo proszę, nie krępuj się.

– Dziękuję – odstawił nie dopity kieliszek i wyszedł z kuchni. Po chwili

w korytarzu trzasnęły drzwi.

Wendy przygryzła dolną wargę i zamyśliła się na moment. Poszła do sypialni i przeszukała dolną szufladę komody. Znalazła podkoszulek, dzinsy i męskie slipki. Nieznajomy miał mniej więcej tę samą posturę co Leif, był tylko nieco wyższy.

Gdy przechodziła znowu korytarzem, usłyszała, że wciąż bierze prysznic. Zapukała do drzwi.

– Mam dla ciebie czyste ubranie. Powinno pasować.

Wróciła do kuchni i upiła łyk wina. Miała wątpliwości, czy robi słusznie, pomagając obcemu. Niepokoiło ją również, że zaczyna na niego dziwnie reagować.

Otworzyła lodówkę, wyjęła z niej warzywa, pokroiła w plasterki i wrzuciła do garnka. Następnie dodała pokrojone w kostkę mięso kurczaka i zaczęła dusić potrawę na ostrym ogniu. Była tego cała fura.

Mężczyzna pojawił się w kuchni, czysty i w świeżym ubraniu, z mokrymi włosami zaczesanymi do tyłu.

– Ale tu pięknie pachnie.

– Dziękuję.

– Czy mam przez to rozumieć, że jestem zaproszony na obiad?

– Nie masz innego wyjścia.

– Dlaczego nie?

– Mój samochód jest w naprawie. Warsztat zamknęli o piątej. Mam do dyspozycji wyłącznie łódkę. Mogę cię podrzucić z powrotem do szosy, żebyś spróbował złapać jakąś okazję...

– Nie dziękuję, chętnie skorzystam z twojego zaproszenia na obiad – wtrącił pośpiesznie.

Wendy nałożyła potrawę na półmisek. Wyjęła ryż z piecyka i przełożyła do miseczki, którą wraz z półmiskiem postawiła na stole. Nalała wina do kieliszków i usiadła. Gość uśmiechnął się rozbrajająco, aż zabiło jej mocniej serce.

– Jeszcze raz dziękuję ci za wszystko.

Skinęła tylko głową, gdyż nie była w stanie wykrztusić słowa.

– Czyje to ubranie? Zawahała się, zanim odparta:

– Mojego męża.

– Ach tak. – Mężczyzna zmrużył oczy i milczał przez chwilę. – Nie będzie jadł z nami? – spytał, wskazując na nakryty na dwie osoby stół.

– Mój mąż nie żyje.

– Och, jakże mi przykro.

Znowu skinęła tylko głową. Bzdura, pomyślała. Cóż może obchodzić tego obcego mój los.

– Mieszkasz tu sama?

Obawiała się tego pytania, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest bezbronna. Przybysz z kolei, według niej, nie był w żadnym razie niewiniątkiem. Mimo to miała wrażenie, że może mu zaufać, że nie zrobi jej żadnej krzywdy. Nie bardzo wiedziała, skąd się wzięło to poczucie bezpieczeństwa.

– Tak, sama.

– Wendy – mruknął. Zanim się zorientowała, pochylił się do przodu i nawinał na palec pasemko jej włosów. – Wendy Hawk, metr siedemdziesiąt wzrostu, błękitnooka blondynka o anielskim wyglądzie mieszka sama na takim cholernym odludziu. Śni mi się czy też umarłem i jestem w niebie?

– Mam prawie metr siedemdziesiąt pięć, szare oczy – i nie wyobrażam sobie, aby nawet najbardziej zagorzały miłośnik przyrody był w stanie porównać to miejsce z niebem.

Wendy nie mogła już dłużej usiedzieć przy stole. Uwolniła delikatnie pasmo włosów, sięgnęła po kieliszek i wstała, próbując opanować wzburzenie.

– Musimy opatrzyć twoją ranę – powiedziała cicho.

– Nic nie zjadłaś.

– Nie jestem głodna. Chciałam ci tylko dotrzymać towarzystwa. Jadłam obiad z przyjacielem, zanim cię znalazłam. – Była to tylko częściowo prawda. Znalazła go w drodze powrotnej od Erika, który zaprosił ją na lunch. – Proszę, jedz dalej – uśmiechnęła się blado i wyszła z kuchni, popijając wino. Przeszła do dużego pokoju, włączyła telewizor i usiadła na kanapie. Jak przez mgłę dotarło do niej, że zaczęły się wiadomości. Czuła wyrzuty sumienia, że zostawiła gościa samego przy stole.

W gruncie rzeczy to nie jest żaden gość. Nic o nim nie wie. Postanowiła, że gdy skończy jeść, opatrzy mu ranę na głowie i podwiezie z powrotem do szosy.

Ocknęła się nagle, gdyż usłyszała nazwę Everglades. Zaczęła śledzić z uwagą wiadomości, starając się zorientować, o co chodzi. Sprawa dotyczyła nielegalnego handlu narkotykami. Wmieszane w to było FBI, Brygada Specjalna do spraw Narkotyków oraz władze lokalne. Zamordowano jakiegoś agenta, a przemytnicy pozostawali nadal na wolności. Na ekranie pojawiła się fotografia mężczyzny. Właśnie w tym momencie jak spod ziemi wyrósł Bill Smith, przesłaniając telewizor.

Wendy spojrzała na niego złowrogo.

– Co ty wyprawiasz! Przecież oglądam.

Przeszył ją takim wzrokiem, że zadrżała. Ale nie ze strachu. Nieznajomy miał na sobie ubrania Leifa. Przypominał go posturą i kto wie, może był równie namiętny.

Chociaż w gruncie rzeczy nie był wcale podobny do męża, wzbudzał w niej uczucia, których się obawiała. Poza tym znajdował się u niej w domu. Czekala ją długa i ciężka noc.

– Odsłoń telewizor – ponagliła. – Chcę obejrzeć do końca dziennik.

– Przepraszam, ale potrzebuję twojej pomocy. Czy masz jakiś środek dezynfekujący, do przemycia rany?

– Oczywiście – Wendy wychodząc z pokoju, zerknęła na telewizor. Wiadomości już się skończyły i zaczął się jakiś quiz.

W łazience wyjęła z szafki na lekarstwa wodę utlenioną. Ku swojemu zaskoczeniu w lustrze zobaczyła twarz przybysza. Przyglądał jej się z uwagą, zmrużywszy lekko oczy.

– Gdzie chcesz się mną zająć? – zapytał. Wzruszyła ramionami.

– Wszystko jedno. Usiądź może tu, na stołeczku.

Zanurzyła wacik w wodzie utlenionej i przyłożyła bardzo ostrożnie do rany. Nawet nie drgnął, a przecież musiało go niezle zabołec, bo rana była głęboka.

Zawahala się.

– Co się stało? – spytał zdziwiony.

– Powinam ci porządnie przemyć ranę, ale to będzie bardzo bolało.

– Nie przejmuj się, tylko rób co należy.

Zanurzyła ponownie wacik w wodzie utlenionej, przygryzła wargę i zaczęła energicznymi ruchami przemywać ranę. Znowu nawet nie pisnęła.

– O coś ty się właściwie uderzył? – zastanawiała się głośno. – Wygląda to tak, jakby ktoś wydrążył ci skroń łyżeczką...

– Od razu się lepiej poczułem – stwierdził.

– Cieszę się.

– Czy pozwolisz, że zrobię ci kawę?

– Nie, dziękuję, ale chętnie napiję się herbaty – odparła.

Przeszli do kuchni. Wendy nalała wody do czajnika, a on nastawił ekspres do kawy. Miał przyjemny sposób bycia. Był skory do pomocy, ale się nie narzucał. Śledziła każdy jego ruch i nic nie uszło jej uwagi. Ani jego gładka twarz, ani miły zapach – mieszanina muszkatu i mydła. Ani miodowe, bystre oczy.

Była tak przyzwyczajona do samotności, że obecność drugiego człowieka ją krępowała. Zastanawiała się, czy przybysz jest rzeczywiście po prostu zwykłym mieszczuchem, który zabłądził na bagnach.

To niemożliwe, miał bowiem w sobie coś nieprzeciętnego.

– Co właściwie robisz? – zagaiła rozmowę, bo i tak musieli czekać, aż zaparzy się kawa i zagotuje woda w czajniku.

– Co ja robię? – powtórzył głucho.

– Tak. Z czego żyjesz?

– Jestem... pracuję w przemyśle farmaceutycznym.

– Zajmujesz się sprzedażą leków?

– Uhm... Tak.

– Byłeś w drodze do Naples?

– Tak, właśnie.

– A mieszkasz w Fort Lauderdale?

– Nie, mieszkam w Nowym Jorku. Dostałem przeniesienie w te

okolice.

– Woda w czajniku zawrzała. Wendy zgasiła gaz i napełniła wrzątkiem dzbanek do herbaty. Przeszył ją przyjemny dreszcz podniecenia, gdyż poczuła, że jest obserwowana. Ni stąd, ni zowąd pojawił się u niej w domu niejaki Bill Smith, przedstawiciel firmy farmaceutycznej z Nowego Jorku. Wkroczył znienacka w jej życie i od razu wywołał zamieszanie.

Zerknęła na Billa. Obserwował ją nadal, ciepłym i dziwnie czułym wzrokiem. Pokiwał głową z uśmiechem.

– Jak się tu znalazłaś? Naprawdę mieszkasz tu na stałe? Z czego żyjesz?

– Kiedyś byłam pielęgniarką. Zanim spotkałam Leifa. Mój mąż był naukowcem. Zajmował się badaniem okolicy. Mieszkał tu, a ja się do niego wprowadziłam.

– I tak już zostałaś?

– To mój dom. Uwielbiam go.

– Jak, do diabła, można lubić bagna?

– Tu są nie tylko bagna. Uwierz mi, Bill, to naprawdę cudowne miejsce. Jestem pewna, że gdybyś spędził tu jakiś czas, byłbyś tak samo zauroczony jak ja.

Żeby nie wiem jak się starała, i tak nie była go w stanie przekonać. Nienawidził tej okolicy. Mierziły go cuchnące bagna, gady i insekty. To istny cud, że przeżył. A do tego odzyskał przytomność w towarzystwie pięknej, pociągającej blondynki – anioła miłosierdzia – co już zakrawało wręcz na magię.

Przyszła kolej na następny cud: wyrwać się stąd czym prędzej, wychodząc żywo z całej tej opresji. Miał nadzieję, że Michaelson i jego

ludzie zrezygnowali z pogoni. Musiał obejrzeć jak najszybciej wiadomości, ale tak, żeby Wendy nic nie wiedziała.

Wendy. Podobało mu się to imię. Kojarzyło mu się z wiatrem i sztormem.

Nie pora była jednak na tego typu rozmyślenia. Powinien jak najszybciej zorientować się w sytuacji. Nie sądził, aby Michaelson kontynuował pogoń w tej dzikiej, błotnistej okolicy, ponieważ niezbyt dobrze orientował się na mokradłach. Mimo to musi być nad wyraz ostrożny.

Gdyby tylko udało mu się wysłuchać wiadomości w radio, wiedziałby, na czym stoi. Najpierw musi się pozbyć Wendy.

Wyciągnął rękę i musnął jej policzek – był delikatny niczym jedwab.

– Czy pozwolisz mi tu zostać? – zapytał cicho.

– Skoro cię już tu przywiozłam, to nie mam innego wyjścia – stwierdziła i dodała: – Obok łazienki jest druga sypialnia.

– Mam nadzieję, że jutro rano zechcesz mi pokazać okolicę. Dobranoc.

Wendy popatrzyła za nim, aż zniknął w ciemnej sypialni – jego słowa pobrzmiwały echem w jej myślach, budząc niepokój w sercu.

Rozdział 2

Bradowi przyśniła się Wendy. Trudno się dziwić. Zanim zasnął, myślał właśnie o niej, o przepięknych, szarobłękitnych oczach i powłóczystym spojrzeniu, jakim odprowadziła go do gościnnej sypialni. Podziwiał jej bezpośredniość i pewność siebie. Nie była osobą nieśmiałą ani skorą do prowadzenia gry. Mieszkała sama na odludziu i zdawała sobie z pewnością sprawę, jak bardzo jest bezbronna. Mimo to, choć było to ryzykowne, zabrała go do siebie. Musiał jakoś wzbudzić jej zaufanie. Dlatego też pozwoliła mu zostać na noc.

Zrobiła na nim od pierwszej chwili piorunujące wrażenie. Była cudowną kobietą. Nawet jej głos działał na niego jak pełna liryzmu muzyka. Podeszła do niego, a on stał przez chwilę jak zahipnotyzowany i pożerał wzrokiem łagodnie układające się jasnoblond włosy. Po chwili uśmiechnął się i wyciągnął ręce, by przytulić jej gibkie ciało. I właśnie w tym momencie rozplynęła się w nocnej mgle. Był to bowiem jedynie sen.

Na razie musiał się tym zadowolić.

Wendy była dla niego ideałem kobiety – szczupła w talii, o lekko zaokrąglonych biodrach i małych, jędrnych piersiach, które bez trudu mógłby objąć dłońmi. Choć nie znali się, wyraźnie do siebie lgnęli – to się dało wyczuć bez trudu. Brad pragnął Wendy, przepełniony żarliwą tęsknotą.

Jej postać zbliżyła się znowu. Wyciągnął do niej ręce. Usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i przyglądała mu się w milczeniu. Czuł niemal na twarzy ciepły oddech.

Nagle powrócił z krainy snów na ziemię. Rzeczywiście w nogach łóżka

wyczuł jakiś ciężar. Uniósł z trudem w górę klejące się od snu powieki. Leżał przez dłuższą chwilę z szeroko rozwartymi oczami – bezmiernie zdumiony. To nie była Wendy, tylko dziwny, olbrzymi, przerażający koci stwór.

Brad pomyślał w pierwszej chwili, że to tygrys, ale uprzytomnił sobie, że nie spotyka się ich na terenach bagiennych. Zwierzę miało złotobrazowe futro i żółte oczy. Popatrzyło złowrogo, po czym prychnęło przeraźliwie.

Brad leżał nieruchomo, wpatrzony w kilkudziesięciokilowego potwora. Wielki Boże! Wymknął się Michaelsonowi i nie padł ofiarą niebezpiecznych gadów Everglades tylko po to, by dostać się w pazury jakiegoś gigantycznych rozmiarów dzikiego kocura.

– Bill? – Wendy wsunęła głowę do sypialni.

– Wyjdź stąd natychmiast i zamknij drzwi! – wrzasnął Brad.

W smudze światła padającego przez uchylone drzwi Wendy wyglądała niczym anioł – wiotka, z chmurą delikatnych, złotych włosów wokół głowy. Spojrzała na Brada zdziwiona.

Nie mógł przecież dopuścić do tego, by została pożarta przez drapieżnika. Poderwał się z łóżka, gotów wziąć na siebie atak, a w razie czego nawet rzucić się bestii do gardła. Gotów był zginąć, aby tylko uratować jej życie.

– Dzidziu! – odezwała się karcącym tonem Wendy i weszła do pokoju.

– Nie! Nie! – krzyknął znowu Brad.

– Najmocniej przepraszam. – Wendy zdawała się w ogóle nie zwracać na niego uwagi. Podeszła do zwierzaka w nogach łóżka. – Dzidzia ma w kuchennych drzwiach specjalne drzwiczki, którymi sobie wchodzi i

wychodzi, kiedy tylko zechce. Zdaje się, że zapomniałam cię uprzedzić o jej istnieniu.

Brad, znów oparty na poduszce, odziany jedynie w pożyczone slipki, zmarszczył brwi.

Wendy usiadła koło zwierzęcia i podrapała je czule za uchem.

– Przepraszam. Czy bardzo cię przestraszyła? – zapytała, zerkając spod oka na Brada.

– Dzidzia? Hm, zupełnie nie – skłamał jak z nut.

– To pantera. Jest brzemienna, a więc trochę niebezpieczna.

Jeszcze jak! – pomyślał Brad. Wyciągnął się powoli na łóżku i przykrył do pasa prześcieradłem.

– Dzidzia...?

– Znalazłam ją, gdy była jeszcze malusieńkim oseskiem. Jakiś kłusownik zabił jej matkę. Zwracałam się do niej Dzidzia i tak już zostało. Jest naprawdę rozkoszna.

– Z pewnością – przytaknął bez przekonania.

Dzidzia wydała z siebie głośny pomruk. Wendy uśmiechnęła się tak rozczulająco, że Bradowi zrobiło się lekko na sercu.

– Naprawdę, uwierz mi, Dzidzia jest urocza.

– Kicia... – Brad wyciągnął ostrożnie rękę, by pogłaskać panterę po głowie. Dzidzia lizała futro, nie zwracając – na niego uwagi. Po chwili przeciągnęła się leniwie i przewróciła na plecy, unosząc cztery łapy w górę.

– Chce, żeby podrapać ją po brzuchu – roześmiała się Wendy.

Brad przyglądał się z uwagą, jak smukłe palce przeczesują jedwabistą sierść zwierzęcia, marząc o tym, aby Wendy podrapała i jego. Na samą

myśl zrobiło mu się gorąco. Zdaje się, że zdradził go wzrok, gdyż Wendy zaczerwieniła się nagle i stanowczym ruchem zepchnęła panterę z łóżka.

– Przepraszam – bąknęła. – Dzidzia, chodź. Trzeba zostawić gościa w spokoju. Niech sobie jeszcze trochę pośpi.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, Brad odetchnął z ulgą. Uprzytomnił sobie dopiero teraz, jak bardzo był spięty – dłonie miał zwinięte w pięści i nawet nie zauważył, że prześcieradło zsunęło się gdzieś w nogi. Być może Wendy zorientowała się nie tylko po oczach, że jest podniecony.

Westchnął cicho i wstał z łóżka. Do pokoju wpadało delikatne, różowe światło. Podeszedł do okna i odchylił zasłony.

Wschodziło słońce – niebo mieniło się bajecznie złotem i purpurą. Z okna było widać, że dom, otoczony drzewami i kwietnikami, stoi na wzniesieniu. W dole, za drzewami, połyskiwała tafla wody. Brad doszedł do wniosku, że dom jest usytuowany na liczącej nie więcej niż sto akrów grobli i otoczony jest zapewne zewsząd błotnistymi, zarośniętymi kanałami oraz bezkresnym bagnem.

Mimo to widok z okna był przyjemny. Wśród drzew rosło mnóstwo dzikich orchidei – fioletowe, żółte, różowe. Tuż przy domu – krzewy róż i rododendrony. Wszystko to tworzyło idylliczny nastrój.

Brad ocknął się z zadumy. Uświadomił sobie bowiem gorzką prawdę, iż jego sytuacja daleka jest od idylli. Powinien się teraz ubrać i zastanowić nad dalszym działaniem.

Ubrał się w pożyczzone rzeczy i wyszedł z sypialni.

Po smudze światła wpadającej do przedpokoju zorientował się, że Wendy jest w kuchni. Miała na sobie dżinsowe szorty, luźny podkoszulek, skarpetki i tenisówki. Blond włosy, zebrane w koński ogon, falowały

lekko, gdy nalewała wodę do ekspresu.

Uśmiechnął się na jej widok i wszedł do łazienki.

– Powinieneś się jeszcze trochę przespać! – zawołała z kuchni.

– Jak widzisz, jestem całkiem trzeźwy! – odkrzyknął.

Wymył dokładnie twarz, a następnie zęby, po czym przyjrzał się sobie uważnie. Rana wyglądała paskudnie, ale nie udało mu się jej zakryć włosami. Przydałoby się kilka szwów. Nie było jednak aż tak źle, by miał wykrwawić się na śmierć. Wzruszył ramionami i znowu ochlapał twarz wodą. Musiał jak najszybciej zorientować się w sytuacji. No i koniecznie skontaktować się z szefem. Miał nadzieję, że Wendy pomoże dostać mu się gdzieś, skąd będzie mógł zadzwonić i dowiedzieć się, do cholery jasnej, co jest grane.

Ścisnęło mu się serce na myśl, że nie zobaczy już więcej złotowłosego anioła miłosierdzia. Pozostanie mu jedynie senne marzenie, że Wendy zakrada się nocą do jego sypialni, z uśmiechem na twarzy, i wyciąga rękę, by go dotknąć...

A tak pragnął objąć dłońmi jej piersi i złożyć na ustach gorący pocałunek.

– Niech to szlag! – zaklął głośno i zanurzył twarz w zimnej wodzie. Musi się wziąć w garść i zapomnieć o tej kobiecie.

Ale teraz potrzebuje jej pomocy.

Zakręcił kran i zaczesał palcami włosy do tyłu, pozostawiając z przodu cienkie pasemko, tuż nad raną.

Z kuchni doszedł go zapach smażonego boczku. Poczuł, że jest głodny.

Wendy stała oparta o blat, rzucając co chwila spojrzenia do dużego pokoju. Po Dzidzi nie było ani śladu. Brad zorientował się, że telewizor

jest włączony – nadawano właśnie poranne wiadomości.

– Cześć. Przepraszam, że zostałeś tak wcześnie obudzony – przywitała go, odwracając na moment uwagę od dziennika.

– Nie szkodzi. Nie należę do śpiochów.

Wendy uśmiechnęła się. Podobało mu się, że jest taka bezpośrednia.

– Napijesz się kawy?

– Z przyjemnością. Pozwól, że się sam obsłużę. Wendy podeszła do kuchenki, by przygotować Bradowi śniadanie. Przechodząc, otarła się niemal o niego – poczuł, że pięknie pachnie. Zapragnął porwać ją w ramiona i zanurzyć twarz w jej włosach. Powstrzymał się jednak.

Nalał sobie filiżankę kawy, po czym oparł się o blat i obserwował złotoblond włosy, opalone ramiona, ładnie zaokrąglone biodra, każdy jej ruch pełen naturalnego wdzięku.

Najwyraźniej wyczuła jego spojrzenie, gdyż odwróciła się od kuchenki.

– Masz ochotę na jajka?

– Zwłaszcza jeśli ty mi je przygotujesz – odparł z uśmiechem.

– Jakie lubisz: na miękko, sadzone, po wiedeńsku?

– Zdaję się całkowicie na ciebie.

Wendy wzruszyła ramionami, wbiła dwa jajka na patelnię i usmażyła jajecznicę.

– Po śniadaniu zawiozę cię do warsztatu, będziesz mógł zadzwonić.

Warsztat otwierają dopiero o dziewiątej, a więc mamy mnóstwo czasu.

– To dobrze, bo mnie się wcale nie spieszy.

Wendy nie mogła zrozumieć, dlaczego ten obcy mężczyzna robi na niej aż takie wrażenie i dlaczego się go nie obawia. Przecież przedstawił się fałszywym nazwiskiem – domyśliła się tego natychmiast. Musiał mieć

jakiś powód, by ukrywać prawdziwe nazwisko.

Mimo to instynktownie czuła do niego zaufanie, dlatego zabrała go do domu. I przekonała się, że intuicja jej nie zawiodła.

Prawda była jednak taka, że nie wiedziała o przybyszu w gruncie rzeczy nic. Wzbudzał w niej jedynie pociąg fizyczny i działał na wyobraźnię, wywołując różne myśli...

Przełknęła ślinę i starała się opanować. Jajka były gotowe. Przełożyła je na talerz i podała gościowi.

Nie omieszkała przyjrzeć mu się znowu. Był bardzo przystojny, ale nie lalkowatą urodą. Wręcz przeciwnie, miał szalenie męskie rysy.

Brad postawił talerz na stole, stuknąwszy głośno o blat, gdyż całą uwagę skupił na telewizorze.

Nadawano właśnie aktualne wiadomości z kraju. Reporterka relacjonowała podekscytowanym tonem wydarzenia z ostatniej chwili. Wendy usiłowała zorientować się, o co chodzi, zapominając na moment o gościu. Ten rzucił się do telewizora, by go wyłączyć.

– Zostaw – rozkazała, zachodząc mu drogę.

Zamarł w bezruchu i przeszył ją tak złowrogim spojrzeniem, że zadrżała.

Jak donosiła policja z Lauderdale, poprzedniego dnia doszło w tych okolicach do ostrej strzelaniny, w której śmierć poniósł agent federalny. Jednostkom specjalnym nie udało się, niestety, unieszkodliwić mafii zajmującej się przemytem narkotyków. Członkowie mafii, dealerzy i mordercy, pozostawali nadal na wolności.

– Nie słuchaj tych bzdur – poradził Brad i podszedł do telewizora, by go wyłączyć.

W tym momencie na ekranie ukazało się zdjęcie pięciu mężczyzn – jednym z nich był Bill Smith. Wendy krzyknęła z przerażenia.

– Psiakrew! – zaklął ze złości, że nie udało mu się w porę wyłączyć odbiornika.

Zmierzyła go wzrokiem pełnym strachu i dezaprobaty.

– Posłuchaj... – Wyciągnął dłoń w błagalnym geście. Nie mógł sobie darować, że ją okłamał. Jak on to teraz wszystko wytłumaczy? I tak mu pewnie nie uwierzy. Przepiękne szarobłękitne oczy pałały gniewem i nienawiścią. I trwogą.

Przeczesał włosy palcami.

– Wendy... – zaczął znowu.

Cofnęła się o krok, jakby szukała drogi ucieczki. Nie mógł jej na to pozwolić. Dobrze wiedział, z jakim ryzykiem się to łączyło.

– Proszę. Poczekaj! – zawołał.

Wendy rzuciła się jednak do drzwi i zaczęła mocować się z zamkiem. Miała tylko jedną myśl: wyrwać się jak najszybciej. Wsiąść do łodzi i zniknąć facetowi z oczu, a potem zgubić go na bagnach.

Otworzyła drzwi, ale zatrzasnęły się znowu z hukiem.

Odwróciła się, przerażona, stając oko w oko z człowiekiem, który podawał się za Billa Smitha. Przeszył ją lodowatym wzrokiem. Ten oszust i kłamca, silny jak byk i zwinny jak kot, był trudnym do pokonania przeciwnikiem.

Wendy wywinęła mu się spod ręki i wybiegła do przedpokoju. Dopadła sypialni w nadziei, że uda jej się wyskoczyć przez okno. Zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku, dysząc ciężko.

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, gdy nieznajomy zaczął

szarpać za klamkę.

– Wendy, musisz mnie wysłuchać...

– Ty wstrętny draniu, obrzydliwy oszuście! – krzyknęła w odpowiedzi, wodząc oczami po pokoju. Gdzieś koło szafy powinien leżeć śrubokręt, którym przykręciła wczoraj obluzowaną klamkę.

– Wendy, to prawda, że cię okłamałem. Proszę, daj mi jednak szansę. Ja ci zaraz wszystko wytłumaczę.

Dostrzegła śrubokręt na dywanie. Gdyby udało jej się odkręcić metalową siatkę zabezpieczającą okno, mogłaby się wydostać na zewnątrz. Musiała zagadać jakoś Billa.

– W porządku! Słucham! – krzyknęła przez drzwi, po czym ostrożnie, po cichutku, przeszła przez pokój, podniosła z ziemi śrubokręt i podeszła do okna. – No, mów! – ponagliła i zabrała się do roboty.

– Wendy, uwierz mi. Nie jestem przestępcą – odezwał się przymilnym głosem.

Aha, akurat! Już raz ją nabrał. Chyba nie sądzi, że jest aż tak naiwna.

Pierwsza śruba puściła. Wendy wstrzymała oddech i zaczęła trzęsącymi rękoma odkręcać drugą. O, Boże! Tego typu ściga FBI oraz Brygada Specjalna do spraw Narkotyków. Zginął jakiś agent. To naprawdę poważna sprawa. Gościła w swoim domu członka bandy handlującej narkotykami!

– Powinienem był ci powiedzieć od początku całą prawdę. Nie wiedziałem, czy mogę ci zaufać. Dlatego też, na wszelki wypadek, przedstawiłem się fałszywym nazwiskiem. Zrozum. W wiadomościach nie mówią wszystkiego, dla dobra sprawy. Zresztą, zdaje się, mój szef jest przekonany, że wciąż trzymam z Michaelsonem i jego ludźmi. Nie wie, że

mnie rozszyfrowali, gdy złapali Jima. To ten agent, który został zamordowany.

O czym on plecie, do cholery jasnej?! Trzecia śruba puściła i siatka obsunęła się nieco w dół. Wendy przytrzymała ją z trudem, nie przerywając roboty. Skup się, kobieto! – upomniała się w myślach.

Była bliska płaczu. Dobrze jej tak! Powinna się już dawno stąd wynieść, a nie tkwić samotnie na mokradłach Everglades. Powinna zapomnieć o przeszłości i wylizać się w końcu z ran.

A tu nagle, jak ostatnia idiotka, zachwyciła się urodą obcego mężczyzny, na którego natknęła się na bagnach. Zupełnie oszalała, ufając nieznanemu. Jak mogła do tego stopnia stracić czujność?!

Puściła czwarta, ostatnia śruba. Mężczyzna mówił dalej, ale Wendy w ogóle go nie słuchała. Odstawiła delikatnie metalową siatkę i podciągnęła się w górę na parapet. Uchyliła okno i wyskoczyła na zewnątrz, lądując na miękkiej trawie.

– Wendy, proszę, zrozum – zakończył swoją opowieść Brad, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Dopiero po chwili zorientował się, że w pokoju nie ma nikogo.

Naparł ramieniem na drzwi, aż ustąpiły. Wpadł do sypialni i zobaczył opartą o ścianę siatkę oraz otwarte na oścież okno. Rzucił się do niego natychmiast i jednym susem wyskoczył na dwór.

Wendy pędziła co sił w nogach ścieżką w dół, do łodzi.

– Zaczekaj! – wrzasnął i puścił się za nią w pogoń.

Dopadł ją, gdy była już po kostki w wodzie. Wyrывała się, wierzgając i szarpiąc jak dziki zwierz. Waliła go po klatce piersiowej, aż w końcu przyłożyła mu pięścią w oko. Zabolało jak diabli.

Następnie wymierzyła mu z całej siły kopniaka – na szczęście tylko w nogę.

– Wendy...

Nie słuchała go wcale, tylko klęła jak szewc. Bradowi udało się w końcu przerzucić ją sobie przez ramię. Nie zważając na to, że go kopie i drapie niemal do krwi, ruszył z powrotem do domu.

Minął duży pokój i wszedł do sypialni. Rzucił ją bezceremonialnie na łóżko. Wymachiwała wciąż pięściami wokół głowy spowitej w chmurę złotoblond włosów.

– Opanuj się, do cholery jasnej! – huknął. – Nie zamierzam ci zrobić krzywdy.

– Skąd mogę wiedzieć, że to nie kolejne kłamstwo?!

Nie miał wyjścia. Musiał ją jakoś uspokoić. Siadł na niej okrakiem, złapał za nadgarstki, podciągnął jej w górę ręce i przytrzymał wysoko nad głową. Włosy zasłoniły jej twarz. Zdmuchnęła je na bok i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Ty oszuście! – wrzasnęła.

– Zmyśliłem tylko nazwisko. Przepraszam cię. Nazywam się Brad McKenna.

Wendy leżała chwilę bez ruchu, patrząc podejrzliwie. Było mu przykro, że sprawił jej ból, że ją zawiódł. A przecież tak bardzo mu się podobała. Był wciąż pod wrażeniem tego cudownego, srebrnookiego anioła.

Czuł ponętne, ciepłe ciało, które falowało ze wzburzenia, zakleszczone pomiędzy jego udami.

– Uwierz mi, proszę. Daj mi jeszcze jedną szansę. Zaczniemy wszystko od początku. Nazywam się Brad McKenna. Miło mi panią poznać. A pani

nazywa się Wendy Hawk, tak? Cała przyjemność po mojej stronie...

– uśmiechnął się.

Wendy nie sprawiała wrażenia rozbawionej. Wymierzyła mu z całej siły kuksańca w bok, aż podskoczył.

– Daj spokój, proszę.

– Znalazłam cię na bagnach, półżywego, zabrałam ze sobą do domu, nakarmiłam...

– ... i wymyłaś – wtrącił.

Zmrużyła tylko oczy i drgnęła nieznacznie.

– Nakarmiłam, ubrałam i przenocowałam. Powinam zostawić cię gadom na pożarcie!

Brad westchnął głęboko. Cierpiał katusze. Po cholere tak się męczyć. Wendy nienawidziła go, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Wiadomo było, że i tak ich drogi się za chwilę rozejdą. Chciał tylko, żeby go podwiozła gdzieś do telefonu.

Nie miał tu czego dłużej szukać. Niewątpliwie czuł do niej pociąg fizyczny, ale nie zamierzał się wcale za nią uganiać. Powinien jak najszybciej stąd odejść.

Wiedział, że trudno mu będzie rozstać się z tą szarooką sylfidą. Nie chciał jednak za nic zranić jej uczuć. Już dosyć się przez niego wycierpiała. Może w końcu zrozumie, iż nie miał złych intencji.

– Wendy, musisz mi zaufać. – Rozluźnił lekko uścisk.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Nie odezwała się ani słowem, tylko przyglądała mu się spod oka.

Na szczęście już się tak bardzo nie bała. I chociaż wiadomości, jakie podano w dzienniku, nie nastrajały zbyt optymistycznie, złapała się na

tym, że wierzy mu na słowo.

Nie wyglądał na przestępcę. Zresztą, mógł ją już dawno zabić, gdyby tylko chciał. Na przykład udusić albo zadźgać kuchennym nożem. Albo strzelić w łeb z dubeltówki, która wisiała na ścianie w dużym pokoju.

Odwróciła głowę w bok, starając się nie patrzeć w złotobrazowe oczy, rzucające jej figlarne spojrzenia. To nie słowa, nie łagodny ton, jakim do niej przemawiał, ale właśnie przyjazne spojrzenie budziło w niej ufność i poczucie bezpieczeństwa.

Nie mogła już dłużej znieść bliskości tego mężczyzny – ud oplecionych wokół jej ciała, ciepłego oddechu na skórze, uścisku dłoni na nadgarstkach.

– Jeśli nie chcesz zrobić mi krzywdy, to mnie puść – wyrzuciła z siebie.

Brad zawahał się, rozluźnił palce i odsunął się na bok. Usiadł w nogach łóżka i obserwował, jak Wendy rozciera obolałe nadgarstki.

– A więc nazywasz się Brad McKenna, tak? – spytała z niedowierzaniem w głosie.

Skinął głową.

– Tak. Jestem tajnym agentem Brygady Specjalnej do spraw Narkotyków. Współpracowałem z człowiekiem, którego zamordowano. Udało nam się przeniknąć do jednej z największych mafii prowadzących przemyt kokainy, marihuany i haszyszu z Ameryki Południowej. Byliśmy bardzo aktywni w tych okolicach, zwłaszcza od czasu, gdy tak wzrósł tu handel narkotykami. Trudno opanować tę sytuację. Wybrzeże ciągnie się kilometrami, a chętnych do zarobienia sporej gotówki za jeden skok jest coraz więcej, mimo że łączy się to z narażeniem życia. W pewnym momencie Michaelson – gruba ryba z tutejszej mafii – wyczuł pismo

nosem i postanowił nas zlikwidować. Zorientowaliśmy się w ostatniej chwili. Wiedzieliśmy też, że szykują wymianę towaru. A potem wypadki potoczyły się już szybko. – Brad urwał na chwilę i podrapał się po brodzie, ciężko wzdychając. – Zamordowano Jima. W następnej kolejności byłem ja, ale udało mi się zbiec ukradzionym szewroletem, który rozkraczył się po paru kilometrach. Michaelson i jego ludzie siedzieli mi dosłownie na karku. To cud, że nie zostałem na bagnach. Zawdzięczam to wyłącznie tobie.

– Ładny mi pracownik przemysłu farmaceutycznego – stwierdziła głucho Wendy.

– Co takiego?

– Przecież twierdziłeś, że zajmujesz się sprzedażą leków.

Brad wzruszył ramionami.

– Tym razem mówię ci prawdę, przysięgam. – Tak bardzo pragnął jej dotknąć. Przekonać o swojej szczerości.

Patrzyła na niego z pogardą.

– Na Boga. Uwierz mi w końcu. – Wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po policzku, ale odwróciła szybko głowę.

– Skoro cała ta historia jest prawdziwa, to z jakiej racji jesteś na zdjęciu razem z innymi przemytnikami? – zapytała stanowczo.

– Już ci mówiłem, że to tajna misja – westchnął zniecierpliwiony. – Nie wiadomo w stu procentach, że zostałem przez mafię zdemaskowany, dlatego nie ujawniają mojej prawdziwej tożsamości. – Zamilkł na chwilę, po – czym dodał: – Z kolei Michaelson jest poszukiwany za cały szereg zbrodni – nie tylko przemyt narkotyków, lecz również kilka wyjątkowo okrutnych morderstw. Jeśli tylko nadarzy mu się okazja, zabije mnie z

zimną krwią.

Wendy podciągnęła kolana pod brodę, objęła je dłońmi, zmrużyła oczy i przyglądała się badawczo Bradowi w milczeniu.

– Musisz mi w końcu uwierzyć!

– Dlaczego?

– Ponieważ... – starał się zachować spokój – potrzebuję twojej pomocy.

Nie odezwała się ani słowem. Brad wstrzymał oddech, po czym spytał:

– No to jak?

– Zdaje się, że nie mam innego wyjścia, prawda?

– Dziękuję ci. – Pochylił głowę, uśmiechając się z ulgą. Chciał znowu pogłaskać Wendy po policzku, ale odskoczyła jak oparzona.

– Ręce przy sobie! – warknęła. – I ani mi się waż mnie dotykać. – Wstała z łóżka i wyszła powoli z pokoju z dumnie podniesioną głową.

Rozdział 3

No, chodź! – Wendy ponagliła chłodnym tonem Brada, zatrzymując się na moment przy drzwiach.

Brad zamknął je za sobą, patrząc na nią podejrzliwym wzrokiem. Zastanawiał się, gdzie się podziała Dzidzia. Na chwilę zupełnie o niej zapomniał. Pomyślał sobie, że w niektórych sytuacjach pantera gwarantuje większe bezpieczeństwo niż dobrze wytresowane psy.

Ruszyli w kierunku łodzi.

– Nie jestem pewien, czy mogę ci zaufać... – bąknął.

– Masz wątpliwości, czy możesz mi zaufać? Coś podobnego! – obruszyła się, nie bez powodu.

– Gdzie jest Dzidzia? Ta twoja zabójcza kocica?

– Nie mam zielonego pojęcia. Jak każdy kot, chodzi własnymi ścieżkami.

Brad zaklął pod nosem. Nie zważając na dane wcześniej obietnice, chwycił Wendy za nadgarstki i przyciągnął mocno do siebie. Poczł ciepło jej ciała, krągłe piersi i gładką, jedwabistą skórę o odurzającym zapachu.

Zareagował tak gwałtownie, że aż się wystraszył. Chciał ją od siebie odepchnąć, zanim się zorientuje, że jest podniecony. Zdumiał się jednak, iż nie stawia żadnego oporu. Odchyliła tylko głowę i patrzyła przenikliwym wzrokiem, z zuchwałą miną. Ciekaw był, co myśli.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy ten pani ukochany koteczek nie płacze się gdzieś tu w pobliżu, gotów do ataku – wycedził.

– Nie – stwierdziła z ociąganiem.

– Jesteś pewna?

– Czego ty ode mnie chcesz? Zapewnienia na piśmie? Jak mam ci ufać, skoro ty mnie nie ufasz?!

Chciał ją pocałować. Przywrzeć do jej ust. Z trudem opierał się pokusie. Tak bardzo pragnął zatopić dłonie w jej włosach, że aż trzęsły mu się ręce. Drżał cały z podniecenia. Jeszcze nigdy nie pragnął tak bardzo żadnej kobiety – z takim żarem, z taką pasją.

Przymknął oczy i zaczął modlić się o to, by jego męki jak najszybciej się skończyły. Żeby udało mu się stąd wyrwać, z tych parszywych moczarów, i odzyskać znowu zdrowe zmysły.

Nagle oprzytomniał.

– Najmocniej przepraszam. Masz rację. Wybacz mi – wymamrotał. – Chodźmy już, dobrze?

Wendy przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, po czym odwróciła się na pięcie, weszła do łodzi i zapaliła silnik. Brad poluzował cumę i wskoczył na pokład. Ruszyli przez mokradła, nie odzywając się do siebie. Brad chłonał zapach i widoki podmokłej okolicy. Rozwidniło się już na dobre i zrobiło się bardzo gorąco. Owady bzyczały znów zaciekle. Owiani lekką bryzą, płynęli wśród traw, które wyglądały jak jakieś zielone, pomarszczone fale morze. Nagle niedaleko łodzi rozległ się trzepot skrzydeł – do lotu poderwał się pokraczny, długonogi żuraw. Wzbił się szybko w górę, z zaskakującą elegancją, i znikł wysoko w przestworzach.

Wendy, pogrążona w myślach, zapatrzyła się gdzieś w dal. Robiła wrażenie kruchej i delikatnej. Wyglądała jak anioł, który niespodziewanie przysiadł na topornej łodzi.

Co ją trzymało na tym bagnistym pustkowiu? Dlaczego się stąd do tej

pory nie wyniosła? Dlaczego wiodła życie samotnika, jakby jej nikt i nic nie był więcej potrzebny do szczęścia? Jak mogła zadowalać się jedynie wspomnieniami?

Naprawdę musiała znać świetnie tutejszą okolicę, gdyż orientowała się bezbłędnie bez mapy w bagiennym labiryncie. Potrafiła zapewne doskonale interpretować przyrodę – czytać z drzew, traw, dzikich orchidei, rozumieć zwyczaje smukłonogich czapli.

Chmara ptaków wzbiła się nagle z wrzaskiem w górę, spłoszona wyciem silnika. Łódź mknęła do przodu z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę – mimo to powietrze, które ich owiewało, było gorące, wilgotne i lepkie. Brad przymknął oczy. Słońce prażyło go mocno w plecy. Wciągnął w nozdrza zapach zgnilizny – nie wydał mu się aż tak odrażający jak wczoraj.

Łódź nagle zwolniła. Brad zobaczył w trawie kilka drewnianych, mocno nadszarpniętych czasem pomostów. Wendy podpłynęła do jednego z nich i rzuciła Bradowi cumę.

– Tam jest telefon – powiedziała sucho, wskazując na mały budynek w oddali.

Wokół budynku, pomalowanego na nieskazitelnie biały kolor, rozciągał się idealnie utrzymany, krótko przystrzyżony trawnik. Przed domem stało kilka dystrybutorów paliwa.

Na powitanie im wyszedł stary człowiek w zniszczonym kombinezonie. Wytarł ze smaru spalone słońcem, pomarszczone dłonie, przyglądając się podejrzliwie Bradowi. Rozchmurzył się, gdy spojrzał na Wendy.

– Cześć, Mac. To mój przyjaciel, Brad McKenna. Brad, to jest Mac Gleason.

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi i bez entuzjazmu wyciągnął dłoń.

– Cześć. – Brad uściśnął wyciągniętą rękę, odetchnąwszy z ulgą. Mężczyzna przyglądał mu się nadal w skupieniu.

– Czy to ty jesteś właścicielem tego grata, który rozkraczył się na drodze, niedaleko stąd?

– No, niezupełnie. To nie jest mój szewrolet – odpowiedział zgodnie z prawdą. Pomyślał sobie, że właściciel zapewne pertraktuje teraz z towarzystwem ubezpieczeniowym.

– Brad chciałby skorzystać z telefonu – wyjaśniła Wendy. – A jak się miewa mój wóz?

– W porządku. Możesz go odebrać, kiedy chcesz. Czy to rozmowa lokalna, synu?

– Hm... Nie wiem. Do Fort Lauderdale. – Brad zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy, ale uprzytomnił sobie, że jest w pożyczonym ubraniu i nie ma grosza przy duszy.

– Chłopie, to nie chodzi o pieniądze – obruszył się Mac. – Jak chcesz zadzwonić do Lauderdale, musisz najpierw wykręcić zero, rozumiesz?

Brad skinął głową.

– Telefon jest w kantorku.

– Dziękuję.

Wszedł do środka, nie oglądając się za siebie. Zastanawiał się, czy Wendy nie zwierza się przypadkiem staremu, iż podejrzewa go o to, że jest mordercą i handlarzem narkotyków. Mac na pewno ma jakąś broń albo psy, które w razie czego rozprawią się z nim bez wahania. Bo tu, na bagiennym ustroniu, ludzie rządzą się często swoimi własnymi prawami.

Błagam cię, Wendy, nie zdradź mnie, zaklinał ją w duchu.

Dzięki klimatyzacji w kantorku panował przyjemny chłód. Na prawo od drzwi stało biurko i stare krzesło obrotowe. Na tle ściany automat do pepsi oraz chipsów i cukierków; obok ogromny baniak z wodą z lodem. Brad napełnił jednorazowy kubek wodą, wypił do dna i wyrzucił kubek przez okno.

Wendy rozmawiała nadal z Makiem, od czasu do czasu wybuchając śmiechem. Gdy zobaczyła Brada w oknie, uśmiech zastygł jej na ustach.

Brad podszedł do biurka i wykręcił numer alarmowy. W słuchawce odezwał się głos Gary'ego Henshawa.

– Gdzieś ty się, chłopie, podziewał?! – huknął radośnie, gdy zorientował się, że to Brad. – Zresztą nieważne. Poczekaj, zaraz zawołam szefa.

W chwilę potem Brad rozmawiał już z L. Davisem Purdym, zwanym przez swych ludzi Szefem. Kierował ich akcją na południowej Florydzie. Purdy znał robotę policyjną jak mało kto, przeszedł bowiem kolejno wszystkie szczeble w Brygadzie Specjalnej. Michaelson okazał się jednak i dla niego trudnym przeciwnikiem.

– A więc żyjesz – stwierdził Purdy rzeczowo chłodnym tonem.

– Aha. – Brad rozparł się wygodnie na krześle.

– Dzięki Bogu. Jim niestety nie.

– Wiem. Michaelson wyczuł pismo nosem, odkrył, że jesteśmy obaj z Brygady Specjalnej do spraw Narkotyków.

– Zorientowaliśmy się. – Purdy zawiesił na moment głos. – Wczoraj w twoim domu podrzuciono bombę zapalającą.

– Co takiego?! – wykrzyknął Brad. A więc nie ma dokąd wracać? Wszystko szlag trafił? Kolekcję pistoletów, sprzęt elektroniczny, ukochaną

starą kanapę, sweter ze szkolnej drużyny futbolowej i różne inne drobiazgi, które tyle dla niego znaczyły.

Na szczęście sam wyszedł cało z tej opresji. Jim nie miał aż tyle szczęścia.

– Musimy zabezpieczyć ci ochronę. Jesteś teraz jedynym człowiekiem, któremu może się udać schwytać Michaelsona. On z kolei chce cię za wszelką cenę uciszyć, a na ogół potrafi dopiąć swego.

– Brzmi to niezbyt zachęcająco – stwierdził Brad szorstko.

– Wiesz przynajmniej, co jest grane. Ciesz się, że żyjesz. Ciekaw jestem zresztą, gdzie się, do cholery, podziewasz, że cię ten drań jeszcze nie wywęszył? Staram się postawić go w stan oskarżenia, ale wiesz, jaki mamy system, no i jaki to gość. Potrafi się wywijać jak piskorz, a forszą, jaką dysponuje, może w każdej chwili przekupić kogo trzeba.

– Jestem na bagnach.

– Na bagnach? A więc siedzisz gdzieś w Everglades?

– Tak. Nie wiem dokładnie, gdzie. Trudno się dziwić, że Michaelson do tej pory jeszcze nie trafił na mój ślad. Wiesz, przyszło mi nagle do głowy, że tutejsze moczary to w gruncie rzeczy całkiem niegłupie miejsce... – Urwał nagle, gdyż do kantorku weszła Wendy. Usiadła po drugiej stronie biurka i spojrzała na niego wymownie.

– Purdy, czy zechciałbyś zamienić parę słów z pewną osobą? Chodzi o zdjęcia, które ukazały się w ostatnim dzienniku.

– Nadaliśmy je, jeszcze zanim w twoim domu wybuchła bomba – wyjaśnił Purdy. – Co chcesz, żebym powiedział na ich temat?

– Pewna osoba cywilna, której zawdzięczam życie, obawia się, że udzieliła pomocy groźnemu przestępcy – oznajmił Brad, nie spuszczać

wzroku z Wendy. – Może uda ci się ją jakoś przekonać.

– Ją? – zdziwił się Purdy.

Brad uśmiechnął się, gdyż usłyszał w tle komentarz Gary'ego:

– Brad potrafi znaleźć sobie babę nawet na cholernych bagnach.

– Powiedz Gary'emu, żeby się przestał wygłupiać. Daję ci panią Hawk. Podał słuchawkę Wendy, która, o dziwo, nie zaprotestowała.

– Halo?

– Halo? Pani Hawk? Jestem Purdy – z Brygady Specjalnej do spraw Narkotyków. Rozumiem, że udzieliła pani pomocy jednemu z moich ludzi, za co jestem pani niezmiernie wdzięczny. Brad powiedział mi, że zaniepokoiły panią wiadomości ostatniego dziennika. Ogromnie mi przykro, ale byliśmy zmuszeni zachować wszelkie środki ostrożności.

Wendy milczała. Brad uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy nie jest w stanie udowodnić swojej niewinności. Mógł przecież zadzwonić do kogoś, kto na życzenie gotów był łączyć jak z nut.

Westchnął i opadł ciężko na krzesło. Może Wendy uwierzy mu, jeśli wyślą po niego samochód?

Nie! Nie może do tego dopuścić. Poderwał się z krzesła. Mógłby w ten sposób ściągnąć na nią niebezpieczeństwo. Wendy jest bezpieczna, dopóki nikomu nie przyjdzie do głowy szukać go na bagnach.

Wyrwał jej z ręki słuchawkę.

– Szefie...

– Wyślemy po ciebie kilka samochodów z najlepszymi ludźmi...

– Nie! Nie! Posłuchaj. Jakoś się stąd sam wydostanę.

– Zwariowałeś, Brad...

– Naprawdę, tak będzie dużo bezpieczniej. Dzwonię teraz ze stacji

benzynowej, którą prowadzi jakiś starszy jegomość. Noc spędziłem w domu pani Hawk. Jestem, szefie, na kompletnym odludziu. Michaelson nie ma najmniejszych szans mnie tu znaleźć. Te podmokłe grzęzawiska to istna dżungla. Nie sposób się połapać nawet z mapą. Wolę radzić sobie dalej sam, żeby Michaelson nie miał się, w razie czego, na kim mścić. Jeszcze dziś rano ruszam w drogę.

Wendy przyglądała się Bradowi z szeroko rozwartymi oczami. Ufała mu, choć nie miała po temu najmniejszych podstaw. Kierowała się czystym instynktem.

Przyprawiał ją o lekką palpację serca. Może lepiej było się go jak najszybciej pozbyć?

Niespodziewanie dla siebie samej chwyciła go za rękę.

– Może powinieneś zostać tu przez jakiś czas – powiedziała na przekór zdrowemu rozsądkowi.

– Co takiego? – Spojrzał na nią kompletnie zaskoczony.

– Szuka cię jakiś typek, prawda? – Zwilżyła wargi. – Michaelson czy jak mu tam. Mam wrażenie, że tu jesteś całkiem bezpieczny.

– Wendy – odezwał się łagodnym tonem, zatapiając wzrok w szarych oczach. – Ten bandzior usiłuje mnie wytropić tylko po to, żeby mnie sprzątnąć. Jestem dla niego niewygodnym świadkiem.

– Wiem – skinęła głową – ale sam przed chwilą stwierdziłeś, że nie jest cię w stanie tu znaleźć.

Co ona wyprawia? Wcale nie chciała, żeby tu został! Ten mężczyzna przyprawia ją o zawrót głowy. Czowała się dziwnie w jego obecności, ale się go w ogóle nie bała. Nie przestraszyła się nawet wtedy, gdy użył w stosunku do niej siły. Za bardzo działał jej na wyobraźnię – był taki

przystojny i pięknie zbudowany. Czula, że jest pod urokiem tego mężczyzny, trzymała się jednak, gdyż wiedziała, że lada moment ma odejść. A teraz sama mu zaproponowała, żeby został... Dlaczego to zrobiła?

Serce biło jej w piersi jak rozkołysany dzwon. Czyżby zupełnie oszalała? Nagle, ni stąd, ni zowąd, stanął jej przed oczami obraz zalanego krwią Leifa.

Nie mogła dopuścić do tego, żeby coś podobnego przydarzyło się Bradowi. Mokradła stanowiły dla niej ostoję. Znała je jak własną kieszeń i wiedziała, że doskonale można się tu ukryć. Kiedyś mieli tu swoje kryjówki Indianie. Trzęsawiska były groźne, dopóki się ich dobrze nie poznało.

Na twarzy Brada malowały się różne emocje.

– Wendy, nie mogę skorzystać z twojej propozycji. Nie chcę się chować. Ucieczka to dla mnie chleb powszedni. Po prostu taką mam pracę.

– Naprawdę myślisz, że uda ci się uciec stąd cało? Nie bądź naiwny. Po cholere komu taki heroizm. Wymiar sprawiedliwości potrzebuje cię żywego...

– Potrafię sobie radzić sam...

– Owszem, w dużym mieście – przerwała mu. – Ciekawa jestem, czy przeszkolono cię, jak wywinąć się bandzie zbirów w Everglades?

– Brad! Brad! – niecierpliwił się w słuchawce Purdy.

– Wszystko w porządku – odparł Brad, nie spuszczać oczu z Wendy.

Uprzytomnił sobie raptem, że nawet jeśli uda mu się wydostać z tego bagna, będzie się musiał gdzieś ukrywać do czasu, aż złapią Michaelsona.

Wendy wyjęła mu słuchawkę z ręki.

– Panie Purdy, czy może pan mi udowodnić w jakiś sposób, że Brad jest niewinny?

– Mogę przekazać odpowiednie informacje mediom – oznajmił Purdy. Odchrząknął i dodał zniecierpliwionym tonem: – Czy byłaby pani taka uprzejma przypomnieć panu McKennie, że pracuje dla mnie? Chciałbym zamienić z nim jeszcze parę słów. Ze mną nie ma żartów.

Wendy uśmiechnęła się. Brad spostrzegł, że zrobił jej się przy tym mały dołek w policzku. Wyjął jej z ręki słuchawkę.

– Szefie, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. A może by mnie tak ukatrupić tutaj, na bagnach. Tak będzie bezpieczniej dla mnie i dla pani Hawk.

– Co ty pleciesz?! – huknął Purdy. Nie spodobał mu się pomysł Brada. Wyrzucił z siebie cały potok słów, argumentując, że nie jest w stanie na takim odludziu kontrolować sytuacji ani zapewnić w porę pomocy, gdyby zaistniała taka potrzeba.

– No właśnie, w tym rzecz, Szefie, że znajduję się na kompletnym pustkowiu, oddalony od cywilizowanego świata. Nikt nie wie, gdzie się podziewam. I nikt mnie tu nie wsypie.

– Jak długo zamierzasz tkwić na tych cholernych bagnach? Tydzień, dwa?

– Zobaczymy. Niech chłopcy przez ten czas trzymają po prostu rękę na pulsie.

Purdy zaklął siarczyście. Brad znał go dobrze i wiedział, że Szef, w razie potrzeby, zawsze jest gotów obejść przepisy.

– W porządku, McKenna. A teraz słuchaj. Może i masz rację. Michaelson jest handlarzem narkotyków i mordercą, ale to nie żaden

Daniel Boone, który uwielbiał uganiać się za zwierzyną. Kto wie, czy to nie najlepszy pomysł. Pamiętaj jednak, że Michaelson ma wszędzie swoich ludzi. Musisz się więc mieć na baczności. I jeszcze coś: nie wolno ci zrobić kroku bez mojej zgody. Zrozumiałeś?

Brad zeszywniał na myśl, że będzie musiał spędzić dłuższy czas na mokradłach, których wręcz nienawidził. Co też strzeliło mu do głowy?

Westchnął ciężko. W gruncie rzeczy sprawa była prosta. Pragnął urzeczywistnić marzenie. Chciał wrócić jak najszybciej do domu, w którym spędził noc, położyć się do łóżka i kochać z Wendy. Pieścić jej ciało, dotykać krągłych i jędrnych piersi – tak jak we śnie. Dać się ponieść pasji, patrząc prosto w tajemnicze, szaroniebieskie oczy. Całować pełne usta aż do utraty tchu. Zatracić się w miłości...

Purdy mówił dalej, ale Brad go nie słuchał. Wpatrywał się w Wendy, ciekaw, o czym myśli. Czy nie żałuje, że wyrwała się z taką propozycją?

Doszedł do wniosku, że to jedno wielkie nieporozumienie. Przecież nie jest w stanie usiedzieć na miejscu. Rozpiera go energia. Co on będzie robił godzinami na tych cholernych bagnach? Usychał z pożądania do szarookiego anioła miłosierdzia? Zaklął pod nosem.

– Szefie... – zaczął, drapiąc się za uchem.

– Ani kroku bez porozumienia ze mną. Rozumiesz? Sprawdziłszy przed chwilą numer telefonu, z którego dzwonicz, tak że mamy na ciebie namiary. Wydostanę cię stamtąd, gdy tylko złapiemy Michaelsona. Ty, chłopie, masz za zadanie utrzymać się przy życiu.

W słuchawce rozległ się głuchy trzask. Rozmowa została przerwana. Brad spojrzał na Wendy – była blada jak śmierć.

– Widzę, że jesteś niezłe przerażona – stwierdził, odkładając słuchawkę

na widełki. – Nadal mi nie ufasz, prawda? Po co więc wyrwałaś się z taką propozycją?

Wendy poderwała się z krzesła i ujęła pod boki.

– Niewdzięcznik! – syknęła przez zęby.

– Rozmowa skończona, synu? – Do kantorka wszedł Mac.

Brad skinął głową i uśmiechnął się pod nosem. Mac wyglądał jak stara, pomarszczona małpa – miał długą brodę i czyste, choć skudłaczone włosy. Pasował idealnie do tego miejsca. Zachowywał się gburowato, ale w gruncie rzeczy był przychylnie nastawiony do Brada – oczywiście ze względu na Wendy. Jasne było, że w razie czego stary gotów jest pójść za nią w ogień.

– Tak, właśnie skończyłem – odparł Brad.

– Wendy, chcesz zabrać teraz samochód? Brad poprowadzi wóz, a ty wrócisz łodzią? – zwrócił się łagodnym tonem Mac.

– Nie, nie. Przy płynęliśmy tylko, żeby zadzwonić.

– W porządku. Postaram się w takim razie, żeby ci go ktoś później odstawił. – Mac podszedł do kontuaru i nalał – sobie kawy z automatu, nie spuszczać oka z Brada. – Napijesz się kawy?

– Chętnie.

Napełnił kubek czarnym, gorącym płynem.

– Czy masz coś wspólnego z facetami, którzy kręcą się tu po okolicy w czarnej limuzynie? – spytał od niechcena.

Brad omal nie zachłysnął się kawą. Rzucił Wendy porozumiewawcze spojrzenie.

Stary uśmiechnął się od ucha do ucha. Reakcja Brada wprowadziła go widać w dobry humor.

– Tankowali u mnie wczoraj wieczorem paliwo. Nie powiem, żeby mi się podobał ich wygląd. Pytali, czy nie widziałem przypadkiem szewroleta. Sam nie wiem czemu, skłamałem, że nie. Szukali jakiegoś gościa – swojego koleżki, którego zgubili na mokradłach. Powiedziałem im, że jak się ktoś zgubił na bagnach, to już po nim. Czy jeśli wrócą – a czuję to przez skórę – mam im powiedzieć, że naprawdę nie mają tu więcej czego szukać? Że gościa już dawno trafił szlag na grzędawisku?

– Będę panu niezmiernie wdzięczny. – Brad uściśnął rękę Maca. – Wie pan, to bardzo ważne. Nie mogę tego, co prawda, udowodnić, ale niech mi pan wierzy, jestem przyzwoitym człowiekiem. Te typy są w stanie narobić niezłego bigosu.

– Nic mi nie musisz udowadniać – odparł Mac. – Na świecie jest pełno dobrych i złych facetów. Trzeba mieć po prostu wyczucie. – Spojrzał wymownie na Brada, a potem na Wendy i wyszedł na dwór.

Wendy pospieszyła za nim. Brad dostrzegł przez brudną szybę, że rzuciła się staremu na szyję i ucałowała go serdecznie w oba policzki. Widać było, że są dobrymi przyjaciółmi. Bradowi ścisnęło się serce z zazdrości. Stary Mac znał dobrze Wendy Hawk. Znał szczegóły z jej życia. Dzielił z nią zapewne sekrety przeszłości, wiedział, jakie ma plany i marzenia.

Jak bardzo intrygowała go ta kobieta, zaprzętała myśli, budziła pożądanie... Powinien się może ukryć nie tylko przed Michaelsonem, ale i przed nią. Michaelson czyhał na jego życie, Wendy Hawk gotowa była zaś zabrać mu serce.

Wyszedł na dwór. Wendy uściśnęła starego na pożegnanie i wsiadła do łodzi. Brad poszedł w jej ślady. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem w

milczeniu. W końcu Wendy wstała, poluzowała cumę i zapuściła silnik. Głośny warkot wypłoszył gromadę ptaków, która z wrzaskiem wzbiła się w powietrze.

Wendy zajęła miejsce przy sterze, wpatrzona w jakiś punkt w oddali. Brad westchnął głośno. Wracali razem do domu. Do jej domu. A więc kości zostały rzucone.

Przyglądał się Wendy z uwielbieniem. Promienie słońca połyskiwały złotem w jej włosach. Podziwiał opalone ramiona, kobiecą sylwetkę.

Ciekaw jestem, ile czasu przeznaczone jest nam spędzić ze sobą? – przemknęło mu przez myśl.

To nie była kwestia czasu. Wiedzieli o tym oboje. Jakaś dziwna siła pchała ich ku sobie. Zdawali sobie sprawę, że trudno będzie się jej oprzeć.

Zbliżali się do domu – skazani na siebie przez los. Dla Brada stało się nagle jasne jak słońce, że będzie się kochać z Wendy. Tak chciało bowiem ślepe przeznaczenie, którego nie byli w stanie uniknąć.

Wendy odwróciła się do niego, żeby mu coś powiedzieć, ale gdy napotkała jego wzrok, nie potrafiła wykrztusić słowa.

Przez dłuższą chwilę nie odrywali od siebie oczu, jakby nagle ulegli magii jakiegoś czarodzieja. A może to nie była żadna magia, tylko zwyczajny zew natury? Podstawowe prawo, jakim rządziło się życie: że kobieta budzi w mężczyźnie pożądanie.

Wendy zebrała się w sobie i odwróciła od Brada wzrok. Dopłynęli do celu w milczeniu. Ludziom, którzy osiągnęli porozumienie dusz, słowa nie były potrzebne.

Rozdział 4

Bradowi zdawało się, że dom stał się mniejszy – jakby się nagle skurczył, otulając ich w środku. Wiedział oczywiście, że to tylko złudzenie.

Wendy wyrzuciła nietknięte śniadanie i zabrała się za sprzątanie kuchni. Chciał zaproponować pomoc, ale podejrzewał, że Wendy nie ma w tej chwili ochoty na jego towarzystwo. Zresztą, kuchnia też dziwnie zmaląła.

Włączył telewizor. Zbliżała się dwunasta. Sprawdził na kilku kanałach, ale nie było nic ciekawego. Zdecydował się na jeden z popularniejszych programów. Właśnie kończyła się dramatyczną sceną obliczoną na wyciskanie łez znana opera mydlana. Brad uprzytomnił sobie, że ten serial oglądał namiętnie Jim. Nawet nie wiedział, kiedy i jak wciągnęły go losy głównych bohaterów. Gdy tylko mieli chwilę wolną albo byli na służbie i siedzieli godzinami beczynn timer, popijając kawę, w oczekiwaniu na jakieś zadanie, Jim zabawiał go opowiadaniem dramatycznych wydarzeń z ostatniego odcinka. Oczywiście przeważnie nie był w stanie oglądać na bieżąco serialu, ale zawsze nagrywał wszystko wiernie na wideo.

No cóż, Jim już nigdy nie obejrzy żadnej opery mydlanej.

Brad pracował z Jimem zaledwie miesiąc. Jego dawny partner, Dennis Holmes, ożenił się z nauczycielką, z którą był zaręczony ponad dziesięć lat, i odszedł z Brygady Specjalnej. Zatrudnił się w szkole w Bostonie. Brad, Dennis i Jim zgodni byli co do jednego: że ich pracy nie da się pogodzić z małżeństwem.

Ścisnęło mu się serce na myśl, że Jimowi nie było pisane kiedykolwiek

się ożenić. Został zastrzelony w kwiecie wieku. Drań Michaelson zapłaci jeszcze drogo za życie Jima! Brad wpakowałby mu z prawdziwą przyjemnością kulę prosto w łeb, jak kowboj w klasycznym westernie. To nie był Dziki Zachód, nie miał więc szans porachować się z Michaelsonem w pojedynku. Zresztą, musiał za wszelką cenę starać się przeżyć, by zeznawać przeciwko temu draniowi w sądzie. Marzyło mu się jednak, aby ten jeden jedyny raz wziąć prawo w swoje ręce.

Opera mydlana dobiegła końca i zaczął się dziennik. Śledził w napięciu najnowsze wiadomości. Rozluźnił się dopiero, gdy przystojna blondynka zaczęła informować poważnym głosem o aferze przemytu narkotyków, w którą wmieszany był Michaelson.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Jima, zrobione podczas pikniku z okazji Święta Pracy. Ubrany był sweter pamiętający jeszcze czasy drużyny piłkarskiej. Miał rozczochrane włosy i rozbrajający uśmiech. Wyglądał bardzo młodo – za młodo, żeby umierać. Bradowi zrobiło się smutno na duszy.

Blondynka oznajmiła, że ciało zostanie przewiezione do Delaware, rodzinnego miasta Jima, gdzie odbędzie się pogrzeb.

Nagle na ekranie telewizora pojawiło się zdjęcie Brada, również zrobione w czasie pikniku. Miał na sobie identyczny sweter i pod pachą trzymał piłkę. Wolną ręką obejmował pełną, rudowłosą kobietę. W tle widać było skrzynkę piwa.

Wyglądał na tej fotografii jak student. Miał włosy w artystycznym nieładzie i uśmiechał się zalotnie do rudej piękności.

Skąd, do diabła, Purdy wytrzasnął to zdjęcie? Czy nie mógł przekazać zwykłej paszportowej fotki, na której Brad – w garniturze i pod krawatem

oraz porządnie uczesany – miał odpowiednio wystudiowaną minę?

To śmieszne, ale zupełnie nie pamiętał imienia tej rudej.

Spikerka wyjaśniła, że Brad i Jim byli tajnymi agentami oraz że dla bezpieczeństwa Brada McKenny podano wcześniej na jego temat błędne informacje. Okazało się jednak, że został rozszyfrowany, nie ma więc sensu ukrywać dłużej jego prawdziwej tożsamości. Według ostatnich wiadomości Brad zaginął i podejrzewa się, iż nie żyje.

A więc Purdy dotrzymał słowa i oczyścił go z zarzutów. Skoro musieli go koniecznie uśmiercić, to wolał być martwym agentem niż martwym przemytnikiem narkotyków.

Na ekranie pojawiła się znowu blond spikerka i podała, że policja i inne instancje rządowe robią wszystko co w ich mocy, aby ująć Michaelsona.

Brad zorientował się, że Wendy stoi tuż za nim – usłyszał, że odetchnęła z ulgą. Wiedział, że dotychczas ufała mu wiedzona wyłącznie instynktem. Teraz mogła się przekonać, że intuicja jej nie zawiodła.

– Jak widzisz, zostałem zrehabilitowany – stwierdził z lekkim wyrzutem w głosie.

– Sama już nie wiem, co o tym myśleć – odparła, obrzucając go uważnym spojrzeniem. – Słuchaczom można – wszystko wmówić, w zależności od potrzeb. – Uśmiechnęła się i wyszła do kuchni.

Brad wyłączył telewizor. Poczł się nagle nieswojo. Co on tu będzie robił przez cały czas? Wiedział, że będzie mu ciężko trzymać się z dala od Wendy.

– Jesteś głodny? – padło pytanie z kuchni.

Jeszcze jak. Jest zgłodniały miłości. A już wyjątkowy apetyt ma na nią, Wendy.

– Owszem. Tak się złożyło, że nie zjedliśmy śniadania – powiedział głośno, siląc się na obojętny uśmiech.

Wendy wyśmienicie gotowała i uwielbiała spędzać czas w kuchni. Wyjęła z lodówki plastikowy pojemnik i podała go Bradowi, żeby zdjął przykrywkę. W pojemniku znajdowały się resztki krewetek. Brad zmarszczył brwi, zdziwiony.

– Musimy sami zatroszczyć się o lunch – roześmiała się Wendy. – Krewetki posłużą nam za przynętę.

Wyjęła z szafy dwie wędkę. Brad zmierzył je wzrokiem i uśmiechnął się od ucha do ucha. Chwała Bogu! Wyrwą się choć na chwilę z domu, w którym ściany przytłaczały go coraz bardziej. Spodobał mu się pomysł, żeby wybrać się na ryby.

– Podpłyniemy motorówką?

– Nie. Weźmiemy łódkę. Chciałabym spróbować złowić suma. Mam doskonały przepis na tę rybę, nie wiem tylko, czy lubisz pikantne potrawy.

Brad spojrzał na nią takim wzrokiem, że się zaczerwieniła. Dała nura pod stół i zaczęła czegoś gwałtownie szukać.

– Gdzie się podziała przenośna chłodziarka? – spytała pod nosem.

– Przygotuję tymczasem lód – zaproponował Brad.

– Dziesięć minut później byli gotowi. W chłodziarce, która się w końcu znalazła, wylądowały, oprócz lodu, piwo, pocięty w kostki żółty ser oraz kilka dorodnych papryk. Wendy doszła bowiem do wniosku, że w tym czasie nadejdzie pora lunchu. Gdyby przez cały ten czas nic nie jedli, zgłodnieliby jak wilki.

Łódka była przycumowana za domem. Brad stwierdził, że dom otoczony jest wodą, a jedyna droga w pobliżu biegnie po drugiej stronie

kanalu, skryta za szuwarami.

– Jak ty się tu dostajesz samochodem? – zdziwił się.

– Podpływam do drogi łódką.

– Aha...

– To znowu nie żadna filozofia. Zresztą, ja rzadko korzystam z samochodu. Do większości miejsc w okolicy łatwiej dostać się łodzią.

– Ale życie – bąknął pod nosem Brad.

Wendy zatrzymała się na moment, zadarła głowę i spojrzała na niego zadziornie.

– Nie jest tu aż tak źle, mieszcuchu. Wszystko, czego mi potrzeba, mam niemal w zasięgu ręki.

Gdy znaleźli się przy łódce, załadowała obie wędki. Brad rozejrzał się dookoła, starając się zapamiętać szczegóły – wodę, szuwary i drogę.

Nagle Wendy zaczęła przeraźliwie krzyżeć. Brad zrobił unik i odruchowo sięgnął po broń. Uprzytomnił sobie w tym momencie, że jej nie ma. Bez pistoletu czuł się jak nagi.

Podbiegł do niej, gotów rzucić się na pomoc z gołymi rękami. Wendy wybuchnęła śmiechem.

– Co się stało? – spytał zdezorientowany.

– To Dzidzia – chichotała.

– Olbrzymia pantera przeciągnęła się leniwie na dnie łódki, wstała i zaczęła się przymilnie ocierać ojej nogę.

– Uciekaj stąd, Dzidziu! Śmiertelnie mnie przeraziłaś. – Wendy podrapała pupilkę za uchem i poklepała po grzbiecie.

Kocisko wyszło dostojnym krokiem z łodzi. Brad przejechał ręką po delikatnym, miękkim futrze.

Wendy spostrzegła, że wcale nie ubawiła go ta sytuacja. Wręcz przeciwnie – twarz miał poważną.

– Czy ta dubeltówka w pokoju to jedyna broń, jaką posiadasz? – spytał szorstko.

Zawahała się.

– Nie. Mam jeszcze pistolet kaliber trzydzieści osiem, taki, jakiego używają policjanci. Leży w komodzie, w sypialni.

– Jak wrócimy, to mi go dasz – oznajmił krótko i usadowił się w kajaku na tylnym miejscu.

Odbili od brzegu i płynęli, nie odzywając się do siebie. Wendy zerknęła co jakiś czas na Brada. Żałowała, że powiedziała mu prawdę. Broń palna budziła w niej strach. Że też Dzidzia musiała ją tak przestraszyć! Była wściekła na siebie, że niepotrzebnie narobiła wrzasku.

A już zupełnie nie mogła sobie darować, że zaproponowała Bradowi McKennie gościnę w swoim domu. Czowała się przy nim niezręcznie i miała wrażenie, że z minuty na minutę sytuacja się pogarsza. Brad zachowywał się tak, jakby nie rozumiał, że wyszła z tą propozycją wyłącznie dlatego, iż mieszka na kompletnym odludziu. Wiedziała, że nikt go tu nie znajdzie, że jest u niej całkowicie bezpieczny i niepotrzebna mu żadna broń.

Słońce prażyło coraz mocniej. Ciągłe milczeli. Słysząc było rytmiczne uderzenia wiosła – Brad miał wyraźnie wprawę w wiosłowaniu. Podwinął rękawy koszuli do łokci, tak że widać było, jak przy każdym ruchu pod opaloną na brązowo skórą prężą się mięśnie. Płynął z zaciętą miną, skupiwszy całą uwagę na wiosłowaniu. Był bardzo przystojny, Wendy podobał się najbardziej, gdy się uśmiechał.

Na zdjęciu, które pokazano w telewizji, wyglądał bardzo młodo i robił

wrażenie odprężonego, zadowolonego. Poza tym, zdaje się, że był całkiem szczęśliwy...

Ciekawe, kim jest ta rudowłosa piękność. Na samą myśl o niej poczuła zazdrość.

– Brad?

– Tak? – Nie przerywał wiosłowania. Stopił się niemal z otaczającą go przyrodą, z morzem traw, żurawiami, nurami i czaplami. Coraz lepiej rozumiał panującą na bagnach ciszę, którą zakłócał tylko wrzask spłoszonych ptaków.

– Zapuściliśmy się już bardzo daleko.

Brad odłożył wiosła. Łódka kołysała się lekko na falach. Wendy wzięła wędkę, sprawdziła szaławik i ciężarki, wreszcie założyła na haczyk przynętę. Czowała, że Brad śledzi każdy jej ruch.

– Ryby biorą lepiej na żywe krewetki – wyjaśniła – ale jestem pewna, że i na te się skuszą.

Zarzuciła wędkę. Brad przygotował swoją, nie spiesząc się. Gdy tylko haczyk plusnął w wodę, sięgnął po piwo.

– Napijesz się?

– Tak, proszę – skinęła głową.

Brad otworzył dwie puszki i jedną podał Wendy. Dopiero popijając zimne piwo, zdała sobie sprawę, że na dworze panuje upał. Błyskawicznie zakręciło jej się w głowie – uprzytomniła sobie, że jeszcze nic nie jedli.

Zerknęła na Brada – siedział, wpatrzony w szaławik, z wędką w jednym ręku i puszką piwa w drugim. Dżinsy i koszula Leifa pasowały na niego jak ulał. Przypomniała sobie, jak znalazła go na mokradłach. Nie minęła od tej chwili nawet doba, a tyle rzeczy się już zdarzyło.

Stanął jej nagle w pamięci dzisiejszy ranek – gdy złapał ją i przytrzymał w mocnym uścisku. Ten niespodziewany przybysz budził w niej mieszane uczucia. Napawało ją smutkiem, że zburzył jej spokój, ale z drugiej strony fascynowało, że ją tak bardzo podnieca. Czuła znowu, że żyje, że burzy się w niej krew. I wcale nie miała ochoty walczyć z tymi uczuciami tylko dlatego, że wzbudzał je obcy mężczyzna. Darzyła go zresztą instynktownie zaufaniem. Była pewna, że Brad McKenna nigdy nie zrobiłby niczego wbrew woli kobiety.

Ich spojrzenia się spotkały. Wendy przeraziła się na myśl, iż jest dla Brada również obiektem pożądania – zdradził go bowiem pełen namiętności wzrok. Przeszył ją gwałtowny dreszcz.

– Brad? – zaczęła ochryplym głosem. Musiała koniecznie zadać mu pytanie, które dręczyło ją od pewnego czasu. – Czy ty... – Zabrakło jej tchu. Zwilżyła wargi i uśmiechnęła się dla dodania sobie odwagi, gdyż Brad cały czas pożerał ją wzrokiem. – ... Nie jesteś żonaty, prawda?

Spojrzał na nią przeciągle.

– Nie.

– A kim jest ta rudowłosa kobieta ze zdjęcia?

Znowu milczał przez chwilę.

– Szczerze? Nie pamiętam. Zdaje się, że ma na imię Chrissy.

– Aha.

– Brad odstawił puszkę z piwem i wetknął wędkę pomiędzy deszczułki w podłodze kajaka. Ujął twarz Wendy w dłoń.

Dotyk szorstkich palców na policzkach przyprawił ją niemal o zawrót głowy.

– Nie jestem żonaty. I nigdy nie zamierzam się ożenić, rozumiesz? –

powiedział to takim tonem, że ścierpła na niej skóra.

Chciała mu się wyrwać, ale nie była w stanie się ruszyć. W głowie miała mętlik. Czuła się urażona, była jednak pod wrażeniem jego dotyku i nawet nie drgnęła.

– Chciałam tylko wiedzieć, McKenna, czy jesteś żonaty. Zupełnie mnie nie interesuje twój pogląd na kwestię małżeństwa. – Wykrzywiła usta w szyderczym uśmiechu.

Zarumienił się lekko, co sprawiło jej prawdziwą przyjemność.

– Wendy, przecież byłaś kiedyś mężatką.

– No właśnie, byłam. Czas przeszedł. Nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż.

Atmosfera między nimi zrobiła się nagle ciężka. Słońce prażyło w głowy niemiłosiernie – było samo południe. Brad wciąż trzymał twarz Wendy w dłoniach. Siedzieli tak blisko, że dotykali się kolanami.

– Dlaczego nie? Czy twoje małżeństwo było takie cudowne, czy się sparzyłaś?

– To pierwsze, McKenna. Byliśmy wyjątkowo dobraną parą. Nikt nie jest w stanie dorównać mojemu mężowi.

Zapadło niezręczne milczenie. Upał dawał się coraz bardziej we znaki. Było duszno i wszystko się na nich lepiło.

– Ciekaw jestem, czy w przyszłości nie zmienisz zdania – powiedział po dłuższej chwili Brad.

– Nie ma na to najmniejszych szans.

– Nie byłbym taki pewien – przysunął się do niej jeszcze bliżej. – Będziesz się musiała mieć na baczności. Może się zdarzyć, że nawet się nie spostrzeżesz, a już będzie za późno. – Przejechał kciukiem po jej

dolnej wardze.

– Kto wie, czy to nie ty powinieneś się mieć na baczności, McKenna. Uważaj, żebyś przypadkiem nie wpadł, bo możesz się nieprzyjemnie rozczarować.

– Zobaczymy – wyszeptał i przywarł do jej ust.

Rozmawiali ze sobą bezczelnie i obcesowo, ale zespolili się w intymnym pocałunku, pełnym ciepła i czułości. Wendy zastanawiała się, czy Brad jest równie czuły w łóżku.

Nie zważając na słowa, które padły przed chwilą, ani na to, że zna go niecałe dwadzieścia cztery godziny, Wendy zatraciła się w pocałunku.

Brad pieścił wargami delikatnie i zmysłowo jej usta. Końcem języka penetrował subtelnie wnętrze ust, badał głębię. Wendy rozkoszowała się pocałunkiem, reagowała na każdy ledwie dostrzegalny ruch. Robiło jej się coraz bardziej gorąco, jakby promienie słońca przeszywały ją na wskroś. Żar namiętności tlił się w niej coraz większym płomieniem, obezwładniał ciało, zapierał dech w piersi. Obudziło się w niej gwałtowne, niepohamowane pożądanie. Marzyła, by ich ciała spotkały się w erotycznym pojedynku.

Była o krok od tego, by stracić głowę, ale przypomniała sobie w porę słowa przestrogi.

Brad przestał ją całować. Otworzyła oczy i napotkała niespokojny, rozpłomieniony wzrok. Poczwała na twarzy gorący, urywany oddech. Okazało się, że Brad jest jeszcze bardziej podniecony od niej. Sprawiało jej to pewną satysfakcję.

Zdobyła się na wyjątkowo czarujący uśmiech.

– No cóż, McKenna – powiedziała łagodnie z przesadną czułością –

myślę, że nie mam najmniejszego powodu obawiać się o siebie.

Zaskoczyła go. Zmarszczył brwi, puścił ją i odsunął się na bezpieczną odległość, nie odwracając wzroku.

– Ach, tak? – mruknął.

– Tak.

Spojrzeni na siebie i nagle wybuchnęli śmiechem.

Brad sięgnął po puszkę z piwem i upił łyk, nie spuszczać z niej oczu. Wendy wytrzymała dzielnie jego spojrzenie. Na jej ustach błąkał się wciąż uśmiech, nad którym nie była w stanie zapanować.

Pochylił się ku niej i stwierdził konfidencjonalnie:

– Następnym razem będę się musiał bardziej postarać.

– Uważaj, żebyś nie wpadł we własne sidła, bo może się to dla ciebie źle skończyć.

– Nie martw się o mnie na zapas. Jestem dorosłym mężczyzną i w razie czego jakoś sobie poradzę.

Wendy uśmiechnęła się wyzywająco.

– A ja jestem dorosłą kobietą i umiem sobie radzić w każdej sytuacji, nawet takiej jak ta.

– Pożyjemy, zobaczymy. Poczekajmy do następnego razu.

– Sądzisz, że będzie jakiś następny raz?

W głosie Wendy nie było cienia prowokacji. Zadała to pytanie z czystej ciekawości. Rozchyliła wargi w uśmiechu, który rozjaśnił oczy, przydając im srebrzystego blasku. Brada przeszył znowu gwałtowny dreszcz. Krew zaczęła mu pulsować gwałtownie z żyłach, a ciało stężało z podniecenia. Całe szczęście, że dzinsy były na tyle obszerne, by ukryć niezbitą dowód pożądania.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości.

W tym momencie spławik zanurzył się pod wodą.

– Coś się złapało na twoją wędkę! – wykrzyknęła Wendy uszczęśliwiona.

– Zdaje się, że tak – przyznał.

Miał sporą wprawę w łowieniu ryb. Jako dziecko mieszkał niedaleko jeziora Erie i od małego uczył się sztuki wędkowania.

Poluzował nieco żyłkę, a następnie nawinął ją z powrotem na kołowrotek. Po chwili poluzował żyłkę jeszcze raz i znowu nawinął na kołowrotek, podprowadzając w ten sposób rybę bliżej kajaka. Wendy sięgnęła tymczasem po podbierak.

– Myślisz, że będzie nam potrzebny? – spytał.

– Sumy mają ostre łuski. Łatwo się skaleczyć – ostrzegła. – Wydaje mi się, że w naszej sytuacji nie powinniśmy ryzykować. Przyznasz, że byłoby to idiotyczne, gdybyśmy musieli się teraz nagle zwrócić o pomoc do lekarza – stwierdziła z miną niewiniątka. – Kiedyś pokaleczyłam się tak, że trzeba było mi założyć kilka szwów.

– W takim razie lepiej użyć podbieraka. Zademonstruję ci swoją męskość innym razem.

– Masz na myśli „następnym razem”? – spytała z przekąsem i szybko odwróciła głowę, zawstydzona swoją śmiałością.

Brad zaciął wędkę. Wendy przytrzymała podbierak tuż nad wodą. Brad, z okrzykiem radości, spuścił do siatki wijącą się wściekle rybę. Sum ważył dobre kilka kilogramów. Obiad mieli zapewniony, mało tego, mogli zaprosić nawet gości i jeszcze by im pewnie zostało.

– Niezła sztuka, co? – oznajmił triumfalnie.

Wendy skinęła głową, rozpromieniona.

– Naprawdę niezła – potwierdziła z przekonaniem. Nie mogła się jednak powstrzymać i dodała: – Jak na mieszczucha.

Jeden zero dla niej, przyznał w duchu Brad. Usiadł na ławeczce i przyglądał się z uwagą Wendy, która założyła rękawice i ostrożnie wyjęła haczyk z pyska ryby. Lubił ją obserwować. Kojarzyła mu się z aniołem dzięki tajemniczym, srebrzystoszarym oczom i niemal platynowym włosom oraz szczupłej, wątej sylwetce. W rzeczywistości jednak stąpała mocno po ziemi i nie brakowało jej pewności siebie.

Psia krew! Że też jego wyrafinowane pieścizny nie zrobiły na niej żadnego wrażenia!

Wendy wrzuciła suma do wiadra stojącego na dnie łódki.

Brad sięgnął do chłodziarki, otworzył kolejne piwo i podał je Wendy.

– Zasłużyłaś na nie – powiedział uroczyście.

– Co za kurtuazja.

– Prawda? Jestem po prostu wyjątkowo uprzejmym facetem. Wyobraź sobie, moja droga, że zamierzam wiosłować sam również w drodze powrotnej. I przypominam ci, że to ja złapałem suma.

– Pierwszego – odparła butnie Wendy.

Ale sama nic nie złapała. Po drugim piwie zakręciło jej się w głowie, ukroiła więc sobie kawałek sera i zaczęła zajadać.

Jak na złość, Brad złowił znowu suma, jeszcze większego niż pierwszy. Wendy była niepokieszona. Brad chcąc jej dodać otuchy, przyznał się, że ma ogromną wprawę w łowieniu.

Słońce zaczęło już zachodzić, gdy zdecydowali się w końcu wracać do domu. Łódka sunęła do przodu niemal bezszelestnie. Brad wiosłował jak

zahipnotyzowany, zachwycając się widokami. Złoto i róż przydały przelatującemu żurawiovi tęczowego blasku. W wodzie odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca, a trawy falowały od powiewu wiatru zapowiadającego zbliżającą się noc.

Wendy siedziała zwrócona plecami do dzioba kajaku, a twarzą do Brada, dlatego nie spostrzegła krokodyla, który wyglądał jak kłoda drewna. Dopiero gdy podpłynęli bliżej, Brad zorientował się, że to olbrzymi gad.

Miał dobre pięć, a może nawet sześć metrów długości. Rozwarł ogromną, blisko dwumetrową paszczę, ukazując potwornie ostre zęby.

Wyglądało to zupełnie nieciekawie. Brad zeszywniał na widok grożącego im niebezpieczeństwa. Wbił wzrok w gada, przerażony.

Starał się jednak nie dać po sobie poznać, że się boi. Nie chciał bowiem, żeby Wendy miała kolejny pretekst do nazwania go mieszcuchem.

Musiał się zacząć powoli oswajać z różnymi bestiami, od których roiło się na bagnach. Przecież niedawno omal nie stoczył walki z wielkim kociskiem, który okazał się ukochaną panterą o imieniu Dzidzia.

Ciekawe jak ma na imię ten potwór? Młodzik? Albo Kropeczka? A może Wędrowniczek? – zadrwił w duchu.

Postanowił za wszelką cenę zachować zimną krew – nawet jeżeli gad podpłynąłby do nich tuż-tuż i zamierzał rozszarpać go na drobne kawałki.

Kilkoma mocnymi pchnięciami wiosła przybił do brzegu – łódka niemal do połowy wysunęła się z wody, lądując na pewnym gruncie. Brad chciał wysiąść, ale Wendy przytrzymała go za rękę.

– Nie ruszaj się – syknęła, cała spięta.

– Dlaczego nie? – wycedził zjadliwym tonem. – Ach, pewnie ze względu na krokodyla? Nie przejmuj się, już go dawno zauważyłem.

– Co takiego?! – Zrobiła wielkie oczy. Pociągnęła go za rękę, zmuszając, by usiadł. – W takim razie przestań się wygłupiać. Siedź jak trusia, dopóki nie odpłynie.

Uniosła się bardzo ostrożnie i wychyliła się po leżący w zasięgu ręki patyk. Rzuciła go z całej siły w krokodyla. Gad łupał na nią złowrogo, niewzruszony. Znalazła jeszcze jeden patyk i znów wycelowała – badył trafił gadzinę prosto w łeb. Zanurzyła się w wodzie i odpłynęła, znikając w mroku.

Brad spojrzał na Wendy.

– To nie był twój pupilek?

Wendy popukała się w czoło.

– Czyś ty zwariował?! Nie wyobrażam sobie, żeby można było trzymać jako zwierzę domowe takie monstrum. Przecież ten potwór miał ze sześć metrów długości. Mógł nas pożreć oboje za jednym kłapnięciem. Krokodyle są wyjątkowo niebezpieczne, zwłaszcza głodne. I to nie tylko w wodzie. Na lądzie potrafią rozwijać sporą prędkość. Doprawdy lepiej schodzić im z drogi, jeśli się nie chce mieć kłopotu.

Sięgnęła po wiaderko ze złowionymi rybami. Wyszła z łódki i ruszyła w stronę domu, lekko kołysząc biodrami. Brad powiódł za nią wzrokiem z uwielbieniem.

Przypomniał sobie gliniarza z telewizji, który przechwalał się, że ma w domu krokodyla. To był pewnie tylko reklamowy trik, stwierdził w duchu. Co innego pantera. Okazuje się, że to wyjątkowo miłe zwierzę do trzymania w domu – uśmiechnął się z przekąsem.

Wstał i zebrał sprzęt wędkarski. Rozejrzał się za węzem gumowym, który widział na dworze, gdy wypływali na ryby. Opłukał wodą wędkę oraz podbierak i wszedł do domu.

Wendy oprawiała już ryby w kuchni. Odcięła im głowy, wypatroszyła i właśnie przymierzała się do filetowania. Uśmiechnęła się do niego przelotnie. Oczyszczone z ości filety ułożyła w misce z przygotowaną wcześniej marynatą.

– Wskoczę teraz pod prysznic. Rozgość się, proszę. Włącz sobie telewizor, nalej wina – czuj się po prostu jak u siebie w domu.

Brad oparł się plecami o lodówkę i otworzył puszkę piwa.

– Dotrzymać ci towarzystwa? – zaproponował.

– Nie, dziękuję.

Pokiwał głową z politowaniem.

– Rozumiem. Nie mogłabyś mi się oprzeć.

Wendy na moment zatkanęło.

– Czas pokaże, mieszczechu, kto i czemu nie będzie się w stanie oprzeć – wypaliła po chwili.

Brad uniósł w górę puszkę, zupełnie jakby wznosił toast. Przymknął lekko powieki i zmierzył Wendy powłóczęstym i przenikliwym spojrzeniem.

Znała skądś takie spojrzenie. Uprzytomniła sobie, że w ten sposób patrzy na ptaki Dzidzia.

Ogarnęła ją fala ciepła. Na policzki wypełzły delikatne rumieńce. Może Brad ma rację. Może nie jest wcale taka mocna, jak się jej zdaje. Może w ogóle nie umie sobie radzić z zaistniałą sytuacją. Miała szansę w porę się wycofać, sam jej to proponował. Uprowadził ją też, że między nimi możliwa

jest wyłącznie przyjaźń i żeby na nic więcej nie liczyła. Za żadne skarby nie chciałyby skończyć jak ta rudowłosa ze zdjęcia, której imienia Brad nie pamięta.

Odwróciła się na pięcie i mruknęła:

– Wezmę szybki prysznic. Zaraz będę gotowa.

Pospiesznie wyszła z kuchni.

Brad zagapił się bezmyślnie przed siebie. Zupełnie nie rozumiał, co spowodowało w niej taką nagłą zmianę w zachowaniu.

Wendy puściła strumień gorącej wody w nadziei, że uda jej się trochę ogrzać, wstrząsały nią bowiem zimne dreszcze.

Może w gruncie rzeczy wcale nie chciała, by Brad pamiętał jej imię. Pragnęła jego dotyku tylko dlatego, że czuła się samotna i tak dawno nie miała do czynienia z mężczyzną. Ciemności i właśnie to, że się w ogóle nie znali, podziały w pewien sposób na jej wyobraźnię.

Woda spływała strumieniami po jej ciele, przynosząc ukojenie.

Wendy była ciekawa, jak zareagowałby Brad, gdyby zorientował się w jej uczuciach. Rzeczywiście go pragnęła. Czuła do niego ogromny pociąg fizyczny – zdawało jej się, że z wzajemnością.

Podejrzewała, że jest typem człowieka, który nie zgodziłby się być jedynie substytutem innego mężczyzny. Gdyby zorientował się, że pragnie go tylko dlatego, by zapomnieć o innym, z pewnością uśmiech znikłby mu z twarzy i nie zdobyłby się już więcej na żadną erotyczną aluzję.

Nie rozumiała tylko jednego: dlaczego Brada interesowały szczegóły jej małżeństwa. Zwłaszcza że usiłował zrobić wrażenie człowieka, który uznaje wyłącznie przelotne przygody.

Przygryzła wargi. Chwilami ten człowiek doprowadzał ją do ostateczności.

Aż podskoczyła, gdyż drzwi łazienki otworzyły się i po chwili cichutko zamknęły.

– Brad? – wyszeptała. – Brad, to ty?

Nikt nie odpowiedział. Słyszeć było jedynie, jak woda spływa strumieniami wzdłuż nagiego ciała i leje się z pluskiem na terakotę.

Rozdział 5

Brad! – zawołała Wendy z paniką w głosie.

– Tsst! – dał się słyszeć podniecony szept.

Na myśl, że do łazienki zakradł się niespodziewanie mężczyzna, Wendy odruchowo schowała się za zasłonką i wychyliła ostrożnie głowę spod prysznicza. Brad nawet na nią nie spojrzał; oparł się o stojącą pod ścianą szarkę i wyjrzał przez małe okienko, wysoko w górze. Uwagę jego przykuło coś po prawej stronie od okna.

– Co się stało? – zapytała szeptem Wendy. Nie odezwał się, tylko stał, jak zjawa, i w napięciu obserwował okolicę. – Brad, co się stało?! – powtórzyła z naciskiem.

Odwrócił się od okienka. Przyglądał się Wendy przez chwilę z zadumą, po czym podszedł do niej zamaszystym krokiem. Nie dotknął jej, tylko stał tuż-tuż i patrzył prosto w oczy. Wokół nich unosiły się kłęby pary.

– Ktoś się tu kręci na dworze.

– Ach, to na pewno Dzidzia – stwierdziła Wendy i odetchnęła z ulgą.

– Nie. To nie ona.

– Brad, rozumiem, że się niepokoisz, ale jesteśmy na takim odludziu, że doprawdy niepotrzebnie ponosi cię fantazja i wy...

– Nie ponosi mnie żadna fantazja – przerwał jej w pół słowa.

Wendy ścisnęła kurczowo zasłonę prysznicza. Ten obcy mężczyzna wpadł jak burza do łazienki, nie pofatygowawszy się nawet, by najpierw zapukać, jak nakazywała przyzwoitość. Zachowywał się dziwnie. Był spięty. Zdradzał to jego wzrok, postawa, każdy muskuł.

Wendy przestraszyła się nie na żarty.

– Czy umiesz strzelać? – spytał ostrym tonem.

– Uspokój się, Brad...

– Pytam się, czy umiesz strzelać!

– Tak.

– Nie ruszaj się z domu. Nabij dubeltówkę i przygotuj się na to, że będziesz musiała się bronić. Słyszałaś? Ani kroku stąd. I gdy tylko stwierdzisz, że coś jest nie tak, natychmiast strzelaj.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Wendy zakręciła kran i wyszła spod prysznicą. Co za bzdura, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo! Musiała przemówić Bradowi do rozsądku. Już go chciała zawołać, ale zdecydowała się go poszukać.

Wytarta się byle jak i ubrała się pospiesznie. Wyszła ostrożnie z łazienki, rozglądając się wokół. Nie dostrzegła niczego niepokojącego, ale postanowiła, na wszelki wypadek, naładować strzelbę.

Zdjęła broń ze ściany i zaczęła przetrząsać nerwowo półki w szafie w poszukiwaniu naboju. Nie miała pojęcia, gdzie się podziały. W końcu przypomniała sobie. Nabiła broń i zaczęła się skradać korytarzem. Podejrzewała, że Brad jest gdzieś na dworze. Tylko gdzie?

Było cicho jak makiem zasiał.

– Tu cię mam, łobuzie! – wrzasnął ni stąd, ni zowąd jakiś mężczyzna.

– Teraz już po tobie! – odezwał się drugi i zaklął szpetnie.

– O Boże! – Wendy rozpoznała oba głosy i domyśliła się, co się stało. Rzuciła się do drzwi frontowych i wybiegła na dwór.

– Stój! Stój! – krzyknęła na całe gardło.

Nikt nie zareagował, uniosła więc w górę strzelbę, pociągnęła za spust i wystrzeliła na oślep. Dubeltówka odrzuciła tak, że Wendy z trudem

utrzymała równowagę. Po chwili zapadła martwa cisza.

Brad sam nie wiedział, po czym zorientował się, że ktoś jest na dworze. W gruncie rzeczy nie było słycać niczego podejrzanego, tylko szum wiatru i szelest liści.

Wyczuł to po prostu przez skórę.

Ktoś ich obserwował. Podglądał – Brad był tego pewien.

To nie mógł być Michaelson. Nie należał do tych, którzy skradają się na palcach. Jego specjalnością było nagłe wtargnięcie i ostra wymiana ognia. Na takim odludziu i dysponując przewagą w ludziach i amunicji, rozprawiłby się z nimi błyskawicznie. Nie bawiłby się w długie rozmowy ani nie stosował wymyślnych tortur, tylko wpakował kulę w łeb, pozbawiając się kłopotu.

Skoro to nie był Michaelson, to w takim razie, do cholery jasnej, kto?

Brad wymknął się na dwór przez drzwi frontowe. Zamknął je za sobą na klucz w nadziei, że Wendy zyska trochę na czasie, gdyby sytuacja stała się gorąca.

Musiał uważać, żeby światło padające przez okna na zewnątrz, nie zdradziło jego obecności. Przywarł plecami do ściany i starał się dostrzec coś w ciemnościach. Wsłuchał się w odgłosy nocy – cykanie świerszczy, rechotanie żab, szeleszczące na wietrze liście, łagodny szum traw.

Każdym nerwem czuł, że ktoś jest w pobliżu.

Zaczął obchodzić dom. Żałował trochę, że nie wziął ze sobą strzelby, ale i tak nie wiedział, gdzie Wendy trzyma naboje. Zresztą, w gruncie rzeczy lubił ryzyko.

Zastanawiał się, w jaki sposób intruz tutaj dotarł. Nie widać było

nigdzie żadnej obcej łodzi – przy pomocy była przycumowana tylko motorówka, dokładnie tam, gdzie ją zostawili dzisiaj rano. Łódka tkwiła w tym samym miejscu.

Zamarł na moment, gdy usłyszał coś dziwnego. Nie wiedział dokładnie, co to za odgłos i skąd pochodzi. Wyrzwał z za rogu domu, wysilając wzrok w ciemnościach. Zaczął się skradać dalej kocim krokiem, gotów w każdej chwili odeprzeć atak. Był przekonany, że jest na właściwym tropie.

Obszedł dom i znalazł się znowu przy drzwiach wejściowych. Właśnie w tym momencie usłyszał jakiś ruch. Zobaczył, że ktoś jest na dachu. Zanim się spostrzegł, wielkie cielsko zważyło się na niego, przewracając go na ziemię. Brad zaklął dosadnie. Mężczyzna nie pozostał mu dłużny.

– Tu cię mam, draniu! – wrzasnął.

Brad leżał przygwożdżony do ziemi przez napastnika. Facet siedział na nim okrakiem. Był zwinny i silny. Ścisnął go tak mocno, że niemal pogruchotał mu kości. Brad zebrał się w sobie i poderwał się gwałtownie. Udało mu się zrzucić przeciwnika.

Ale on był szybki jak piorun. Przyskoczył do Brada i strzelił go pięścią prosto w szczękę.

Brad w odpowiedzi przyłożył mu z całej siły w brzuch, o mało nie uszkadzając sobie przy tym ręki. Nie dało to większego efektu.

Pochylił się więc i uderzył faceta z całej siły głową w żołądek. Obaj stracili równowagę i padli na ziemię. Zaczęli się znowu mocować, tarzając się przy tym i tarmosząc niemiłosiernie. Bradowi udało się wreszcie przytrzymać kolanami przeciwnika – spojrzał mu prosto w twarz i zdumiał się.

Mężczyzna miał zielone oczy i długie, czarne jak smoła włosy

przewiązane opaską. Ubrany był w dżinsową koszulę i obcisłe spodnie. Twarz pałała mu zuchwałością.

Gdy kolejny cios wylądował Bradowi na szczęcie, zaklął tylko i uderzył przeciwnika na odlew w twarz. Nie, to nie był Michaelson. To jedno było pewne. Brad został zaatakowany przez Indianina.

– Ty cholerny... – zaklął znowu, ale nie dokończył zdania, gdyż Indianin powalił go na plecy. Nabrał powietrza w płuca i starał się wyrwać z uścisku.

– Stój! – rozległ się z dala krzyk Wendy. – Stój!

Nie zrobiło to większego wrażenia ani na Bradzie, ani na napastniku, który z zaciętą miną trzymał go jak w kleszczach. Zbyt byli pochłonięci walką, która stawała się coraz bardziej zażarta.

Byli godnymi siebie przeciwnikami i każdy z nich chciał za wszelką cenę zwyciężyć.

Rozległ się niesamowity huk, jakby gdzieś niedaleko eksplodowała bomba. Mężczyźni odskoczyli od siebie jak na rozkaz.

Brad osłupiał na widok Wendy, która siedziała na ziemi ze strzelbą na kolanach.

– Uspokójcie się! – krzyknęła, z trudem łapiąc oddech.

– Słyszycie? Natychmiast się uspokójcie!

Brad, wciąż nieźle zasapany, spojrział na mężczyznę, który go zaatakował.

Indianin leżał jak długi na ziemi, wsparty na łokciu, dysząc ciężko.

Brad zerknął znowu na Wendy.

– Kto to jest, do cholery? – zapytał zdumiony.

– Kim ja jestem? Kim, do diabła, jest ten facet?! – zwrócił się

mężczyzna do Wendy.

Brad dźwignął się z ziemi, spoglądając najpierw na Wendy, a potem na Indianina, który najwyraźniej nie był w stanie zaakceptować obecności nie znanego mu mężczyzny. Przybysz też wstał i wziął się pod boki.

– No, powiedz mi w końcu, co to za facet – domagał się natarczywie.

Wendy też podniosła się z ziemi, wspierając się o dubeltówkę. Stała, z rozmysłem, między Bradem a Indianinem, by ich od siebie odgradzić. Nie zwracali na nią uwagi. Mierzyli się tak nienawistnym wzrokiem, że aż przeszły ją ciarki. O co im chodzi? Miała wrażenie, że najchętniej by się pozabijali.

– Brad, to jest Erie Hawk. Erie, to jest Brad McKenna.

– Powiedz mi w końcu, kimże jest ten Brad McKenna?

– spytał ostrym tonem Indianin, ciskając Bradowi groźne spojrzenie.

– Erie! To mój przyjaciel.

– Hawk? Myślałem, że twój mąż nie żyje – zdumiał się Brad.

Erie wykrzywił usta w kwaśnym grymasie.

– Leif nie żyje. Erie jest moim szwagrem.

Brad przyglądał się podejrzliwie obcemu i dopiero po chwili dotarło do niego, w czym rzecz.

– A więc twój mąż był Indianinem?

– No, Wendy, muszę przyznać, że to wyjątkowo bystry facet – wycedził Erie.

– Coś ci się nie podoba? – rzucił w odpowiedzi Brad.

Wendy przestraszyła się, że za chwilę znowu rzucą się na siebie. Rozłożyła ręce, jakby już ich chciała rozdzielić.

– Uspokójcie się, proszę! A jak nie, to wynoście się stąd, i to obaj.

Natychmiast!

Słowa te zrobiły na obu mężczyznach wrażenie.

Wendy odetchnęła z ulgą. Odczekała chwilę, przyglądając im się spod oka – łypali na siebie wciąż złowrogo, ale przynajmniej przestali sobie dogadywać.

– No jak? – odezwała się w końcu. – Ochłonęliście trochę? Myślicie, że jesteście w stanie zachowywać się w stosunku do siebie przyzwoicie?

Brad wzruszył ramionami.

– To nie ja zacząłem – skinął głową na Erica. – To on kręcił się tu cichcem, jakby miał zamiar kogoś oskalpować.

– Brad! – zachnęła się Wendy.

– A co ja mam sobie o tym wszystkim myśleć? – Erie udawał niewiniątko.

– Zamiast myśleć sobie Bóg wie co, mogłeś zwyczajnie zapukać do drzwi – stwierdziła stanowczo Wendy.

– Zobaczyłem jakiegoś osiłka skradającego się wokół domu i po prostu przestraszyłem się, że grozi ci niebezpieczeństwo.

– Dajmy już temu spokój! – Wendy odwróciła się plecami do obu mężczyzn i spojrzała na dom. – Macie się ochotę bić do upadłego? Proszę bardzo. Nie mam nic – przeciwko temu. Tylko nie liczcie na to, że będę wam robić okłady z lodu. Jeden wart drugiego – dodała. Zarzuciła na ramię strzelbę i ruszyła w stronę domu, lekko kołysząc biodrami.

Brad zmierzył wzrokiem przeciwnika. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i podobnej budowy. Dlatego stoczyli taką wyrównaną walkę. Poczuł, że ma podbite lewe oko; Indianin z kolei miał przeciętą wargę – po brodzie sączyła się stróżka krwi.

– Choć zżera mnie ciekawość, nadal nie wiem, kim jesteś. Widzę, że Wendy jest do ciebie przychylnie nastawiona, więc prawdopodobnie jesteś w porządku. Zauważyłem jednak, że niewiele o niej wiesz – stwierdził Indianin.

Brad wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście. Specjalnie mi się nie zwierzała – przyznał. – A ty jesteś Indianinem, tak?

Erie wyszczerzył zęby.

– Jestem z krwi i kości Seminolem.

– To skąd te imiona: Leif i Erie?

– Moja matka jest Norweżką.

– Rozumiem. Norweska Seminolka. Czemu nie... – Brad zamyślił się. Nie odczuwało się już między nimi wrogości. W gruncie rzeczy podobał mu się ten facet o ostrych rysach, przedziwnych, zielonych oczach i posępnym uśmiechu. Zdaje się, że zaczęła ich łączyć nić sympatii.

Ruszyli w stronę domu.

Brad zorientował się błyskawicznie, że szwagier jest całkiem zadomowiony u Wendy. Wzbudziło to w nim lekką zazdrość. Erie przysiadł na kuchennym blacie i przyglądał się, jak Wendy osacza filety z ryby i **wkłada** je na patelnię.

– Zostaniesz na obiedzie? – spytała. Erie rzucił spojrzenie Bradowi.

– Nie wiem, czy jestem mile widzianym gościem.

– Mamy całe mnóstwo ryby – odparła Wendy.

Brad milczał. Do tej pory czuł się niezręcznie sam na sam z Wendy, ale teraz, gdy nagle pojawił się Erie, marzył o tym, by jak najszybciej zostali we dwoje.

Indianin zerknął znów na Brada, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wiesz, że uwielbiam suma przyrządzonego przez ciebie.

Wendy skinęła głową.

– Przygotuj coś do picia dla siebie i Brada – poprosiła, nie odrywając wzroku od patelni.

– W porządku. – Zeskoczył z blatu i zwrócił się do Brada: Napijesz się czegoś mocniejszego?

– Chętnie. Jeśli można, to whisky z lodem.

– Załatwione. A ty, Wendy? Nalać ci lampkę wina?

Wendy zanurzyła fileta w syczącym tłuszczu i spojrzała na szwagra.

– Nie. Dziś wieczorem mam ochotę na whisky.

– Twoja prośba jest dla mnie rozkazem, wiesz o tym.

Był w tej chwili chyba jej najlepszym przyjacielem. Opłakiwali wspólnie śmierć Leifa. Nikt inny nie potrafił utulić jej w żalu. On jeden rozumiał, jak bardzo cierpiała po stracie męża. Przez długi czas był dla niej ostoją.

Od śmierci Leifa minęły już dwa lata, mimo to Wendy wiedziała, że jego brat nie jest w stanie znieść obecności w jej życiu innego mężczyzny – natychmiast odnawiały się stare rany. Z drugiej strony namawiał ją zawsze, by nie zasklepiła się w samotności.

Trudno się jednak dziwić, że miał sceptyczny stosunek do kręcącego się po domu obcego człowieka.

Podał Wendy szklaneczkę whisky z lodem. Wypiła kilka łyków, delektując się smakiem.

Brad spojrzał w jej stronę i uniósł szklanekę.

– Za twoje zdrowie!

Skinęła tylko głową i znowu upiła łyk.

Niech to wszystko piorun trzaśnie! – pomyślała i wypiła whisky do dna. Obawiała się, że obiad w towarzystwie tych dwóch panów okaże się ponad jej siły.

Ostatecznie nie było aż tak źle. Brad na początku był milczący, co tylko wzmogło jej niepokój. Natomiast Erie rozgadał się na temat rodziny, za co była mu niezmiernie wdzięczna, zwłaszcza że z humorem opowiadał różne historyjki. Po jakimś czasie udało mu się rozruszać Brada, który przyłączył się do rozmowy. Wendy opowiedziała Ericowi o tym, jak Brad złowił dwa sumy. Przyznała się, że sama nic nie złapała. Panowie zaczęli dyskutować z ożywieniem na temat wędkarstwa.

Mimo to czuło się, że rozmowa może w każdej chwili przestać się kleić.

I tak też się stało w momencie, gdy skończyli jeść obiad i Wendy zajęła się sprzątnianiem ze stołu i ładowaniem talerzy do zmywarki.

Obaj wyrazili jednocześnie ochotę nastawienia kawy. Erie ustąpił w końcu Bradowi – przez chwilę mierzyli się podejrzliwym wzrokiem, nie odzywając się do siebie. Wendy wyczuła napięcie między nimi i postanowiła rozładować atmosferę, proponując, żeby się napili do kawy brandy. Sięgała właśnie po butelkę, gdy Erie zapytał Brada, czym się zajmuje.

Butelka wyślizgnęła jej się z ręki i rozłukła na podłodze – po całej kuchni rozprysło się szkło. Spojrzeli na nią, zaskoczeni.

– Chyba nie wytarłam dobrze rąk – powiedziała ze słabym uśmiechem.

Uklęła, żeby pozbierać szkło.

– Pomogę ci – zaproponował Brad.

Nie zareagowała, skaleczyła się bowiem w palec i zaczęła wysysać ranę, lekko przestraszona.

– Oj, Wendy... – Brad skrzywił się na widok palca.

– Mocno się zraniłaś? – zaniepokoił się Erie.

– Nie, tylko...

– Owszem, mocno – przerwał jej stanowczym tonem Brad. Pomógł jej wstać i wsadził rękę pod kran z zimną wodą. Rana nie była poważna, ale uważał, że trzeba ją, na wszelki wypadek, zdezynfekować. Erie poszedł do łazienki po wodę utlenioną i bandaż.

– Brad... – zaczęła niepewnie Wendy, korzystając z okazji, że zostali na chwilę sami. Uśmiechnęła się blado, wdzięczna, że okazuje jej tyle troski – stał tuż przy niej i obejmował ramieniem, przytrzymując rękę pod strumieniem wody. Czowała ciepło jego ciała oraz zapach, który zaczynał działać jej na wyobraźnię.

– Tak? – odezwał się z roztargnieniem, gdyż wciąż badał wnikliwie skaleczony palec.

– Co mam powiedzieć Ericowi? Spojrzał jej prosto w oczy.

– Masz do niego zaufanie?

– Oczywiście. Bezgraniczne.

– To bardzo ważne – stwierdził niemal szeptem, wzruszając ramionami.

– W takim razie, powiedz mu prawdę.

Zamilkł, gdyż do kuchni wszedł Indianin.

– Woda utleniona nie powinna specjalnie piec – oznajmił, biorąc Wendy za rękę. Brad odsunął się na bok, robiąc mu miejsce.

Erie z wielką czułością zdezynfekował skaleczenie i zrobił opatrunek. Miał przy tym śmiertelnie poważną minę – prawdopodobnie za bardzo przejął się rolą.

Brad tymczasem pozbierał resztki szkła i wytarł podłogę do sucha papierowym ręcznikiem.

Ledwie zdążył umyć ręce, gdy Erie zaskoczył go pytaniem:

– Ciekaw jestem, o czym tak szeptałeś za moimi plecami z Wendy? Mam nadzieję, że nie zaaranżowaliście całej tej sytuacji, żeby się mnie na chwilę pozbyć?

– Zwariowałeś! – wykrztusiła Wendy.

– Mówiliśmy o Brygadzie Specjalnej do spraw Narkotyków – oznajmił z zimną krwią Brad.

Erie zachował kamienny spokój – skinął tylko głową. Przez chwilę milczeli.

– Podejrzywałem, że jesteś facetem z jakiejś brygady specjalnej – mruknął w końcu.

– Tak?

– Wyczułeś mnie, choć potrafię się skradać bezszelestnie. Pamiętaj, że jestem Indianinem.

Brad roześmiał się i poklepał Erica po plecach. Wendy nic z tego nie rozumiała. Odwróciła się na pięcie i zaczęła nalewać kawy.

– Pewnie jesteś zamieszany w całą tę aferę z Michaelsonem.

– Zgadza się.

– I ukrywasz się tutaj, tak?

Wendy, trzęsącymi się rękoma, wlała do filiżanek z kawą troszkę Tii Marii, dobrze trzymając butelkę: nie miała najmniejszej ochoty na jeszcze

jedną przygodę.

– Tak – przyznał Brad.

Erie wyjął Wendy z rąk butelkę. Upił łyk kawy, po czym skwitował:

– To niebezpieczne dla Wendy. Nie powinno się jej wciągać w taką brudną sprawę.

– Erie... – Wendy usiłowała włączyć się do rozmowy.

– Gdzie wyście się właściwie poznali? I jak? – Indianin nie dawał za wygraną.

– Erie! – zaprotestowała.

Szanowała i lubiła szwagra i sprawiało jej niewątpliwie przyjemność, że się o nią niepokoi. Byli ze sobą bardzo zżyci. Wiedziała, że zawsze może na niego liczyć i że w razie czego wskoczyłby za nią w ogień. Uznała, że tym razem się zagalopował i jest po prostu nazbyt wścibski.

– Nie ma sprawy, Wendy – uspokoił ją Brad i zaczął opowiadać: – Michaelson ruszył za mną w pościg aleją Krokodyli. Mój samochód rozkraczył się, gdy skręciłem w boczną drogę. Posypał się grad kul i jedna z nich trafiła mnie w skroń. Wendy znalazła mnie nieprzytomnego na bagnach, z twarzą w błocie.

Erie pokiwał głową.

– A może byśmy tak wypili kawę w dużym pokoju? – zaproponowała Wendy, ale obaj ją zignorowali. Postanowiła więc przestać się nimi przejmować. Wzięła filiżankę kawy i przeszła do pokoju. Chciała włączyć telewizor, ale doszła do wniosku, że ma ochotę posłuchać muzyki. Nastawiła kompakt z Beatlesami, usiadła na kanapie i zamknęła oczy. Zasłuchała się, ściskając w ręku filiżankę, która przyjemnie grzała ją w dłonie.

Erie i Brad rozmawiali wciąż w kuchni tak głośno, że przeszkadzali jej słuchać.

– Nie zapominajcie, że to mój dom! Jesteście tylko gośćmi, więc zachowujcie się przyzwoicie! Wyjdźcie w końcu z kuchni i dotrzymajcie mi towarzystwa! – krzyknęła, poirytowana.

Po chwili obaj zjawili się w pokoju.

Brad podszedł do półki z książkami i zaczął studiować tytuły. Erie, z kwaśną miną, usadowił się na kanapie obok Wendy.

Westchnął ciężko.

– Wendy, nie podoba mi się to. Uważam, że za dużo ryzykujesz...

– Erie ma rację – wtrącił się Brad. – Powinienem się stąd wynieść jak najszybciej.

– Psiakrew! – wściekła się Wendy. Szurnęła filiżankę na stół i poderwała się z kanapy.

– Erie, jeżeli naprawdę mnie kochasz, powinieneś zostawić mnie w spokoju. Przecież nie jestem idiotką. Wiesz doskonale, na jakim bezludziu mieszkam. To idealna kryjówka. – Odwróciła się do Brada. – Gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy jestem w stanie udzielić ci bezpiecznego schronienia, nie zaproponowałabym ci, żebyś tu został. Jestem dorosłą kobietą, która potrafi podejmować samodzielnie decyzje. Nie znoszę, jak ktoś usiłuje mi narzucić swoją wolę. A już ponad wszystko nie cierpię, gdy coś się knuje za moimi plecami!

Brad wziął ze stolika program telewizyjny i przerzucał go bezmyślnie. Odchrząknął i usiłował coś powiedzieć:

– Wendy...

– Nic nie knuliśmy za twoimi plecami – wtrącił stanowczo Erie.

Wendy rzuciła im wrogie spojrzenie.

– Niech was szlag trafi! – zawołała i opadła zrezygnowana na kanapę.

– Hej, super! – odezwał się ni z gruszki, ni z pietruszki Brad. – Masz, zdaje się, telewizję kablową, prawda?

Wendy uśmiechnęła się blado.

– Tak.

– O dziesiątej jest „Matnia”. Przegapiłem ten film, gdy szedł w kinach.

Wendy wstała z kanapy i wyłączyła kompakt z Beatlesami.

– Proszę bardzo. Włącz sobie telewizor, skoro tak chcesz obejrzeć jakiś film.

– Masz w domu kukurydzę? Uprażyłbym trochę w mikrofalówce – odezwał się Erie, podnosząc się również z kanapy.

– W szafce, nad lodówką.

Brad włączył telewizor, a Erie ruszył do kuchni w poszukiwaniu kukurydzy. Kwadrans później siedzieli całą trójką na kanapie – Wendy pośrodku – i chrupali prażoną kukurydzę.

Wendy miała wrażenie, że znają się od lat. Aż dziw, że Erie i Brad byli w tak świetnej komitywie, zwłaszcza że ich znajomość zaczęła się dosyć niefortunnie.

Film się skończył. Brad wstał, przeciągnął się i pozbierał ze stolika puste miseczki po kukurydzy.

Erie spojrzał na Brada, nieco zażenowany.

Wendy spuściła głowę. Indianin wiedział, że Brad u niej nocuje, ale wyraźnie budziło to w nim pewne opory, dlatego ociągał się z odejściem.

– Czy musisz jutro pracować? – spytała go.

– Tak.

– Mam ci pomóc?

– Nie. Lepiej, żebyś się stąd nie ruszała. Wpadnę do was za kilka dni.

– Jak się tu właściwie dostałeś? – spytał Brad, nieco skonsternowany.

Erie roześmiał się i puścił oko do Wendy.

– Powinnaś pokazać mu kamienie.

– Co takiego?

Wendy zachichotała.

– Leif ułożył na dnie kanału drogę z wielkich głazów – znajdują się pod powierzchnią wody. Tylko w okresach suszy widać je gołym okiem. Erie przyjechał samochodem i zostawił go na szosie, po drugiej stronie kanału.

– Rozumiem – stwierdził Brad, ubawiony. Mężczyźni podali sobie ręce na pożegnanie.

– Uważaj na siebie – ostrzegł go Erie.

Brad skinął głową i poszedł do gościnnej sypialni, zamykając za sobą starannie drzwi.

– Odprowadzić cię kawałek? – zaproponowała Wendy szwagrowi.

Objął ją ramieniem i zwichrzył pieszczotliwie włosy.

– Oczywiście.

– Wiem, że to nie moja sprawa – zagaił, gdy znaleźli się na dworze. – Jesteś dorosłą kobietą i potrafisz podejmować decyzje. Muszę przyznać, że podoba mi się ten facet.

Wendy usiłowała się uśmiechnąć, ale za bardzo drżały jej usta.

– Erie, między nami nic się nie zdarzyło...

– Nie jestem twoim ojcem, więc nie musisz się przede mną tłumaczyć. Nie zamierzam też prawić ci morałów; wręcz przeciwnie, uważam, że powinnaś się trochę rozerwać. Bierz przykład ze mnie. Ja nieraz sobie

zaszalałem.

– Oj, tak. Każde z nich na swój sposób próbowało ukoić ból po tragicznej stracie – Leif i żona Erica zostali zamordowani tej samej nocy. Wendy zamknęła się w domu, stroniąc od ludzi. Erie z kolei rzucił się w wir życia i omal nie stoczył na dno.

Ale jakoś oboje wyciągnęli się z tego.

– Dobranoc, Wendy. Powiem rodzinie, że...

– Że niedługo wpadnę z wizytą – przerwała mu. – Myślisz, że mogę wziąć Brada ze sobą?

– Sądzę, że tak.

Uśmiechnęła się do szwagra, z wdzięcznością. Długie, czarne jak smoła włosy powiewały na wietrze – przez ułamek sekundy zobaczyła twarz Leifa i aż ścisnęło jej się serce.

Erie pocałował ją w czoło i zniknął w ciemnościach.

Wendy wróciła do domu.

Zatrzymała się przed drzwiami gościnnej sypialni i delikatnie zapukała.

– Proszę – odezwał się po chwili Brad.

Nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi. Brad stał nagi do pasa. W pokoju panował mrok – z przedpokoju wpadała tylko smuga światła. Oświetlała opalone na brązowo ramiona. Twarz spowita była w ciemnościach.

– Chciałam ci podziękować – odezwała się, trochę onieśmielona.

– Za co? – Brad był zdziwiony.

– Erie jest moim przyjacielem.

– Zorientowałem się. Jesteście w bardzo zażyłych stosunkach.

– Rzeczywiście. Jest dla mnie niemal jak brat. I nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Wiesz, od śmierci Leifa nie umówiłam się z

żadnym mężczyzną, – a teraz nagle znalazłeś się w moim domu ty – choć to przecież nic nie znaczy. Dlatego Ericowi nie podobało się, gdy zobaczył nas razem. Gdy mu opowiedziałeś, skąd się tu wzięłeś, zorientowałam się, że... – Głos jej się załamał. Czuła się jak skończona idiotka.

– Naprawdę moja obecność dla ciebie nic nie znaczy?

– Brad uśmiechnął się wyzywająco. – Nie żartuj. Dobrze wiem, że coś do siebie czujemy. Choć tutaj, proszę – dodał.

Wendy podeszła do niego, ociągając się. Zawahała się na moment, gdy była już przy nim. Nie widziała oczu, wciąż skrytych w mroku, tylko nagie tors – opalony, muskularny, nad wyraz ponętny. Zapragnęła dotknąć owłosienia w kolorze miodu, porastającego bujnie klatkę piersiową.

Zebrała się na odwagę i położyła dłoń na miękkich włosach. Brad przytrzymał jej rękę, przyciskając mocno do piersi. Musnął palcami jej włosy i zniżył ku niej głowę – jego oddech drżał delikatnie na jej ustach. Spojrzała w górę, trochę niepewna, i napotkała wpatrzone w nią oczy koloru starego złota. Brad zbliżył usta do jej warg i zaczął ją całować – najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Zacisnęła kurczowo dłoń na jego piersi.

Zamknęła oczy i zdała się na zmysły – czuła jego ręce, usta, język.

Zrobiło jej się słabo z rozkoszy. Boże, jakież to w gruncie rzeczy proste. Wystarczy osunąć się na miękkich nogach i czekać, aż ją podtrzyma i położy na łóżku, gdzie oddałaby mu się z rozkoszą w ciemnościach nocy.

Oderwał powoli usta, ale czuła, że wpatruje się w nią badawczym wzrokiem.

Stali tak przez chwilę, jak zaczarowani, ulegając magii chwili.

Brad odsunął z czoła niesforny kosmyk. Westchnął – oddech miał krótki i urywany z podniecenia – uniósł jej ręce i ucałował dłonie.

– Idź spać – powiedział drżącym nieco głosem.

Wendy spuściła wzrok i skinęła potulnie głową – oboje nie dojrzeli jeszcze do tego, by posunąć się dalej.

– Dobranoc. Ruszyła ku drzwiom.

– Wendy!

Jednym susem Brad był znów przy niej. Rzuciła mu się w ramiona. Zaczął ją całować – namiętnie i żarliwie. Po chwili wsunął zwinnie ręce pod obszerny podkoszulek i odnalazł nagie piersi. Palce pieściły jej sutki z taką wprawą, że jęknęła z rozkoszy.

Nagle jej marzenia, by spędzić z nim upojną noc, spełniły się. Brad wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, które w ciemnościach nocy wydawało się przepastne i kuszące.

Rozdział 6

Brad ostrożnie położył Wendy na łóżku i wyciągnął się obok niej. Czowała bliskość jego ciała, rozpalonego pożądaniem. Miękkła coraz bardziej, gdy obsypywał ją gorącymi pocałunkami, pieścił każdy centymetr skóry. Starał się dotrzeć wszędzie – dotykał czule twarzy, gładził ramiona, gołe plecy. Pragnęła, żeby pieścił ją tak w nieskończoność. Budził w niej uczucia, o których istnieniu już dawno zapomniała, których nie przeżywała od śmierci Leifa.

Pasja, z jaką ją pieścił, wywoływała u Wendy skojarzenie z przyływem morza; bez najmniejszych oporów dała się ponieść fali. Zbadała opuszkami palców jego pierś, zachwycając się stalowymi muskularni, z których biło przyjemne ciepło. Rozkoszowała się gęstymi, kręconymi włoskami porastającymi klatkę piersiową. Ale największą przyjemność sprawiało jej to, że czowała jego bliskość – leżał, przysłaniając ją częściowo swoim ciałem, co działało podniecająco na jej wyobraźnię.

Zatraciła się w pocałunkach, którym nie było końca. Brad, rozplómienny, sięgnął jej ust... po chwili całował już jej szyję, wyczuwając wargami przyspieszony puls oraz zagłębienie wzdłuż obojczyka. Głaskał delikatnie jej pierś, zaciskając powoli palce, aż zamknął ją w dłoni. Pieścił dalej, starając się znaleźć najwrażliwsze miejsca.

Wendy wdychała w upojeniu podniecający zapach męskiego, nagiego ciała. Wygięła się w łuk, spragniona dalszych pocałunków. Reagowała na jego pieśczoć tak gwałtownie, że niemal umierała z pożądania. W ciemnościach nocy zatraciła kompletnie poczucie rzeczywistości;

zapomniała, że igra z ogniem, pogrąża się w sytuacji, z której trudno jej będzie się wyplątać. Zagłębiała się powoli w zakłęte rewiry rozkoszy, w których można było zapomnieć o samotności i do woli nasycić pragnienie.

Raptem, bez słowa, Brad odsunął się na bok. Słysząc było jego przyspieszony oddech. Był wciąż bardzo podniecony, co zdradzało jego całe ciało – rozpalone i spięte.

W przyćmionym świetle wyglądał niczym wielki kocur – oczy szklily mu się złotem. Wsparł się na łokciu i spojrzał namiętnie na Wendy – przygryzła tylko wargi, zastanawiając się, dlaczego się od niej odsunął.

– Co się stało? – spytała szeptem.

Brad przejechał opuszką palca po jej policzku, wpatrując się w nią z zadumą.

– Nie powinienem cię prowokować – pokręcił głową z dezaprobatą.

– Przecież to ja przyszedłam do ciebie!

Milczeli przez chwilę, każde sam na sam ze swoimi myślami. Brad gładził ją bezwiednie kciukiem – czuła szorstkość zgrubiałego naskórka. Starła się wyczytać z jego oczu, o czym myśli, ale jego spojrzenie było nieprzeniknione.

Była dotknięta, że ją tak odtrącił. Musiała się jakoś pozbierać. Chciała mu się oddać, pozostawiając przeszłość całkowicie za sobą. Tymczasem on się nagle rozmyślił, urażając ją tym do żywego.

– O, Boże! – westchnęła ciężko. Czuła się upokorzona. Odepchnęła Brada ze złością. Wylądował na podłodze, zaskoczony, gdyż nie spodziewał się z jej strony takiej gwałtowności.

– Wendy! Psiakrew! Posłuchaj...

Upadając, stłukł sobie boleśnie kolano, a teraz, z kolei, uderzył się w

głowę o rant łóżka. Czuł się jak idiota.

Wiedział, że zadając się z Wendy, może napytać sobie biedy. Nie sądził jednak, że tak ją rozzłości. Przecież tylko wykorzystał moment. Zresztą, starał się zapanować nad sobą, co przychodziło mu chwilami z dużą trudnością. Chciał jednak za wszelką cenę dać jej odczuć, że ją szanuje.

Pozbierał się w końcu z podłogi, rozcierając sobie guza.

Wendy walczyła ze łzami. Była o krok od tego, by wybuchnąć rozpaczliwym szlochem. Zerwała się z łóżka i pobiegła do swojej sypialni. Nie mogła zamknąć drzwi na klucz, gdyż Brad wyłamał zamek dziś rano. Wściekła, zatrzasnęła je z hukiem.

– Wendy! – Brad zapukał do drzwi. Wsadził głowę do środka i czekał. Siedziała na łóżku, plecami do niego, i skubała nerwowo poduszkę. Z przedpokoju padała na nią wąska smuga światła, przydając jej włosom złotego blasku.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Ale ja nie chcę rozmawiać z tobą!

– Proszę, wysłuchaj mnie. – Podszedł do niej i położył ręce na ramionach. Zaskoczyło go, że cała drży.

Otrząsnęła się, ale Brad nie dał za wygraną i usiadł na łóżku.

– Nie dotykaj mnie! Puścił jej ramiona.

– Musimy porozmawiać.

Wendy odsunęła się nieco. Ściągnęła opaskę z włosów i potrząsnęła energicznie głową – złote loki rozsypały się i spłynęły na ramiona. Spojrzała na niego – szaroniebieskie oczy skrzyły się jak diamenty.

– W porządku. Powiedz, co masz do powiedzenia, i się wynoś.

Brad westchnął ciężko.

– Nie ułatwiasz mi sprawy.

– No, cóż. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Zważ, że i dla mnie nie jest to wszystko takie proste. Nie umiem sobie zbyt dobrze radzić – po prostu wyszłam z wprawy.

– W tym właśnie cała rzecz. – Poglaskał ją po policzku, rozpalonym i mokrym od łez.

– Na miłość boską! Przestań!

Brad przytulił ją gwałtownie. Próbowала mu się wyrwać – szarpała się i okładała go pięściami – ale na to nie pozwolił. Przytrzymał ją mocno, aż w końcu, zrezygnowana, opadła mu na pierś.

– Błagam cię, Brad – szepnęła.

Przytulona bezradnie do jego piersi, czuła w ustach słony smak potu, słyszała bijące szybko serce.

Brad odsunął jej włosy z czoła – ich kolor budził w nim, zwłaszcza w nocy, niemal nabożną cześć. Takie włosy musiał mieć anioł – przepiękne, miękkie, jedwabiste i niesamowicie jasne.

– Wendy, chyba się orientujesz, jak bardzo cię pragnę?

Zesztywniała w jego ramionach.

Brad uśmiechnął się w ciemnościach.

– Sprawy potoczyły się, jak dla mnie, za szybko. Pragnę cię, ale nie chciałbym, żebyś się obudziła następnego ranka z uczuciem moralnego kaca. Nie chcę być surogatem twego męża i nie chcę też, żebyś żałowała czegokolwiek, co wydarzyło się w ciemnościach nocy. Chciałbym, żebyś i ty miała na mnie ochotę.

Wendy milczała przez chwilę, wzruszona jego słowami. Czuła się przy nim bezpieczna, choć było to śmieszne, zważywszy na jego sytuację.

– Miałam na ciebie ochotę – oznajmiła w końcu.

– Naprawdę? Mówisz poważnie? – Brad pocałował ją w czoło, a następnie, bardzo delikatnie, w usta i znów się uśmiechnął. – Jesteś wyjątkową kobietą. Mam teraz pewność, że będziemy się ze sobą kochać. I pomyśleć, że łamałem sobie cały dzień głowę nad tym, jak to zrobić, żeby nie wylądować z tobą w łóżku. Chwilami ledwie się mogłem powstrzymać. A gdy weszłaś do mojej sypialni, gdzie zamknąłem się na cztery spusty, żeby spędzić noc samotnie, to już był szczyt! Nie mógłbym stąd odejść, tak czy siak, nie przekonawszy się najpierw, co do siebie czujemy. Teraz już jest za późno. Za bardzo mi na tobie zależy i dlatego nie chcę, żeby zgubił nas pośpiech. Oboje, w gruncie rzeczy, pragniemy tego samego. I oboje zasłużyliśmy na to, by przeżyć noc pełną pasji, nie żałując następnego ranka ani chwili. – Przypieczętował swoje słowa kolejnym pocałunkiem, tym razem długim i namiętym.

Wendy krew uderzyła do głowy. Odsunęła się od niego i odwróciła głowę, jęknąwszy cicho.

– Brad, jeśli naprawdę coś do mnie czujesz, to spełnij moją prośbę i zostaw mnie w spokoju!

– Nie mogę.

Wściekła, próbowała wyrwać się z objęć, ale Brad złapał ją za ramiona i przytrzymał mocno. Przewrócił się plecami na łóżko, pociągając ją za sobą. Wycelował tak sprytnie, że jego głowa i ramiona spoczęły na olbrzymiej poduszce. Wendy leżała przytulona do jego piersi – lśniące włosy spływały po muskularnym torsie.

Brad pragnął dotknąć tych cudownych włosów. Pragnął zrobić jeszcze wiele innych rzeczy, ale bał się ją puścić. Trzymał Wendy w ramionach,

ściskając mocno. Czuł, że jest cała spięta i że uciekłaby od niego jak diabeł od święconej wody, gdyby tylko dać jej szansę.

– Chcesz wiedzieć, jakie jest moje drugie imię? – zagadnął znenacka.

Ściągnęła brwi ze zdumienia. Brad poczuł, że się rozluźnia. Pogłaskał złote włosy, spływające mu na pierś i drażniące jego zmysły.

– Michael. Moje pełne nazwisko brzmi: Brad Michael McKenna. Jestem spod znaku Skorpiona.

Rozbawił ją swoim wyznaniem. Przekręciła się i spróbowała usiąść.

– Brad, jesteśmy w mojej sypialni, a nie w barze dla samotnych.

– Owszem. I dlatego możemy się czuć bardziej swobodnie. A jakie jest twoje nazwisko panięskie?

Wendy znowu zmarszczyła brwi, ale w kącikach ust pojawił się delikatny uśmiech.

– Harper. Wendy Annę Harper.

– A ile masz lat, Wendy Annę?

– Jesteś cholernie wścibski, nie uważasz?

Brad wzruszył ramionami.

– Chyba nie musisz jeszcze ukrywać swojego wieku?

– Mam trzydzieści jeden lat – wyznała. – A ty?

– W listopadzie skończę trzydzieści pięć. Kiedy są twoje urodziny?

– Czternastego lutego.

– W walentynki? Aha! A teraz z innej beczki. Lubisz japońską kuchnię, na przykład sushi z surową rybą?

– Nie znoszę.

– Ja uwielbiam, ale to nieistotny szczegół. Powiedz mi, jak to możliwe, że mieszkasz w Everglades i nie lubisz sushi?

Wendy roześmiała się znowu.

– Co ma piernik do wiatraka?

– Przecież tu wszędzie pełno ryb.

– To jeszcze nie znaczy, że mam je jadać na surowo.

Poprawiła się i przytuliła znowu głową do jego piersi – jej oddech załaskotał go delikatnie, podniecająco, podobnie jak włosy, które drażniły jego nagie ciało zupełnie tak, jakby ktoś w wymyślny sposób pieścił skórę piórkiem. Westchnął głęboko, wciągając w nozdrza zapach perfum, szamponu i słodką woń kobiecego ciała.

Wendy była taka łagodna, delikatna i naturalna. Zasłoniła usta ręką i ziewnęła przeciągle. Brad nie przestawał głaskać jej po głowie.

– No, powiedz, jak się nazywam?

– To jakaś zabawa, czy co? Brad. Brad McKenna. Mam nadzieję, że to twoje prawdziwe nazwisko. – Posłała mu powłóczyście spojrzenie.

Brada przeszył dreszcz pożądania. Zacisnął zęby i próbował zignorować gwałtowny zew męskości.

– Zgadza się. To moje prawdziwe nazwisko. Tyle że nie w pełnym brzmieniu.

Skrzywiła wargi w uśmiechu.

– Istotnie. Jesteś przecież Brad Michael McKenna.

Przytaknął, zadowolony.

– A pani nazywa się Wendy Annę Harper Hawk, nienawidzi sushi, obcuje na co dzień z krokodylami i innymi bestiami i czternastego lutego skończyła trzydzieści jeden lat. Poza tym lubi Beatlesów, ma idealnie zadbane dom i jest szalenie gościnna. – Poglaskał ją po policzku i zbliżył do niej swoją twarz. – Cieszę się, że mogę cię poznać bliżej.

Wendy uśmiechnęła się i przytuliła głowę do jego piersi – musnął palcami jej wargi.

Nie pamięta, czy jeszcze coś powiedział, nie pamięta nawet, o czym myślał. Zasnęli oboje, leżąc obok siebie w jej łóżku, w ubraniu, i obudzili się dopiero następnego ranka.

Pierwsze promienie słońca wyrwały Brada ze snu. Stwierdził, że jeszcze nigdy nie rozpoczął dnia w tak niezwykły sposób.

Musiał przyznać, że również Wendy jest niezwykłą, szczególną, wyjątkową kobietą. Rozpływał się nad nią w myślach.

Pochylił się, pocałował ją w czoło i wstał z łóżka. Spała słodko z anielskim wyrazem na przepięknej twarzy, otoczona aureolą jasnozłotych włosów. Pocałował ją jeszcze raz i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

Wendy obudziła się godzinę później. Poczowała rozkoszny zapach smażonego boczku. Nie wstała od razu; leżała, rozpamiętując wydarzenia ostatniej nocy.

Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Brad bardzo jej się podobał i budził w niej podziw. Miał pewną cechę charakteru, raczej rzadkość, którą Wendy bardzo sobie ceniła – był szalenie honorowy. Z drugiej strony, właśnie to jego poczucie honoru stało im na drodze i niepotrzebnie komplikowało sytuację. Tak jakby dwoje dorosłych ludzi nie mogło przeżyć ze sobą przelotnej przygody, korzystając z nadarzającej się okazji.

Brad, przeciwny małżeństwu, nie był jednak w stanie pójść do łóżka z kobietą, której nie zna. Musiał ją najpierw bliżej poznać.

W tym względzie przypominał jej męża, który miał specyficzne,

niezachwiane poczucie przyzwoitości.

Leif – inteligentny i uderzająco podobny do Erica – oddany był całym sercem i duszą swojemu plemieniu i swojej ojczyźnie. Miał wiele ciekawych propozycji pracy, ale nie chciał się stąd ruszać – tu był jego dom.

Wobec Wendy zachowywał początkowo dystans. Do niczego jej nie zmuszał. Odczekał spokojnie, aż zakocha się najpierw w nim, a potem w osobliwym, na swój sposób pięknym, bagiennym krajobrazie.

Choć wydawało się to dziwne, między Bradem a Leifem istniało pewne podobieństwo, chociaż jej mąż, z kruczoczarnymi włosami, kochał ponad wszystko tutejszą podmokłą okolicę, a Brad, o włosach koloru miodu, zdeklarowany kosmopolita, czuł do błocka i bagien wyjątkowe obrzydzenie.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z zadumy. W drzwiach stanął Brad – wpućowany, ogolony, radosny, wyglądał jak student.

– Śniadanie prawie gotowe. Akurat zdążysz wziąć prysznic.

Skinęła głową.

Brad wycofał się do kuchni, a Wendy pospieszyła do łazienki.

W powietrzu wciąż unosił się zapach kremu do golenia. W kabince prysznicza znalazła ślady jego obecności. Spłukała kafelki i lustro wodą. I nie wiedzieć czemu, w jej oczach zakręciły się łzy.

Może dlatego, że ślady obecności mężczyzny w łazience były tak bardzo znajome – drugi ręcznik na wieszaku, jeszcze wilgotny, drugi kubek do mycia zębów na umywalce...

Drugie ciało, tuż obok, w łóżku.

Wskoczyła pod prysznic i puściła strumień gorącej wody.

Niech szlag trafi Brada McKenne! Musi zaakceptować, że sprawy mają się tak, a nie inaczej. Być może czeka ich burzliwy przełomy romans – i to wszystko. Nie powinna sobie zaprzętać głowy myślami typu: jak by to było cudownie, gdyby zamieszkała znowu pod jednym dachem z mężczyzną.

Wyszła spod prysznicą w minorowym nastroju.

Brad czekał w kuchni pełnej zapachu kawy, smażonego bekonu i omletu z pomidorami.

Stół nakryty był na dwie osoby. Naprawdę się postarał – położył plastikowe podkładki pod talerze, serwetki, a dla ozdoby między talerzami dziką orchideę – symbol pokoju.

Czuł się swobodnie i wręcz tryskał pewnością siebie.

– Pani Hawk, pani pozwoli. – Z teatralnym gestem odsunął wiklinowe krzesło i wskazał jej miejsce. Wendy usiadła i, przyglądając mu się uważnie, rozłożyła na kolanach serwetkę. Brad usadowił się wygodnie naprzeciwko niej.

– Widzę, że się u mnie nieźle zdomowiłeś – stwierdziła z przekąsem, zerkając na niego sponad szklanki z sokiem pomarańczowym.

Brad zeszywniał.

– Zdaje się, że tak. Przepraszam, ale przecież sama mnie do tego zachęcałaś. Zresztą, do różnych innych rzeczy też.

Wendy aż zagotowała się w środku. Wiedziała, że to niedorzecznie. Przecież Brad zachował się tak miło, przygotowując śniadanie. Powinna mu okazać wdzięczność, ale, nie wiadomo dlaczego, nie mogła się na to zdobyć.

– Mam wrażenie, że wprowadziłam cię, zupełnie bezwiednie, w błąd.

Przykro mi, jeżeli moje intencje zostały źle zrozumiane.

Wysłuchał jej z zaciętą miną.

– O co ci chodzi?

Wendy odstawiła szklankę z sokiem pomarańczowym i wbiła wzrok w talerz. Starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i naturalnie, wyjaśniła:

– Jesteś po prostu moim gościem, McKenna. I nic więcej.

– W porządku. Zaprosiłaś mnie do siebie. I jestem tylko gościem. W każdej chwili mogę stąd wyjechać. Nie ma sprawy.

– Jesteś skończonym draniem, wiesz? Powinnam cię zostawić na mokradłach.

– Ach, tak?! – Zerwał się z krzesła i stanął tuż przy niej. Wendy zauważyła, że drga mu nerwowo grdyka. Miał na sobie podkoszulek Leifa. Zamknęła oczy i usiłowała przypomnieć sobie, jak wyglądał w nim mąż.

Spojrzała znowu na Brada – stał wciąż obok niej, z groźną miną. Oczy pały mu niesamowitym blaskiem, jak u dzikiego kota. Nie było wątpliwości, że jest wściekły. Chwycił jedną ręką za krzesło, na którym siedziała Wendy, a drugą oparł o blat stołu i pochylił się tuż nad nią.

Poczuła jego oddech na skórze.

– Żałujesz, że mnie nie zostawiłaś na bagnach? Jeśli chcesz, możesz mnie tam odstawić z powrotem. I to natychmiast! Przypominam ci tylko, że to ty zaproponowałaś mi, abym się u ciebie schronił. Czyżbyś była tak rozpaczliwie spragniona mężczyzny?

– Och!! – Wendy chciała mu dać w twarz, ale Brad był szybszy: złapał ją za nadgarstek. Wendy zebrała w sobie wszystkie siły i wyszarpnęła rękę. Zerwała się z krzesła i popędziła do sypialni. Chwyciła portmonetkę, wybiegła z pokoju i pognała jak szalona do drzwi wejściowych.

– Gdzie cię, do cholery, niesie? – zawołał za nią Brad. Ponieważ nie zareagowała, rzucił się w pogoń. Dopadł ją w końcu i wykręcił rękę, zmuszając, by odwróciła się twarzą do niego.

– Wychodzę.

– Dokąd, u diabła?

Wyrwała mu się znowu i odskoczyła na bok.

– Idę do pracy.

– Do pracy?

– Tak! Wyobraź sobie, że pracuję, jak każdy inny człowiek.

– Czym się zajmujesz?

Nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie z wielu powodów. Po pierwsze, z czystej przekory. Po drugie, bo była w gorącej wodzie kąpana. Po trzecie, bo wciąż bolało ją, że tak brutalnie ją odtrącił.

– Pracuję dla Erica.

– Dla Erica? A co takiego robisz? – spytał podejrzliwie.

– Nie widzę powodu, żeby ci się tłumaczyć, jak na jakimś przesłuchaniu – rzuciła na odczepnego, ale Brad nie dał za wygraną. Chwycił ją za ramiona i gwałtownie przyciągnął do siebie.

– Wcale cię nie przesłuchuję. Po prostu zwyczajnie pytam.

Wendy szarpnęła się znowu, ale Brad nie poluzował uścisku. Uprzytomniła sobie w tym momencie, jaki jest silny. Gdyby chciał, mógłby powalić ją na ziemię jednym palcem.

– Odpowiedz mi, do cholery, na pytanie – zażądał. – Dlaczego zataiłaś przede mną, że pracujesz? I dlaczego nie poszłaś wczoraj do pracy?

Wendy westchnęła, okazując demonstracyjnie zniecierpliwienie.

– Pracuję tylko jeden, czasem dwa dni w tygodniu. Erie współpracuje z

radą szczepu. W zeszłym roku napisał książkę na temat kampanii Andrew Jacksona przeciwko Seminolom. W tym roku pisze kolejną, na temat stosunków między Mikosukesami i Indianami z plemienia Seminoli. Pomagam mu zbierać materiały.

– Nic nie rozumiem.

– Tutejsze okolice zamieszkują dwa plemiona: Seminole oraz Mikosukesi, którzy mają kawałek ziemi na południe stąd. Z pewnością tego nie wiedziałeś i pewnie cię to w ogóle nie obchodzi. Dla ciebie cała ta okolica to po prostu jedna wielka kupa błota, prawda? Nic, tylko bagna, gady, robactwo i trochę dzikusów.

Brad nie zareagował na jej uszczypliwą uwagę, zacisnął tylko mocniej usta.

– A dlaczego nie powiedziałaś mi, że twoim mężem był Indianin?

– Przestań się czepiać – burknęła. Miała tego już naprawdę dosyć. – Nie mam obowiązku spowiadać ci się ze wszystkiego! Nie powiedziałam ci też, że jego matka była Norweżką. No i co z tego? Czy to coś zmienia?

– Owszem! Gdybym wcześniej wiedział o tym, nie wdałbym się w bijatykę z twoim szwagrem. Napędził mi porządnego stracha. Myślałem, że jakiś bandzior usiłuje zakraść się do twego domu!

– Zboczenie zawodowe! – prychnęła. Zebrała w sobie wszystkie siły i spróbowała mu się wyrwać, ale bez skutku.

– Nie, Wendy. To nie jest zboczenie zawodowe. I dobrze o tym wiesz. Być może jestem nieświadom pewnych rzeczy, do których ty przywiązujesz ogromną wagę, ale to nie znaczy, że lekceważę ludzi. Bóg mi świadkiem, Wendy. Myślę, że ty dobrze o tym wiesz. Powiedz mi w końcu, do cholery jasnej, co ja takiego zrobiłem, że się na mnie złościsz od

rana?

– Muszę już iść. Puść mnie!

– Dopiero gdy wyjaśnimy sobie całą sytuację. W porządku, jesteś na mnie zła. Wściekasz się o coś, czort wie o co. Trudno mi uwierzyć, że o śniadanie! A więc o co ci chodzi? Ach, już wiem. Prawdopodobnie rozczarowałem cię w nocy. Myślałaś sobie pewnie: zaproszę do domu tego osiłka i sprawa załatwiona. A tu nic.

– Puść mnie, McKenna, do jasnej cholery! – krzyknęła ostrzegawczo Wendy. Zorientowała się, że Brada ogarnia coraz większa złość, co ją dziwnie uspokajało. Z jego oczu aż szły iskry i całe ciało, każdy najdrobniejszy mięsień, był napięty.

Odrzuciła głowę do tyłu i przymrużyła powieki.

– Chcę po prostu wyjść z domu, rozumiesz? Jesteś tu gościem. Fakt, to ja zaproponowałam, żebyś się u mnie zatrzymał. Chyba zresztą upadłam na głowę. Kierowały mną jednak szlachetne pobudki – chciałam uratować ci życie i myślałam, że tobie też na tym zależy. A teraz, puść mnie wreszcie!

Brad nie usłuchał.

Przywarł do niej namiętnie i całował czule i żarliwie. Wendy wstrząsnął dreszcz. Zrobiło jej się na moment ciemno w oczach. Brad prześlizgnął ręką po jej włosach i przyciągnął ją bliżej do siebie.

Nie była w stanie mu się oprzeć. Serce waliło jej jak szalone. Chłonęła jego zapach, wciąż pod wrażeniem niebywałej siły tego mężczyzny.

Osunęli się na podłogę. Przywarł do Wendy całym ciałem. Przyglądał jej się przez chwilę. Wsunął delikatnie rękę pod głowę i znowu przywarł ustami do jej warg.

Wendy zakręciły się łąy w oczach. Obudziło się w niej zwierzęce pożądanie. A przecież nie chciała się przywiązywać do Brada. Bała się, że jeśli pozna go bliżej, może się za bardzo zaangażować. Już dziś rano przyłapała się na tym, że zapach kremu do golenia w łazience sprawił jej ogromną przyjemność, że zadrżała na widok dzikiej orchidei leżącej na stole w kuchni. Strasznie się bała, że może zakochać się w Bradzie na zabój.

Odwróciła głowę, przerywając pocałunek.

– Nie powinniśmy tego robić! Niech to wszystko szlag trafi! To nie jest... – wyrzuciła z siebie zbolalym głosem.

Brad zastygł. Przez długą chwilę, która wydała się jej wiecznością, czuła tylko delikatny, gorący oddech na szyi. W końcu Brad poruszył się – zsunął się z niej i wstał. Podał jej rękę, ale odmówiła, więc szarpnął ją tak mocno w górę, że stanęła na nogi.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Pochyliła głowę, w nadziei, że ją puści. I rzeczywiście tak się stało.

Skrzyżował ramiona na piersi i wpatrywał się w nią tak długo, aż zdobyła się na odwagę, by spojrzeć mu w oczy.

– To nie jest co? No, dokończ zdanie – zażądał ostrym tonem.

Wendy potrząsnęła głową.

– Chciałam powiedzieć, że...

– Że nie masz na mnie ochoty, tak?

– Przestań! Czy naprawdę nie możesz zostawić mnie w spokoju?

Brad popatrzył tylko na nią i pokiwał z politowaniem głową. Rozluźnił się wyraźnie i zdobył się nawet na pełen skruchy uśmiech.

– Nie mogę cię zostawić w spokoju. – Objął ją i pocałował czule,

najpierw w czubek nosa, a potem w usta. – Czy ja ci podziękowałem?

– Za co?

– Za to, że uratowałaś mi życie. Czy ja ci podziękowałem tak ze szczerego serca?

– To była dla mnie pestka – bąknęła niezbyt uprzejmie. Uderzyła go lekko pięścią w klatkę piersiową i nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

– Uspokój się. Naprawdę powinnam iść dzisiaj do pracy. Po prostu muszę się stąd wyrwać.

Zajrzał jej głęboko w oczy.

– Rozumiem – powiedział potulnym głosem. – Myślisz, że omlet da się jeszcze zjeść?

– Obawiam się, że to już drugie z kolei śniadanie, które wyląduje w kubie – odparła Wendy. – Mnie w każdym razie zimny omlet nie przejdzie przez gardło.

Brad skinął głową.

– No cóż, to znowu nie tragedia, jeżeli śniadanie wyląduje w kubie. Zdarzają się gorsze rzeczy.

– Właśnie.

– Wendy, a teraz poważnie. Gdzie mieszka Erie?

– Niedaleko stąd. Ma kawałek własnego gruntu i zbudował tam dom.

– Gdzieś przy głównej drodze?

Wendy zmarszczyła brwi.

– Posiadłość graniczy z jednej strony z szosą, ale dom stoi w drugim końcu.

– Powinienem iść z tobą – Brad westchnął ciężko.

– Nie dzisiaj! – szepnęła błagalnym tonem.

Przyciągnął ją mocniej do siebie, wsunął dłoń w jej włosy i potargał pieśczołliwie. Poszukał wzrokiem jej oczu.

– Wydaje mi się, że naprawdę powinienem stąd zniknąć. Boję się o ciebie. I będę się bał, dopóki cała ta awantura z Michaelsonem się nie skończy.

Wendy uśmiechnęła się ciepło, wzruszona jego troskliwością.

– Przecież Michaelson nie ma pojęcia, kim jestem. Nawet gdy będzie szukał ciebie w okolicy, na mnie nie zwróci uwagi. Zresztą, nie mam pojęcia, jak wygląda ten typek. On też mnie nigdy nie widział. Poza tym, nie zamierzam kręcić się w żadnym bardziej ruchliwym miejscu. Wybieram się tylko do Erica, w poblizę małej, rodzinnej wioski jego i Leifa, gdzie do dziś mieszkają ich dziadkowie. Nic mi nie grozi.

Brad spojrział na Wendy przeciągle. Westchnął w końcu i skinął głową.

– W porządku.

– W takim razie odsuń się od drzwi, żebyś mogła spokojnie wyjść – oświadczyła kategorycznym tonem.

Brad znowu skinął głową, ale się nie ruszył. Raptem porwał ją w ramiona.

– Wendy – powiedział ze śmiertelną powagą.

– Co się stało?

Odgarnął niesforny kosmyk z czoła.

– Wiem, że będziemy się ze sobą kochać.

Zmarszczyła brwi, zdziwiona.

– Nie przejmuj się. Uprzedzę cię zawczasu, gdy nadejdzie stosowna chwila – powiedział i otworzył drzwi na oścież.

– Pompatyczny dureń! – mruknęła do siebie Wendy, spiesząc do łodzi.

Nie zdawała sobie sprawy, że Brad idzie w ślad za nią, dopóki jej nie złapał za ramiona. Odwróciła się do niego twarzą.

– Słyszałem, co powiedziałaś – oznajmił rozbawiony.

Wendy wzruszyła ramionami.

– No i co z tego. To prawda. Jesteś stanowczo zbyt pewny siebie.

– A może mam do tego powód? – Zrobił minę niewiniątka.

– „Uprzedzę cię zawczasu”. – Wendy zaczęła go przedrzeźniać. – Uważaj, żebym się nie rozmyśliła. Co wtedy zrobisz?

– To niemożliwe – stwierdził ze śmiertelnie poważną miną.

Wendy wzięła się pod boki i uniosła zadziornie głowę, mierząc go wzrokiem.

– Ach, tak?! Sądzisz, że rzucę ci się w ramiona, jak tylko się ściemni?

– O, nie, moja droga. To zdarzy się za dnia, w pełnym świetle – albo wcale.

– Coś podobnego!

– Sama się przekonasz. – Odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę domu. Zatrzymał się dopiero w drzwiach i krzyknął:

– O nic się nie martw! Jak już mówiłem, uprzedzę cię w porę. – Zaśmiał się i zamknął za sobą drzwi.

Wendy nie wiedziała, jak zareagować. Skonsternowana, ruszyła w stronę łodzi.

Rozdział 7

Wendy była pochłonięta lekturą książki historycznej. Pokręciła głową z dezaprobatą, uznała bowiem, że zawarte w niej informacje są nieścisłe. Zajrzała na stronę tytułową i sprawdziła datę wydania. Napisano ją jeszcze przed drugą wojną światową. Nabrała więc nieco dystansu do tego, że tyle jest w niej błędnych wiadomości. Skoro nawet rząd Stanów Zjednoczonych nie uznaje faktu, że w Everglades zamieszkują dwa różne, zupełnie odrębne szczepy Indian, to skąd miał o tym wiedzieć autor – biały człowiek o szkolnym podejściu do tematu.

Odłożyła książkę na stół i zrobiła notatki dla Erica. Zerknęła na zegar, wiszący na ścianie wyłożonej gustowną boazerią, i stwierdziła, że minęła szósta. Pora się zbierać.

Na myśl o powrocie do domu ścisnęło ją w żołądku. Poczowała, że ma spocone ręce. Przecież to jest mój dom! – upomniała się w duchu. Nie powinna więc niczym się przejmować.

Poukładała porządnie wszystkie papiery na biurku, wyłączyła komputer i przykryła pokrowcem. Zaczęła bezwiednie ogryzać paznokieć kciuka.

Tak, to jest jej dom. Mimo to nie miała prawa zachować się w ten sposób wobec Brada. W końcu sama go namówiła do tego, żeby się u niej zatrzymał. Brad miał rację: powinna zastanowić się nad tym, czego w ogóle chce.

Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Wendy ogarnęła panika na myśl, że zapomniała się zamknąć. Z duszą na ramieniu zerknęła do korytarza i odetchnęła z ulgą – to był Erie.

– Wendy! – wykrzyknął radośnie, spostrzegłszy ją w drugim końcu

długiego korytarza. Machnęła mu na powitanie ręką, uśmiechając się przy tym serdecznie.

Miał na sobie dzinsy i kolorową, tkaną koszulę w różnych odcieniach czerwieni, jaką nosili Seminole. Czerwień kontrastowała pięknie z brązową twarzą i oczami o intrygującym kolorze.

Ty też kogoś potrzebujesz, szwagrze, pomyślała niespodziewanie.

Erie był wyjątkowym człowiekiem – o ujmującej powierzchowności, dumnym i uczciwym, ciepłym i szlachetnym w stosunku do ludzi, którym ufał.

Taka sama była Jennifer – jego żona.

– Moment. Przyniosę tylko coś zimnego do picia – powiedział Erie.

Trzasnęły drzwi lodówki i po chwili pojawił się w pokoju, z puszką piwa dla siebie i wodą z lodem dla Wendy. Jak on dobrze ją znał. Piwo pijała tylko wtedy, gdy łowiła ryby, wino do obiadu, a żeby ugasić pragnienie – wodę z lodem lub herbatę. Czasem zaś specjalną wodę mineralną, jeśli uważała, że musi trochę schudnąć. Z reguły nie wytrzymywała zbyt długo na diecie, bo za bardzo lubiła słodczyce.

Wendy znała Erica ponad dziesięć lat. Zdążyli się przez ten czas zaprzyjaźnić i bardzo do siebie zbliżyć.

– Co ty tu w ogóle robisz? Nie spodziewałem się ciebie przed wyjazdem tego faceta z Brygady Specjalnej. – Erie przyjrzał się Wendy badawczym wzrokiem. Wzruszyła ramionami, unikając jego wzroku.

– Ja... Sama nie wiem. Musiałam się trochę przewietrzyć.

Erie pociągnął solidny łyk piwa i rozparł się wygodnie na krześle. Mierzył Wendy przez chwilę spod półprzymkniętych powiek, po czym zamknął oczy i uśmiechnął się pod nosem.

– Takie jest między wami napięcie, że aż sypią się iskry?

Wendy nie zareagowała, więc otworzył oczy. Miała zamiar mu w pierwszej chwili powiedzieć, żeby się nie wtrącał, ale się powstrzymała.

– Nie, po prostu chciałam być przez chwilę sama – wyjaśniła, wzruszając ramionami.

– Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię.

– Przestań!

Wyprostował się na krześle. Wyciągnął rękę i przytrzymał Wendy za podbródek.

– Między wami coś jest grane, moja żabko. – Uszczypnął ją lekko. – Czułem to przez skórę. – Cofnął rękę, wstał i przeciągnął się jak kot.

– Szukałaś chwilowej ucieczki dlatego, że poszliście do łóżka, czy też właśnie dlatego, że nie?

Wendy spostrzegła w jego oczach troskę. Uśmiechnęła się.

– Dlatego, że nie poszliśmy. Nie wiem, co robić. Nie potrafię poradzić sobie ze swoimi uczuciami. Przecież Brad zniknie stąd, jak tylko złapią tego typka Michaelsona. On mi się bardzo podoba, wiesz...

– Mnie też, jeśli chcesz wiedzieć.

– Ale ma taki parszywy zawód. I nie zamierza się żenić...

– Skoro nie przespaliście się jeszcze ze sobą, to czym ty się przejmujesz?

– Wcale się nie przejmuję. Zresztą, nie zamierzam wychodzić za mąż po raz drugi.

– No to w czym rzecz?

Wendy wzruszyła ramionami.

– Powiedz mi, dlaczego między nami do niczego jeszcze nie doszło?

Dlaczego muszę mu najpierw odpowiedzieć na setki pytań?! – wybuchnęła.

– Myślę, że jemu po prostu na tobie bardzo zależy – odparł Erie łagodnym tonem i westchnął. – Wierz mi, że jeśli mężczyzna chce się zabawić, nie przepuści żadnej okazji. I jest mu wtedy zupełnie obojętne, co to za dzień, która godzina, jaki kolor włosów i oczu ma kobieta. Czy też, do diabła, jak ma na imię. – Urwał. Przed oczami stanęły mu jego własne, dzikie eskapady, tuż po śmierci Jennifer. Próbował w ten sposób uśmierzyć ból i nawet mu się to trochę udało. – Pamiętaj, że jestem Indianinem i mam szósty zmysł – ciągnął. – Bradowi na tobie zależy. I cholernie się z tego cieszę. Gdybym wyczuł, że ten facet nie jest w porządku, wyrzuciłbym go na zbity pysk. Niewykluczone, że Brad nie zostanie twoim mężem. Być może w ogóle się w nim nie zakochasz, ale...

– Erie, ty nic nie rozumiesz. Ja nie chcę już więcej wychodzić za mąż. I nie chcę też się w nikim zakochać – a już zwłaszcza nie w agencie z Brygady Specjalnej do spraw Narkotyków!

Erie, jakby jej nie słyszał, kontynuował myśl:

– Przynajmniej przeżyjesz coś pięknego.

– Lepiej pilnuj własnego nosa – odpaliła.

– Erie rozparł się na krześle i pociągnął kolejny łyk piwa.

– Wendy, nie chcę, żebyś... – Urwał, bo uświadomił sobie, że się zaczyna powtarzać. Wzruszył ramionami i zmienił temat. – Jak ci dzisiaj szła praca? Udało ci się coś zrobić?

– Tak. Znalazłam kilka książek, w których roi się od bzdur.

– Pełno jest takich. Warto wiedzieć, których tytułów należy unikać, gdyż autorzy wprowadzają człowieka w błąd – stwierdził zadowolony. –

Byłem dzisiaj w Centrum Mikosukesów. Sprawy posuwają się do przodu. Billy powiedział mi, że mają całe mnóstwo planów dotyczących ziemi przynależnej do rezerwatu.

Wendy uśmiechnęła się bezwiednie. Ją również doszły słuchy o nowych zamierzeniach przywódcy ruchu Mikosukesów – podobały jej się zarówno idee, jak i ich twórca. Seminole byli finansowo niezależni. Kasowali niezłe kwoty z bingo oraz ze sprzedaży papierosów. Mikosukesi starali się znaleźć inne źródło dochodów. Zastanawiali się, czy nie spróbować czegoś w rodzaju koła fortuny.

– A więc zbałamuciłeś cały dzień, zamiast pracować?

– I tak, i nie. – Erie odchylił głowę do tyłu i wbił wzrok w sufit. – Rozmawialiśmy na utarte tematy: pieniądze, wykształcenie, kwestia dachu nad głową. W gruncie rzeczy nie wiem, jakie mam zająć stanowisko. Lubię swój dom i ziemię, która do mnie należy. Wspominam z przyjemnością szkolne lata. Czas spędzony w wojsku był natomiast istnym koszmarem, mimo to uważam, że to ważny okres w moim życiu. A teraz znalazłem się na rozdrożu. Z jednej strony nie chcę zrywać ze zwyczajami i tradycjami kultury indiańskiej. Z drugiej zaś nie chciałbym, aby dzieci z naszego szczepu wychowywały się z dala od zdobyczy, – jakimi szczyci się Ameryka białego człowieka. Doprawdy trudno orzec, która droga jest słuszna. Wendy wstała i uściśnęła go.

– Naprawdę bardzo cię kocham. Wiesz o tym, prawda? Rozbawiły go te słowa.

– Czuję się jak bohater opery mydlanej.

– A to samo życie, mój drogi. No, dobra, koniec żartów. Muszę już iść do domu.

– Ja ciebie też kocham, Wendy. – Zjrzał jej głęboko w oczy. – I dlatego nie będę przed tobą ukrywał, że wszyscy komentują ostatnie wydarzenia, na przykład to, co się stało w alei Krokodyli, wzdłuż szlaku wodnego.

– Jakie znowu wydarzenia?

– Z tego co wiem, kręcą się tu różni faceci pracujący podobno dla rządu – patrolują wsie, sprawdzają przewoźników. Wszędzie też jest pełno policjantów – naprawdę zatrzesienie. A przecież policja miejscowa woli, jak nikt nie miesza się w lokalne sprawy.

To była prawda. Seminole mieli swój własny posterunek, a Mikosukesi swój. Erie był zawsze zdania, że Floryda jest najprzyzwoitszym stanem, jeśli chodzi o respektowanie praw Indian. Policja miejska i powiatowa z Miami Lauderdale interweniowała tylko w wyjątkowych wypadkach.

– Według mnie, władze próbują odwrócić w ten sposób uwagę do Brada. Skoro kręci się tu pełno mundurowych i tajniaków, to Michaelson pewnie woli się trzymać z daleka – zauważyła Wendy.

Skinął głową, nie spuszczając z niej wzroku.

– To jeszcze nie wszystko. Niektórzy ludzie uważają, że coś wisi w powietrzu. Podobno trzydzieści kilometrów stąd wylądował jakiś podejrzany hydroplan.

Wendy wzruszyła ramionami z niecierpliwością.

– Chłopie, zastanów się! Przecież na bagnach trzydzieści kilometrów to szmat drogi! Trzeba nieźle znać się na rzeczy, żeby połapać się w tutejszym terenie.

– To prawda. Najgorsze, że nie wiadomo, czy to jacyś drobni handlarze narkotyków, szmuglujący kilogram trawki, czy też najęci mordercy

polujący na Brada.

– Wcale się tym nie przejmuję.

– A powinnaś. W każdym razie, powiedz Bradowi o wszystkim, czego się ode mnie dowiedziałaś. Nie sądzę, żeby ktokolwiek był w stanie znaleźć go, ot tak. Zresztą o tym, że on się u ciebie ukrywa, wiesz tylko ty i ja. Nikt więcej.

– Jeszcze stary Mac, ze stacji benzynowej.

– Mac nie piśnie słówka, jestem tego pewien. Obawiam się jednak, że mogą się na was natknąć przez przypadek.

– Chyba nie będą napastować kobiety?

– Wendy, nie bądź naiwna. To przecież przestępcy!

– Erie westchnął, mocno poirytowany.

Skruszona, spuściła głowę.

– W porządku. Powiem wszystko Bradowi – zapewniła.

– Musisz go uprzedzić. Powinien wiedzieć, co się dzieje, żeby być przygotowanym na wszelkie okoliczności.

– Roześmiał się nagle. – Nie martw się. Na razie możesz go mieć dla siebie.

– Ale jesteś dowcipny – odcięła się, ale gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, nie mogła powstrzymać się od śmiechu. – Odprowadzisz mnie?

– Oczywiście.

Wendy ujęła Erica pod ramię i ruszyli trawnikiem w dół, w stronę kanału.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą do domu? – zaproponował.

– Nie, dziękuję, dam sobie radę.

– Oczywiście, że dasz sobie radę, żabko. Jesteś wspaniała.

Wendy pocałowała go w policzek. Wsiadła do łodzi, pomachała ręką na pożegnanie i odbiła od brzegu.

Pęd powietrza rozwiewał przyjemnie włosy, co działało na nią kojąco.

Może Brad miał rację. Dobrze wiedział, czego oczekiwała od niego, ale powstrzymywał się, gdyż chciał jej dać coś więcej. I może kiedyś, gdy wyląduje na leżance u psychoanalityka, któremu będzie się zwierzać ze swojego miłosnego życia, zrozumie, że tak było lepiej. Powie mu: „Dwa lata męczyła mnie chandra, w którą popadłam po stracie męża. Nie byłam zdolna do niczego. Aż pewnego razu spotkałam mężczyznę, obok którego nie mogłam przejść obojętnie. Przeżyliśmy przygodę, która do dziś znaczy dla mnie bardzo wiele... „

Zbliżała się do domu. Po drodze podjęła kilka postanowień. Po pierwsze, że nie będzie się już więcej zachowywać dziecinnie, jak dzisiejszego ranka. Brad podobał się jej i zamierzała cieszyć się każdą chwilą z nim spędzoną.

Przysięgła sobie jednak, że za żadne skarby nie zrobi pierwszego kroku. Jeżeli Brad rzeczywiście jej pragnie, musi sam wykazać się inicjatywą – a nie tylko oznajmić, że nadszedł właściwy moment, jak to wcześniej zapowiadał.

Wendy wyłączyła motorek – łódź zakołysała się łagodnie na falach. Zastanawiała się, czy Brad przygotował obiad. Przycumowała do brzegu, wysiadła z łódki i pomaszzerowała zamaszystym krokiem do domu.

Dopiero przy drzwiach wejściowych zorientowała się, że coś jest nie tak. Panowała podejrzana cisza. Otworzyła ostrożnie drzwi.

Dom robił wrażenie opuszczonego. Wendy rzuciła się do przedpokoju i dopadła swojej sypialni. Zobaczyła, że Brad pościelił łóżko.

Zarumieniła się lekko na myśl, że musiał odkryć kosz na brudną bieliznę, pralkę i suszarkę. Wyprał bowiem ubrania, które mu pożyczyła oraz różne jej rzeczy – na łóżku leżała schludnie poukładana kupka z praniem.

Tylko po nim nie było śladu.

Odwróciła się na pięcie i wybiegła, przerażona, z domu. Przeszukiwała ogród, modląc się o to, by nie natknąć się gdzieś na pokrwawione ciało. Ból ścisnął jej serce na myśl, że może dopadli go mordercy.

Pobiegła z powrotem do domu po dubeltówkę.

Nienawidziła broni, ale nie miała innego wyjścia. Musiała wykazać się rozsądkiem. Zarepetowała i przerzuciła ją sobie przez ramię. Walcząc z łzami, które cisnęły jej się do oczu, ruszyła na poszukiwanie Brada.

Brad doszedł do wniosku, że już nic nie jest w stanie go zaskoczyć w domu Wendy Hawk. Ze snu wyrwała go dzika pantera, potem został zaatakowany przez zielonookiego Seminola, który skoczył na niego z dachu. Stał też oko w oko z krokodylem. Okazało się, że pantera to domowy pupilek, Indianin zaś – to szwagier. Dowiedział się natomiast, że krokodyle trzymają w domu tylko szaleńcy.

Jednak gdy natknął się na wysokiego, suchego staruszka, stojącego jak posąg na środku pokoju, zupełnie nie wiedział, co o tym myśleć. Stwierdził, że to Indianin. Starzec miał długie i proste włosy – połowa była biała jak śnieg, druga zaś połowa czarna jak smoła – zniszczoną od wiatru i słońca brązową twarz o ostrych rysach oraz oczy koloru onyksu.

Mężczyzna robił wrażenie człowieka z dużym poczuciem dumy i dostojeństwa i miał tak nieubłagany wzrok, że skojarzył mu się z jednym z

najsłynniejszych wodzów indiańskich, zwanym Sitting Bullem. Z pewnością był to Seminol.

Śni mu się chyba.

Starzec nie wyglądał na zaskoczonego pojawieniem się Brada. W gruncie rzeczy przyszedł właśnie po niego.

– Halo – odezwał się Brad.

Indianin skinął głową i zmierzył go od stóp do głów, tak że Brad poczuł się nieswojo. A może ten stary nie mówi po angielsku?

– Halo – powtórzył jeszcze raz.

– Jestem stary, ale nie głuchy – odparł Indianin. Bradowi zrobiło się głupio.

– Przepraszam, ale nie zareagował pan za pierwszym razem.

– Zastanawiałem się właśnie nad odpowiedzią.

– Czy to aż taka skomplikowana sprawa?

– Gdzie się podział twój szacunek do starszych?

– Nie miałem zamiaru pana urazić – stwierdził Brad zgodnie z prawdą.

– Kim pan właściwie jest?

Pomarszczona bruzdami twarz starca wykrzywiła się w uśmiechu.

– Hawk. Jestem Willie Hawk.

Mężczyzna miał na sobie wypłowiały roboczy kombinezon, długie buty oraz pasiastą kolorową koszulę. Zrobił krok do przodu i wyciągnął do Brada rękę.

– Miło mi pana poznać, panie Hawk. Jestem...

– Wiem, kim jesteś. Jesteś McKenna. Słyszałem o tobie – przerwał mu starzec.

Brad zmarszczył brwi. Skąd ten facet wiedział o jego istnieniu?

Przecież uprzedził Wendy, jak ważne jest dla niego zachowanie całkowitej anonimowości. Kiedy zdążyła wygadać się temu starcowi? A może wydał go Erie?

Nie, to niemożliwe. Erie był na to za bystry, a poza tym rozumiał doskonale, w jakiej sytuacji znajduje się Brad.

Willie Hawk odgadł jego myśli. Uśmiechnął się od ucha do ucha, tak że jego twarz pomarszczyła się jeszcze bardziej.

– Wendy i Erie cię nie zdradzili. – Zrobił wymowny gest ręką. – Ocenieś ich słusznie. Dochowują tajemnicy. Znam dobrze moczary, synu. Wiem, co się na nich dzieje. Potrafię wsłuchać się w ziemię, a nawet rozmawiać z krokodylami.

No tak, tylko tego mi jeszcze brakowało do szczęścia, pomyślał Brad. Starego, zwariowanego Indianina.

Willie Hawk spuścił wzrok, Brad zorientował się, że i tym razem odgadł jego myśli.

– Wendy poszła do pracy, a ty zostałeś sam w domu, tak?

Brad skinął głową.

– Tak, proszę pana. Może się pan czegoś napije? To jest dom pana wnuka i jest pan tutaj, z pewnością, stałym bywalcem.

– Mój wnuk nie żyje. To jest dom Wendy – sprostował Willie. Brad nie mógł się zorientować, jakie emocje kryją się za tym stwierdzeniem. Ból czy też miłość.

– A więc jesteś w domu sam. Pewnie masz niewiele do – roboty. Dla kogoś, kto przyzwyczajony jest do ciągłego ruchu, to musi być męczarnia. Brad roześmiał się.

– To prawda. Zrobiłem już pranie. Wendy jest taka porządnicka, że nie

mogę sobie znaleźć kolejnego zajęcia i łączę z kąta w kąt.

Starzec miał intrygującą twarz. Malowała się na niej wiekowa, tajemnicza mądrość. Czarne jak onyks oczy przeszywały Brada na wylot, ani na moment nie tracąc wyrazu czujności.

Indianin odwrócił się raptownie.

– Choć ze mną.

Brad zdumiał się, ale ani drgnął.

– Czyżbyś był głuchy, młody człowieku? Nie bój się, Indianie przestali wojować już wiele, wiele lat temu.

Zachowuje się nieco teatralnie, skonstatował Brad. Spostrzegł nagle wesoły błysk w jego oczach i zrozumiał, że tym razem był to tylko żart.

– W porządku. Idę z panem. Muszę tylko zostawić karteczkę dla Wendy. Nie chciałbym, żeby się o mnie martwiła.

Willie skinął głową.

– Dobrze. Zostaw jej wiadomość. Napisz, że jesteś ze mną, wtedy będzie spokojna.

Brad skreślił parę słów na kartce. Poszedł za starcem. Chciał wsunąć kartkę do skrzynki na listy, ale zorientował się, że nie ma tu nigdzie żadnej skrzynki.

– Jak do niej dochodzą różne rachunki? – zdziwił się na głos.

– Słyszałeś o skrytce pocztowej? – odpowiedział Willie.

– Oczywiście, że tak – bąknął pod nosem Brad i wsunął kartkę pod drzwi.

– Indianin wskazał wystruganą ręcznie łódź, przycumowaną do brzegu. Brad zaproponował, że powiosłuje, ale Willie zaprotestował.

– Usiądź sobie spokojnie i napawaj się widokiem. Miej oczy i uszy

otwarte. Oraz serce. Korzystaj z okazji. Rzadkie są w życiu chwile, gdy coś przychodzi nam bez wysiłku.

– To prawda – przyznał Brad bez przekonania, bo uważał, że to on powinien wiosłować. Wiedział jednak, że Willie nie podziela jego obiekcji.

Odплыnęli od brzegu i skierowali się na zachód, przecinając kanał. W tym momencie Brad spostrzegł, że wokół domu krąży jakaś czarna postać. Dopiero gdy się lepiej przyjrzał, odetchnął z ulgą – to była Dzidzia.

– Zastanawiam się, czy nie powinienem jej nakarmić? – mruknął pod nosem.

– Dzidzia już swoją porcję zjadła. Zjawiła się dzisiaj w naszej wiosce i moja żona dała jej kurczaka.

Brad miał wrażenie, że pantera zachowuje się jakoś dziwnie – przysiadła na tylnych łapach i drapała pazurami, przeraźliwie miaucząc. Pewnie chciała się dostać do domu.

Brad pomyślał, że trudno zaspokoić głód takiej wielkiej kocicy.

Kanoe płynęło spokojnie po bagiennej krainie.

Brad przestał zaprzętać sobie głowę Dzidzią. Nie miał pojęcia, że napisana przez niego karteczka do Wendy, zaczepiła się o pazur pantery i porwała na strzępki, gdy zrezygnowana kocica odeszła w końcu od drzwi i pomaszerowała w sobie znanym kierunku.

Starzec zawiózł Brada do swojej wioski.

Trzy godziny później Brad siedział, z rękoma skrępowanymi na plecach, u stóp olbrzymiej sosny i przyglądał się z uśmiechem grupie indiańskich dzieci, które naśladowały taniec wojenny, biegając w kółko i wznosząc groźne okrzyki „hupa-hupa”.

Jako dziecko uwielbiał bawić się w Indian. Raz był czerwonoskórym, innym razem znów kowbojem, tak jak główny bohater z ulubionego westernu.

Brad poznał mnóstwo ludzi: Mamę Hawk Panther i Anthony'ego Panthera oraz całe ich potomstwo. Również Mary Hawk, żonę Williego, którą starzec przedstawił jako Kobieta Kruka ze względu na to, że miała włosy czarne jak smoła mimo skończonej osiemdziesiątki.

Mikę, Dorinda, David i Jennifer Panther przerwały nagle taniec. Podbiegły do ojca i uściśniły go serdecznie. Ojciec odpowiedział im równie serdecznym uściskiem i poklepał pieszczotliwie po plecach. Szepnął im coś do ucha. Dzieciaki rzuciły się pędem do Brada, żeby podziękować mu za zabawę. Dorinda zdobyła się na odwagę i pocałowała go w policzek.

– Pan jest bardzo, bardzo miły, panie McKenna. Powiem o tym mojej cioci Wendy – dodała, rumieniąc się wstydliwie.

Brad uśmiechnął się pod nosem. Dorinda była bardzo ładną dziewczynką. Miała czarne oczy, jak dwa onyksy, po dziadku, kruczoczarne włosy po babci, a po matce – piękną, gładką skórę w kolorze starego złota.

Brad powiedział z wielką powagą:

– Serdecznie dziękuję za komplement.

Dorinda znowu oblała się rumieńcem i odbiegła, by dołączyć do rodzeństwa.

Obok Brada siedział, opierając się również plecami o pień drzewa, Tony Panther. Młody mężczyzna, ubrany w nieskazitelny garnitur, wyglądał groteskowo na tle innych zebranych na polanie. Brad miał

chwilami wrażenie, że znalazł się na planie filmu przygodowego o Indianach. Scenerię psuły jedynie zaparkowane w pobliżu samochodu. Wóz Tony'ego stał tuż za drzewem. Tony dojeżdżał codziennie z Fort Lauderdale. Zajmował się budżetem szczepu i prowadził księgi rachunkowe.

– Fajnie, że dzieciaki się tak zabawiły – zwrócił się do Brada. – W rzeczywistości Indianie często przegrywali, nie mieli więc wiele okazji, żeby odtańczyć rytualny taniec zwycięstwa.

Brad uśmiechnął się i poluzował sznurek, którym miał skrępowane ręce.

– Patrzyłem na te dzieciaki z przyjemnością – przeczesał palcami włosy. – Przypomniały mi się dziecięce lata, kiedy bawiłem się w Indian i kowboi, wymyślając różne historyjki. Prowadziłem narady wojenne, paliłem fajkę pokoju, skalpowałem bez zmrużenia oka.

– Jestem dumny z tego, że wciąż żyjemy na tych ziemiach. Zawdzięczamy to naszemu pradziadowi, który walczył nieugięcie o przetrwanie i nie dał się wygnać na zachód. – Tony spojrzał przeciągle na Brada. – Czy naprawdę to było dla ciebie miłe popołudnie?

Brad zamyślił się. Przynajmniej się trochę rozerwał. Mary opowiedziała mu, że kiedyś uprawiali dynie, żeby przeżyć. Poczęstowała go chlebem kukurydzianym, który był dawniej podstawowym artykułem handlowym. Brad pomógł reperować wigwam. A ponieważ był to okres połowu krokodyli, skosztował ich wędzonego mięsa. Tony, który był Mikosukesem, opowiedział mu mnóstwo ciekawostek o dwóch szczepach zamieszkujących zgodnie od wieków na mokradłach Florydy. Nauczył go też obrzędowego tańca, tradycyjnie towarzyszącego zbiorom kukurydzy.

Brad siedząc wsparty o drzewo, rozkoszował się spokojem. Był piękny zachód słońca. Ogromna, błękitna czapla poderwała się znad wody i poszybowała w górę. Horyzont mienił się złotem.

Brad spojrzał na Tony'ego i skinął głową.

– Tak. Spędziłem tu cudowne chwile.

– Zastanawiam się, dlaczego Wendy do tej pory się nie zjawiała – mruknął Tony, ale gdy zobaczył niepokój w oczach Brada, wzruszył ramionami i powiedział, siląc się na swobodę: – Powinna przecież wiedzieć, że po dziadku można się wszystkiego spodziewać. Porwał cię tak na niby, żeby napędzić jej stracha.

Brad wybuchnął śmiechem.

– Mam nadzieję, że to wszystko nie wydaje ci się dziwne – westchnął Tony. – Jesteśmy jedyną rodziną Wendy. Ona i Leif poznali się w szkole jako dzieci. Pobrali się tuż przed maturą. Wendy bardzo wczesnie straciła matkę, a jej ojciec zmarł niedługo po ich ślubie. Spędziła z nami wiele lat. Kochamy ją bardzo.

– Cieszę się – odparł Brad. Nadarzała się okazja, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o Wendy. Postanowił więc pociągnąć Tony'ego za język, który, zdaje się, nie miał nic przeciwko temu.

– Co się właściwie stało Leifowi?

– Wendy ci nic nie powiedziała? – zdumiał się.

Brad pokręcił głową.

Tony zapatrzył się przed siebie.

– Został zamordowany. Z zimną krwią. Razem z żoną Erica.

– Dlaczego? – wykrztusił ochryplym głosem Brad.

– Tony nie odpowiedział. Jego uwagę przykuła motorówka, którą

spozstrzegł w oddali. Nadpływała Wendy.

Łódź pędziła, niemal unosząc się nad wodą. Nagle Wendy spostrzegła Brada. W pierwszej chwili nawet się ucieszyła, ale w ułamku sekundy ogarnęła ją furia.

Dobiła do brzegu, wyskoczyła z łodzi i rzuciła się w stronę Brada.

Wstał z ziemi, nieco skonsternowany. Wendy dopadła go, szlochając, i wrzasnęła:

– Ty draniu! Ty śmierdzący gliniarzu! – Zamachnęła się z całej siły, żeby go uderzyć, ale Brad zrobił unik. Wendy poleciała do przodu i gdyby nie przytrzymał jej za ręce, pewnie by upadła.

– Hej, Wendy, co ci jest? – zagadnął ostrożnie Tony.

Zignorowała go, ciskając piorunujące spojrzenia Bradowi.

– Ty mający wszystko i wszystkich w nosie dupku! Przyprawileś mnie niemal o atak serca!

– Wendy! Wendy Hawk! – Powstrzymała się na dźwięk głosu dziadka.

– Uspokój się, moja droga.

Nadal wzburzona, próbowała wyrwać się Bradowi, ale udało jej się tylko odwrócić.

– Dziadku! Ty lisie! Jak mogłeś zrobić mi coś takiego! Przeraziłam się śmiertelnie.

– Wendy! Przecież zostawiłem ci wiadomość...

– Kłamiesz!

– Uspokój się natychmiast, Wendy! – rozkazał szorstkim tonem Willie. Skutek był natychmiastowy. Brad uświadomił sobie, że Wendy musi bardzo kochać staruszka i darzyć go ogromnym szacunkiem.

Westchnęła głęboko, nie przestając mierzyć Brada wzrokiem

bazyliuszka.

– Brad zostawił wiadomość – potwierdził starzec. – Nie należy nazywać nikogo kłamcą, dopóki mu się tego nie udowodni. Ale jeszcze gorszą rzeczą jest nie ufać przyjaciołom. Brad jest człowiekiem, któremu można wierzyć na słowo. Dobrze o tym wiesz. Inaczej nie gościłabyś go w swoim domu.

Wendy skinęła głową. Trzęsa się w ramionach Brada jak osika. Naprawdę się przeraziła. Myślała, że mu się coś stało. Teraz, gdy już wiedziała, że jest cały i zdrow, nagle puściły jej nerwy.

– Wendy, wierz mi. Napisałem do ciebie karteczkę – zapewnił ją Brad.

– Żebyś ty wiedział, jak ja się przestraszyłam – powiedziała niemal szeptem, starając się, żeby w jej głosie nie słychać było irytacji.

Brad zapragnął porwać ją w ramiona i całować bez pamięci, aż zapomni o wszystkich troskach.

– Bardzo cię przepraszam.

– Dzieci muszą iść spać. Chodźcie, proszę, powiedzieć im dobranoc, inaczej będą niepocieszone – wtrącił się Tony.

Wendy z trudem oderwała oczy od Brada.

– Już idziemy. Marzę o tym, żeby je wszystkie po kolei przytulić do serca.

Brad został nieco w tyle. Myślał o tym, co mu powiedział Tony. Musiał się koniecznie dowiedzieć, jak to się stało, że Leif Hawk i żona Erka zostali zamordowani z zimną krwią.

Wendy i Erie przeżyli straszną tragedię. Dzielili ze sobą bezbrzeżną rozpacz, wyplakali wspólnie morze łez. Bradowi krajało się serce na myśl, że nie jest w stanie niczego zmienić.

Dwoje młodych ludzi – kobietę i mężczyznę – pozbawiono w bestialski sposób życia. Co się takiego wydarzyło? I kto był sprawcą zbrodni?

– Brad, idziesz?

Wendy i Tony zatrzymali się, żeby na niego poczekać.

– Tak, tak. Już idę.

Gdy się z nimi zrównał, reszta złotej poświaty znikła z nieba i ziemię spowił mrok. Zapadła noc.

Rozdział 8

Brad i Wendy wrócili do domu późną nocą. Wieczór spędzili wspólnie z całą resztą przy ognisku, piekąc różne przysmaki. Willie Hawk, wyglądający trochę niesamowicie w świetle płomieni, snuł opowieści z przeszłości – rozwodził się długo o tym, jak zmuszano za każdym razem ludzi do ucieczki, gdyż rząd, w którego skład wchodziły prawie wyłącznie blade twarze, wypowiadał się raz po raz przeciwko Seminolom. Brad pomyślał, że, być może, nazwa Seminole oznacza właśnie „ucieczkę”. Sam musiał nieustannie umykać przed handlarzami narkotyków i gangsterami.

Kręciło mu się w głowie od nadmiaru wrażeń i zbyt dużej ilości wypitego trunku. Nawet nie wiedział, co pił przez cały wieczór. Tony nazywał to „czarnym napojem” i zapewniał go, że działa mniej więcej tak samo jak whisky. Okazało się, że to jakaś niesamowita mikstura.

W ciemnościach nocy, na polanie oświetlonej jedynie płomieniami ogniska Bradowi zdawało się, że stary Willie spowity jest mgłą. Zobaczył w niej różne obrazy z przeszłości: ustrojonych w pióropusze i wysmarowanych oliwą wojowników, fruujące w powietrzu noże i świszczące kule, barwne stroje w kolorach zapożyczonych od Hiszpanów. Ujrzał miliony ogni. Usłyszał zawodzenie wiatru.

Popadł w trans.

W drodze powrotnej do domu, czarną nocą, orzeźwił go chłodny powiew. Dopłynęli na miejsce. Wendy wyłączyła motorek. Brad chłonał przez chwilę spokój, jaki zapanował na bagnach. Zaczynał już poznawać niektóre odgłosy.

Gdy przekroczyli próg domu, Brad poczuł się tak, jakby wrócił do siebie. Zdażył się już tu nieźle zadomowić. Wendy powędrowała do kuchni, a on wszedł do dużego pokoju i zaczął przeglądać kasety, kompakty i płyty długogrające, których Wendy miała całe mnóstwo.

– Czy mogę nastawić jakąś muzykę?

– Oczywiście. Na co tylko masz ochotę! – odkrzyknęła z kuchni.

Żeby wiedziała, na co on ma ochotę...

Wygrzebał stary album zespołu Tempations. Opuścił ostrożnie igłę na winylowy krążek i opadł na kanapę. Wendy miała niezłą wieżę stereofoniczną ze wzmacniaczami o imponującej mocy. Zamknął oczy i wsłuchał się w muzykę.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że Wendy przygląda mu się z życzliwym uśmiechem. Uśmiechnął się również i podniósł się leniwie z kanapy.

Dziewczyna wyglądała przecudownie. Rozpuszczone włosy wiły się wokół twarzy, a oczy błyszczały jak żywe srebro. Ubrana była w dzinsy i męską koszulę. Szeroki kołnierzyk odsłaniał smukłą, ponętą szyję.

Miała niezwykły uśmiech. Był jakby kwintesencją jej osoby – słodki, enigmatyczny, co go niesamowicie pociągało, wręcz podniecało, wzbudzał czułość i tęsknotę.

Brad wyciągnął do niej rękę.

– Masz ochotę zatańczyć?

– Zatańczyć?

– Tak. Poruszać się rytmicznie w takt muzyki, zapominając o całym świecie.

Wziął ją w ramiona i delikatnie przytulił – w jej oczach pojawiły się figlarne iskierki. Zespół śpiewał coś o słońcu, które wyjrzało nagle zza

chmur – Brad przycisnął ją mocniej do siebie. Zaczął nucić półgłosem melodię.

– Ta płyta to już w tej chwili klasyka – oznajmił, zacieśniając uścisk. – Masz dobry gust, jeśli chodzi o muzykę.

– Dziękuję.

Zacząła się kolejna piosenka. Brad kołysał się powoli, rytmicznie i miękko, w takt muzyki, wdzięczny losowi, że może trzymać w ramionach tak boską kobietę. Lewą ręką gładził ją delikatnie po plecach.

Stopili się w jedno z muzyką. Wendy poddawała mu się z wielkim wyczuciem. Nagle Brad uświadomił sobie, że przestał tańczyć. Stał w bezruchu, zaglądając jej głęboko w oczy – przecudowne, szaroniebieskie, błyszczące, obramowane firanką długich, czarnych rzęs. Musiała doskonale zdawać sobie sprawę, co do niej czuje.

Na jej ustach błąkał się ledwie dostrzegalny, kokieteryjny uśmiech. Mała jędza, pomyślał.

Czyżby się zorientowała, że serce omal nie wyskoczy mu z piersi? Czy wyczuła, że obudziło się w nim pożądanie? Była tak blisko – czuł nawet przez ubranie aksamit jej skóry, nabrzmiałe piersi, ze stwardniałymi jak dwa górskie kryształy sutkami, długie uda, szczupłą talię – istną eksplozję kobiecości. Drżała w jego ramionach jak osika.

Musiała się zorientować, że jest podniecony do granic wytrzymałości. Zwilżyła wargi końcem języka, przez co nabrały jeszcze bardziej kuszącego wyglądu. Brad pochylił głowę i przywarł do jej ust – w tle sączyła się kolejna piosenka Temptations.

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Wpili się w siebie wargami i całowali namiętnie i gorąco, tak że stali się niemal jednością.

Oderwali się na moment od siebie. Brad ujął w dłonie twarz Wendy, poszukał wzrokiem jej oczu i przywarł znowu do jej ust. Ześlizgnął się rękoma powoli w dół, chwycił ją pod pośladki, uniósł w górę i posadził sobie okrakiem na biodrach. Wendy oplótła rękami jego szyję. Nie przestawali się całować.

Wendy odchyliła głowę – musiała złapać oddech. Brad spojrział na nią rozpalonym wzrokiem, pełnym niepohamowanej żądzy.

Wendy była podniecona aż do bólu. Czowała się tak po raz pierwszy w życiu. Reagowała na najdrobniejszy ruch i dotyk, a każdy namiętny pocałunek przenikał ją na wskroś, wywołując falę gorąca.

Kiedyś była żoną człowieka, którego bardzo kochała. Tworzyli udany i szczęśliwy związek – byli wprost stworzeni dla siebie. Może pustka po stracie męża oraz samotność spowodowały, że obudziło się w niej nagle aż także pożądanie.

A może po prostu podziałał tak na nią Brad.

Marzyła, żeby ta chwila trwała wiecznie. Pragnęła stopić się z nim w jedno i zapamiętać w namiętności.

– Brad – wyszeptała gorączkowo jego imię.

Spojrzał na nią żarliwym wzrokiem.

– Brad, mówiłeś, że mnie uprzedzisz, gdy przyjdzie odpowiedni moment. Czy to jest... – Głos jej się załamał. Krew uderzyła do głowy. Zrobiło jej się jeszcze goręcej.

Nie wiedziała, czy zawstydzila się swoją bezceremonialnością, czy też ogarniało ją po prostu coraz większe podniecenie.

– Tak – odszepnął Brad schrypniętym głosem. – To jest ten moment. Jeżeli i ty chcesz. Powiedziałaś, że mogę robić to, na co mam ochotę. O,

Wendy. Żebyś wiedziała, jaką mam na ciebie ochotę! Pragnę cię, teraz, tutaj. Powiedz choć jedno słowo...

Tym razem w jego spojrzeniu była nie tylko czułość, ale i pożądanie. Wiedział, że i Wendy go pragnie. Nie czekał, aż mu odpowie, tylko przycisnął do siebie tak mocno, jakby chciał stopić się z nią w jedno.

– Tak. Teraz! – odparła namiętnie.

Brad pocałował ją w szyję. Ssał przez chwilę delikatnie koniuszek jej ucha. Dotyk jego warg stawał się coraz gorętszy, gdy przesuwali się w dół, wzdłuż zapięcia męskiej koszuli. Zwinnym ruchem zdjął ją raptem i odrzucił na bok. A potem stanik.

Objął dłońmi kształtne, pełne piersi – różowe sutki natychmiast zareagowały na dotyk, twardniejąc w ułamku sekundy. Brad pochylił się i pieścił przez chwilę czubkiem języka sutki, następnie chwycił ustami pierś i zaczął ją ssać.

Wendy jęknęła cicho, a jej ciało wygięło się w łuk. Przeszył ją do głębi dreszcz rozkoszy, graniczący niemal z bólem. Podniecona była tak, że z trudem stała na nogach.

Brad porwał ją na ręce. Wczepiła mu się namiętnie palcami we włosy, szepcząc jego imię. Nawet się nie spostrzegła, jak leżała na podłodze. Serce waliło jak młotem. Brad jednym szarpnięciem zerwał z siebie koszulę, aż posypały się guziki, i wyciągnął się obok niej. Oddech miał krótki i urywany.

Wendy płonęła z pożądania. Cudownie umięśniony, nagi tors, porośnięty miodowymi włosami, doprowadzał ją do szaleństwa. Przywarła do niego nagimi piersiami, szepcząc słowa miłości. Puszysty zarost łaskotał jej piersi i szyję.

Brad schrypniętym głosem szeptał jej słodkie słówka. Pragnął pieścić Wendy całymi godzinami, obsypywać ją pocałunkami, sprawiać, by płonęła z pożądania ale nie mógł już dłużej trzymać na wodzy rozszalałej namiętności.

Rzucił się na nią, spragniony, i ściągnął z niej buty, skarpetki i dzinsy. Przyjrzał się jej przez moment z zachwytem – złotym lokom, spływającym miękko wzdłuż ramion, jędrnym piersiom, które wywołały w nim kolejną falę pożądania. Przymrużył oczy i ześlizgnął się wzrokiem w dół – na wygięte w łuk biodra, złote owłosienie przeświecające przez koronkowe majteczki.

Objął jeszcze raz spojrzeniem kształtną figurę Wendy, po czym skierował wzrok na jej twarz. Była piękna – oczy miała jeszcze bardziej niebieskie niż zwykle, wargi rozchylone i lekko wilgotne, zapraszające do pocałunku.

Aż jęknął – z zachwytu i pożądania.

Przytulił twarz do jej płaskiego i delikatnego jak jedwab brzucha i subtelnie go całował.

– Brad! – wykrzyknęła Wendy, gdy zaczął pieścić miejsce w złączeniu jej ud – wilgotne, gorące i rozkoszne. – Brad! – Pociągnęła go za włosy. Oboje pragnęli z całego serca tego samego. – Błagam cię, Brad! – szeptała Wendy jak w gorączce, odrzuciwszy głowę. Chwyciła go za spodnie i zaczęła się szarpać z zamkiem.

W głowie mu huczało. Przeczesał palcami jej delikatne, złote włosy na wzgórku łonowym i zadrżał z podniecenia. Serce waliło mu tak, że omal nie wyskoczyło z piersi.

Zrzucił z siebie pospiesznie dzinsy i patrzył na Wendy, unosząc się

lekko na łokciach. Nagi, męski, dobrze zbudowany, szeroki w barach, pięknie opalony górował nad nią – bez cienia wstydu, wprost nieprzytomnie ponętny.

Wendy przymknęła powieki – świat zawirował jej przed oczyma.

Poczuła, że Brad pochyła się nad nią.

Ogarnęły ją nagle wyrzuty sumienia w stosunku do męża, Leifa, którego przecież tak bardzo kochała.

– Wendy! – Brad wypowiedział jej imię tak ponagląjąco, że otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Napotkała jego badawczy wzrok i trochę się zmieszała.

Wcisnął się delikatnie pomiędzy jej kolana, gładząc czule wewnętrzną stronę ud. Zabrakło jej niemal tchu. Przymknęła znowu powieki.

– Wendy! – wyszeptał jej imię. – Spójrz mi w oczy.

Zwilżyła wargi. Nie była w stanie mu się oprzeć.

Krzyknęła głośno, popadając niemal w ekstazę, gdy wszedł w nią powoli, głęboko, aż zanurzył się cały w jej wnętrzu. Zastygł na chwilę w bezruchu i wpatrywał się w nią żarliwie.

Starła się wytrzymać jego spojrzenie, ale w pewnym momencie zaczęła wznosić się na szczyty rozkoszy, czując kolejne, rytmiczne ruchy. Wczepiła się w niego rękami, wyciągnęła się i odchyliła do tyłu głowę. Brad obsypał pocałunkami jej szyję. Wsunął dłonie pod pośladki i przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie. Całował piersi, powoli i czule.

Wysunął się z niej prawie, ale przyciągnęła go z całych sił do siebie, aż poczuła, że wchodzi w nią znowu coraz głębiej. Nagle poczuła, jakby gdzieś w środku eksplodowało w niej wielkie, gorejące słońce, zalewając ją deszczem złotych iskier.

Brad wyszeptał jej imię i poprosił, by go nie zostawiała. Pokornie spełniła jego życzenie. Zaczął znowu poruszać się w niej rytmicznie, pieścić ciało, obsypywać gorącymi pocałunkami piersi, aż fala ognia załatają po raz drugi.

Z trudem zaczerpnęła powietrze, wstrząsana kolejnym dreszczem rozkoszy, gdy poczuła, że ciało Brada ogarnęło spełnienie. Leżała, dysząc, z zamkniętymi oczami, odurzona tym, co między nimi zaszło. Czuła na sobie ciężar jego bezwładnego już ciała i wciąż sprawiało jej to przyjemność. Chłoneła jego ciepło, zapach, dotyk jego nagiej skóry. Upajała się tym, że leżeli złączeni ze sobą w jedno.

– Wendy, spójrz na mnie, proszę – zwrócił się do niej Brad.

Zerknęła na niego, uśmiechając się leniwie. Chciała go pogłaskać po policzku, ale chwycił jej rękę.

Dopiero teraz usłyszała, że płyta się skończyła – słychać było cichy zgrzyt igły, drapiącej kręcący się w kółko krążek. Wendy spojrzała znowu na Brada i uśmiech zamarł na jej twarzy. Mimo tego, co między nimi zaszło przed chwilą, robił nadal wrażenie nieprzystępnego. Wciąż drżała z podniecenia i miała uczucie, że Brad jest jej taki bliski, więc nie rozumiała, skąd u niego ten dystans.

Otworzyła się przed nim, dając mu siebie całą. Zaufała mu, a teraz, gdy spostrzegła jego chłód, zaczęły ogarniać ją wątpliwości.

– Brad? – zagadnęła go drżącym głosem.

Uśmiechnął się do niej szeroko, ujął jej dłoń, rozchylił i pocałował.

– Miło mi usłyszeć swoje imię.

Westchnęła i zamknęła oczy. Powinna go od razu uprzedzić, że nie jest dla niej surogatem innego mężczyzny. Kochała się z nim, Bradem

McKenna.

– Oboje się trochę baliśmy, jak to będzie, prawda? – zdobyła się w końcu na pytanie.

Uniósł się w górę i wsparł się na łokciu, rzucając jej przeciągłe spojrzenie.

– Aha. Bałaś się, że może tu ni stąd, ni zowąd zawitać Leif Hawk.

Wendy odwróciła wzrok. Brad usiadł na niej nagle okrakiem i ujął w dłonie jej twarz. Znowu zapanowała między nimi intymność. Wendy czuła jak Luke jest podniecony. Odważyła się popatrzeć mu prosto w oczy, ale nie wytrzymała jego spojrzenia.

– Bardzo kochałaś męża, prawda? – spytał.

– Tak – odparła zakłopotana – ale kochałam się z tobą, a nie z nim. Dobrze o tym wiesz.

– Dlatego cię prosiłem, żebyś cały czas patrzyła na mnie, na nas. Chciałem mieć pewność, że kochasz się ze mną, a nie z duchem innego faceta. – Przypieczętował swoje słowa długim, namiętym pocałunkiem.

Wstał z podłogi, goły jak go Pan Bóg stworzył, bez cienia żenady zbliżył się do adaptera i nastawił od nowa płytę. Po chwili w pokoju rozległa się muzyka. Wendy sięgnęła po majteczki.

– Nie, proszę – zwrócił się do niej z uśmiechem.

Wendy zawahała się. Brad ukląkł za nią i objął ją, splatając dłonie na jej piersi.

– Miło jest tak przytulić się do ciebie – szepnął jej w ucho.

– Miło, gdy tak mnie obejmujesz – odparła.

– Wtulił się twarzą w jej szyję i szepnął jej znowu na ucho:

– Musimy się jeszcze pokochać dzisiejszej nocy. Może raz, a może

kilka razy.

Wendy odwróciła się, żeby zobaczyć jego twarz.

– Jak na kogoś, kto ma kłopoty ze startem, całkiem szybko wrzucasz kolejne biegi.

– O czym ty mówisz?

– Dawałam ci przez dłuższy czas do zrozumienia, że mam na ciebie ochotę, a ty nic.

– Jak to przez dłuższy czas? Przecież myśmy się dopiero co poznali.

Wendy oparła się o niego plecami i przejechała palcami po jego nodze.

– Od pierwszej chwili miałam na ciebie chrapkę.

Zaskoczyła go tym wyznaniem.

– Wczorajszej nocy chodziło ci wyłącznie o moje ciało – odpowiedział dopiero po chwili zastanowienia. – Dzisiaj zaś zapragnęłaś mnie, Brada McKennę. To spora różnica.

Wendy nic nie odpowiedziała. Kto wie, może to i prawda.

Brad kołysał się lekko w takt muzyki.

– Gdy byłem chłopcem, młodzież zbierała się na domowych imprezach. Bawiliśmy się, tańczyliśmy, właśnie przy takiej muzyce. Nigdy nie chodziliśmy do dyskoteki. A ty?

Wendy potrząsnęła przecząco głową.

– Ja też nie.

– Napijesz się wina?

– Chętnie. Przyniosę butelkę – powiedziała, niezbyt pewna, czy będzie umiała poruszać się naga po domu równie swobodnie jak Brad, zważywszy że wszędzie paliło się światło. To nic, że byli sami i nikt nie mógł ich zobaczyć.

Po prostu trochę się odzwyczaiła.

Ale nie było tak źle. Czuła na sobie wzrok Brada i sprawiało jej to przyjemność. Napełniła dwa kieliszki białym winem i przygotowała paterę z serem, łososiem i krakersami. Brad siedział w pokoju na podłodze, wsparty plecami o kanapę. Wendy przysiadła się do niego i postawiła tacę pomiędzy nimi.

– O, łośoś. Fantastycznie. Umieram z głodu.

Sięgnął po kawałek różowego fileta i włożył go do ust.

Wendy zaczęła kroić ser i nakładać plasterki na krakersy, ale przerwała na moment, gdyż Brad podsunął jej kawałek łososia. Chwyła go lekko zębami, oblizując przy tym zmysłowo jego palce.

– Och, Wendy – mruknął, pożerając ją wzrokiem.

Krew uderzyła jej do głowy – nigdy nie sądziła, że wzrok mężczyzny może wywołać tak piorunujące wrażenie.

Podawała Bradowi krakersa.

Otoczył ją ramieniem i siedzieli tak, popijając wino i zagryzając krakersami. Prawie nie rozmawiali, tylko on rzucał od czasu do czasu jakieś uwagi z erotycznym podtekstem. Za każdym razem, gdy pociągnął łyk wina albo ugryzł kęs, rozwodził się, na ile to sposobów można użyć ust do pieścizot. Odgrażał się, że jej to wszystko po kolei zademonstruje.

– Brad! – zaprotestowała w końcu, śmiejąc się. Bawiło ją, że słowa i spojrzenia mogą być tak znaczące. Czuła, że ulega ich sile. Brad obejmował ją wciąż ramieniem i pieścił jej pierś, muskając palcami delikatnie sutek. Szeptał jej czułe słówka we włosy, szyję, do ucha.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa! – westchnęła.

Patrzył na nią miodowymi oczami spod półprzymkniętych powiek.

– Dlaczego? Przecież nic takiego nie robimy. Ot, siedzimy sobie tutaj razem. I tyle. – Urwał na moment, po czym dodał już całkiem poważnym tonem. – Nie chciałem być egoistą, ale nie mogłem już dłużej wytrzymać. – Pocałował ją w czoło.

– Ale przecież wcale nim nie jesteś...

– Tak bardzo mi zależało, żeby i tobie było dobrze.

– Brad...

– Chcesz? – Wsunął jej do ust krakersa z serem.

Wendy schrupała go, przyglądając się Bradowi, trochę zaskoczona.

– Chyba miałeś rację, jeśli chodzi o Leifa... – zaczęła niepewnie. – To nie fair kochać się z innym mężczyzną, by zapomnieć o mężu. Jestem ci wdzięczna, że to zrozumiałeś lepiej niż ja. – Głos jej się załamał. – Wiem, że nie jesteś żonaty, ale może kogoś masz. Ja również nie chciałabym znaleźć się w roli przypadkowej kochanki.

Brad chwycił jej podbródek i pocałował delikatnie w usta.

– W moim życiu nie ma nikogo, Wendy. Naprawdę. Tylko ty – oświadczył, zaglądając jej głęboko w oczy. – Powiedz mi, co się stało z Leifem i żoną Erica?

Wendy zabrakło nagle powietrza. Chciała się wyrwać z jego objęć i uciec w ciemność. Cała przeszłość stanęła jej w ułamku sekundy przed oczami jak żywa, otwierając rany, które, zdawało się, zabił czas.

– Zostali zamordowani.

– Wiem. Jak to się stało?

Wendy wzdrygnęła się.

– Erie z żoną urządzili przyjęcie z okazji trzeciej rocznicy ślubu. Jennifer miała słabość do pewnego burgunda, a więc w prezencie

zamówiliśmy dla niej skrzynkę trunku u przyjaciół, którzy mają sklep monopolowy... – Urwała i zamilkła na dłuższą chwilę.

Nienawidziła wracać pamięcią do tamtej nocy. Gdy widziała swego męża i szwagierkę po raz ostatni, byli tacy szczęśliwi. Przyjaźnili się całą czwórką bardzo serdecznie, byli ze sobą wyjątkowo zżyci.

Owego wieczoru Jennifer miała na sobie białą sukienkę, w której wyglądała przepięknie. Jej miodowa skóra kontrastowała cudownie z białą materiału i aksamitną czernią włosów. Jennifer i Erie byli w sobie bardzo zakochani, emanowali wręcz szczęściem.

Leif miał na sobie biały, letni garnitur, który wspaniale podkreślał niezwykle kolor jego oczu.

Przyjaciela, właściciela sklepu w Lauderdale zatrzymało coś w ostatniej chwili, tak że nie mógł dostarczyć im zamówienia. Wendy zajęta była przygotowaniem jedzenia – zapowiedziała zawczasu Jennifer, że nie wolno jej się do niczego dotknąć. Erie montował na dworze grill. A więc Leif i Jennifer pojechali do miasta odebrać prezent, z którego Jennifer bardzo się ucieszyła. Wyszła z domu, trzymając Leifa pod ramię – roześmiana, piękna.

– Wpadli prosto w łapy bandytów, którzy zorganizowali napad na sklep – wyjaśniła Wendy. – Gdy przyjechali na miejsce, właściciel sklepu już nie żył. Jeden z bandytów powalił Jennifer na ziemię i wycelował w nią pistolet. Leif rzucił się na niego z gołymi rękoma i walczył do upadłego, starając się zyskać trochę czasu dla Jennifer. Ale nie miał szans – sam jeden przeciwko czterem napastnikom i do tego bez broni. Jennifer rzuciła się do ucieczki, ale ją złapali.

Policja powiedziała potem Wendy, że Leif zginął na miejscu od kuli,

która ugodziła go prosto w serce. Jennifer miała aż trzy rany postrzałowe i wykrwawiła się powoli na śmierć.

Nie powinienem jej pytać o szczegóły. Zachował się jak skończony idiota.

Wendy ciągnęła swoją opowieść monotonnym głosem.

Policja wezwała ją i Erica, żeby przyjechali do kostnicy zidentyfikować ciało.

– Jedyne, co pamiętam, to że wszędzie było pełno krwi. Piękna biała suknia, w której Jennifer wyglądała tak niewinnie, była cała umazana na czerwono. – Wendy przełknęła głośno łyk wina. Miała szeroko rozwarte oczy i patrzyła nieobecny wzrokiem przed siebie.

Brad zrozumiał dopiero teraz, dlaczego wybrała życie w samotności, na mokradłach, z dala od cywilizowanego świata. I dlaczego łączyła ją i Erica taka mocna więź.

Udało się jej jednak choć na moment zapomnieć o przeszłości w jego, Brada, ramionach. Był z tego bardzo zadowolony.

A teraz, przez niego, intymny nastrój, jaki wytworzył się między nimi, prysnął jak bańka mydlana.

Wendy sięgnęła drżącymi rękoma po ubranie. Poczuli się nagle niezręcznie, siedząc obok niego naga. Odstawiła kieliszek.

– Idę wziąć prysznic – powiedziała głucho i wstała z podłogi. Brad wyciągnął do niej rękę.

– Wendy, poczekaj...

– Zostaw mnie w spokoju, do jasnej cholery! – krzyknęła i wybiegła z pokoju.

– Nie ruszał się przez chwilę z miejsca, kompletnie przybity. Nie mógł

pozwoić na to, aby koszmar z przeszłości, o którym starała się zapomnieć, zaczął ją prześladować od nowa. Pozbierał resztki jedzenia i zaniósł je do kuchni. W głębi duszy wiedział, że Wendy nie uwolniła się jeszcze do końca od wspomnień o tragicznej śmierci męża, chociaż kategorycznie temu zaprzeczała. Musiał za wszelką cenę jakoś ją z tego wyciągnąć.

Wendy stała jeszcze pod prysznicem, gdy nagle w łazience pojawił się Brad i zerknął za zasłonkę. Wendy miała mokre włosy, oblepione wokół twarzy, w ręku trzymała mydło. Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Zostaw mnie w spokoju! Czy naprawdę nie możesz zrozumieć, że chcę być sama...

Złapała z trudem oddech, gdy Brad, nie zważając na jej słowa, wszedł pod prysznic.

– Zjeżdżaj stąd, natychmiast! Słyszałeś?!

– Nie, Wendy – odparł i wziął ją w ramiona. Jej skóra była mokra, śliska i pachniała mydłem.

Wendy odwróciła od niego twarz – z jej oczu trysnęły łzy.

– Przez ciebie wróciły te wszystkie koszmarnie wspomnienia! Czy ty tego naprawdę nie rozumiesz?!

– Przepraszam. Wiem, że to moja wina. Chciałbym, abyś mogła zapomnieć wreszcie o przeszłości. – Pocałował ją w szyję. – Postaraj się zacząć wszystko od nowa, wymazać przeszłość z pamięci.

Przymrużyła oczy, w których błysnęła wściekłość.

– Nie, McKenna! – wrzasnęła. – Zapewniam cię, że nigdy w życiu nie zapomnę Leifa!

– Oczywiście, że będziesz go zawsze pamiętać – próbował ją uspokoić.
– Przecież nie o to chodzi.

– Wendy wiła się jak piskorz, próbując mu się wyrwać, ale przytrzymał ją mocno i zaczął namiętnie całować. Lewą ręką przycisnął ją do ściany, a prawą pieścił czule jej ciało. Przejechał palcami wzdłuż kręgosłupa, ścisnął pośladki. Zakreślił łuk wzdłuż krągłych bioder, aż dotarł do złączenia ud, trafiając do delikatnego, czułego miejsca – źródła największej rozkoszy.

Nogi ugięły się pod Wendy. Uczepiła się kurczowo Brada i wyprężyła nagle jak struna. Rozchyliła wargi, spragniona pocałunku. Wspięła się na palce i przywarła do jego ramienia.

– Jestem w stanie pokochać każdy centymetr twego ciała – szepnął jej czule do ucha.

Gorące strumienie wody biczowały ich ciała. Brad przywarł na moment wargami do jej ust, a potem zaczął całować, powoli i namiętnie, jej piersi, przyprawiając ją o dreszcz rozkoszy. Wtuliła się jeszcze głębiej w jego ramiona, szepcząc żarliwie jego imię. Aż jęknęła, wstrząsana ekstatycznym spazmem.

Brad przylgnął do niej, tak że poczuła każdy szczegół jego ciała. Wendy płonęła, trzęsąc się z podniecenia. Nie była w stanie myśleć. Wygięła się w łuk i oparła mu ręce na ramionach, poruszając bezwiednie biodrami w rytm jego pieszczot.

– Brad! Błagam, zlituj się nade mną – jęknęła. – Proszę cię. Już nie mogę tego dłużej znieść.

On nic sobie nie robił z jej słów.

Zupełnie bez tchu, wykrztusiła z siebie jeszcze raz:

– Proszę, przestań! Czuję, że za chwilę zemdleję.

Do Brada dotarły w końcu jej błagalne prośby. Zakręcił kran. Porwał

Wendy na ręce i nie zważając na to, że są oboje mokrzy, zaniósł ją do sypialni. Ułożył ją na łóżku i znów zaczął pieścić.

Wendy szeptała jak w gorączce, że już nie może dłużej tego znieść, że brakuje jej tchu.

Ale on udowodnił jej, że to nieprawda. Posiadł ją z taką pasją, nie przestając pieścić, że udało mu się rozpalić w niej znowu żar namiętności.

Po raz kolejny doznała spełnienia z jego imieniem na ustach.

Zasnęła w jego objęciach, zmęczona i usatysfakcjonowana.

Brad nie zmrużył oka jeszcze długo – leżał, tuląc ją do siebie i gładząc czule po włosach, zasłuchany w odgłosy nocy, chłonąc spokój otaczających go mokradeł.

Rozdział 9

Brad obudził się bardzo późno. Słońce stało już wysoko na niebie, gdy otworzył oczy. Wendy jeszcze spała. Nic dziwnego, kochali się przecież pół nocy.

Leżała zwinięta w kłębek, z głową na jego piersi – bujne włosy łaskotały go lekko w ramię. Przełożył ostrożnie jej głowę na poduszkę i przyglądał się przez chwilę. Delikatna skóra koloru miodu kontrastowała tak ponętnie z bielą prześcieradła, że z trudem się powstrzymał, żeby jej nie dotknąć. Usta miała rozchylone w półuśmiechu i – ze względu na kolor włosów oraz drobne rysy twarzy – wyglądała jak jakaś inna niebiańska istota. Była taka czysta, taka niewinna! Na pewno nie gustowała w przelotnych przygodach.

Należała do kobiet, dla których mężczyzna łatwo tracił głowę.

Ostatniej nocy zachowywała się jednak nie jak anioł, tylko jak jakaś syrena, działając mu na zmysły i rzucając na niego urok. Oczywiście, że bardzo jej pragnął. Od pierwszej chwili gdy ją ujrzał, wiedział, że to się skończy miłością. Mimo to nie powinni tak łatwo dać się ponieść namiętności. Nic go tu nie trzymało. Wiedział, że odejdzie stąd prędzej czy później. Powróci do swojego życia, daleko od tej bagnistej krainy, na której znalazł chwilowe schronienie. Nie było w jego życiu miejsca dla Wendy. A w jej – dla niego.

Wendy otworzyła powoli oczy. Przyjrzała się Bradowi zamglonym od snu wzrokiem i uśmiechnęła przyjaźnie.

Przeciągnęła się leniwie i podciągnęła na łóżku w górę – spod przykrycia wysunęła się pierś z różowym, sterczącym sutkiem.

W nocy Brad starał się kochać z nią powoli, ostrożnie, dając jej odczuć, że mu na niej zależy. A teraz wystarczył jeden uśmiech, żeby obudziło się w nim na nowo pożądanie. Powinien był się stąd wynieść, zanim postrada zmysły.

Nie był jednak w stanie od niej odejść. Nie wiedział, ile czasu jest im dane spędzić wspólnie w tym dziwnym raj, ale zamierzał korzystać z każdej chwili.

Wendy pogłaskała go po policzku, a potem przesunęła rękę powoli wzdłuż jego torsu. Palce zatrzymały się na wysokości talii, w kręconych włosach, porastających bujnie to miejsce. Ręka zbłądziła jeszcze niżej i dotarła do jego męskości. Wendy pochyliła się i zaczęła czubkiem języka pieścić jego pierś.

Spazm rozkoszy przeszył go na wskroś. Nachylił się ku niej i pocałował.

Nie, Wendy nie jest aniołem, pomyślał, unosząc ją wysoko w górę – złote włosy rozsypały mu się na klatce piersiowej. Owszem, miała urodę anioła, ale zachowywała się jak stuprocentowa istota ziemiska, oddając mu się całkowicie, z niespotykaną pasją.

Okazała się czarującą uwodzicielką, pieszcząc go z wprawą, całując i kochając się z nim, sercem i duszą. Wkrótce Brad zapomniał o całym świecie. Wspinał się na szczyt, wśród deszczu pocałunków, szeptów, tracąc kompletnie władzę nad swoim ciałem.

Gdy było już po wszystkim, Wendy uśmiechnęła się do niego słodko. Nie sądziła, że człowiekowi tak mało potrzeba do szczęścia. Zwinęła się w kłębek, przytuliła do Brada i zasnęła.

Obudził ją zapach kiełbasy. Brad stał oparty o framugę, nagi. W rękach

trzymał tacę z jedzeniem, a w zębach dziką orchideę. Wendy wybuchnęła śmiechem. Postawił tacę bezpiecznie na podłodze i wskoczył na łóżko. Siadł okrakiem na Wendy i zaczął ją łaskotać. Długo nie przestawała się śmiać.

Gdy zjedli śniadanie, Brad włączył telewizor, żeby posłuchać ostatnich wiadomości. Nie podano niczego nowego w jego sprawie. Obejrzeli więc sobie starą sztukę sensacyjną, leżąc spleceni w czułym uścisku.

Dobłą godzinę później Wendy zdecydowała się wziąć prysznic. Brad postanowił jej towarzyszyć. Kochali się znowu pod prysznicem, długo i namiętnie, aż oboje osiągnęli spełnienie, patrząc sobie prosto w oczy.

Przeszli potem do dużego pokoju i przerzucili kolekcję płyt, kompaktów i kaset. Brad zwierzył się jej, że jego dom został zniszczony od wybuchu bomby. Wendy uświadomiła sobie bolesną prawdę, że Brad jest jedynie przelotnym gościem. zaproponowała mu, żeby sobie wybrał kilka płyt i wziął ze sobą. Uśmiechnął się i pogłaskał ją po włosach. Szeptał jej do ucha, że jest niesamowitą kobietą. Całował potem tak namiętnie, aż oboje nabrali ochoty, by pokochać się jeszcze raz.

Wendy przygotowała na obiad kurczaka po chińsku. Brad, co prawda, wciąż jej przeszkadzał – wyciągał ją do pokoju, żeby z nim zatańczyła w rytm jakiejś starej, uwielbianej przez niego melodii. Jakimś cudem kurczak udał się całkiem nieźle.

Po obiedzie do domu wróciła Dzidzia. Spalaszowała ze smakiem kawał surowego mięsa i ułożyła się leniwie przy kanapie, żeby sobie uciąć drzemkę. Gdy już się wyspała, Brad wypuścił ją na dwór. Nie miał specjalnie ochoty na jej towarzystwo.

Wendy zamknęła drzwi na klucz. Brad zaczął się na nią w ciemnym

korytarzu. Pocałował ją, wziął na ręce i zaniósł do sypialni. Zanim zapadli w sen, kochali się jeszcze raz.

Wendy obudziła się następnego ranka i stwierdziła, że Brada nie ma w pokoju. Zaniepokojona wyskoczyła z łóżka, owinęła się prześcieradłem i sprawdziła cały dom, ale nigdzie go nie znalazła. Wybiegła na dwór i odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że spokojnie bawi się z Dzidzią. Głaskał ją czule po głowie, zapatrzonego w piękny wschód słońca – promienie odbijały się w wodzie, wytyczając błyszczący szlak. Wokół panowała zadziwiająca cisza, którą przerwał raptem jakiś krokodyl, wydając odgłos przypominający do złudzenia chrząkanie świni. Spłoszony ptak poderwał się z wrzaskiem do lotu.

Brad miał na sobie spłowiełe dzinsy Leifa i koszulę Seminoli w błękitno-karmazynowe paski – Mary Hawk uszyła ją kiedyś dla swojego wnuka w prezencie gwiazdkowym. Wendy przygryzła dolną wargę na wspomnienie, jak czule Leif podziękował babci za niespodziankę. Jej mąż darzył Williego i Mary ogromnym szacunkiem i był do nich bardzo przywiązany. Właściwie cała rodzina Leifa utrzymywała ze sobą bardzo serdeczne stosunki. Cechowała ich wszystkich serdeczność i wielka mądrość życiowa.

Brad, jeśli chodzi o charakter, mógłby być jednym z nich. Dlatego wpadła w furję, gdy znalazła go w końcu, całego i żywego, u rodziny męża – tak okropnie bowiem się o niego bała. Nie od razu zorientowała się, że Willie – ten szczywany lis – ukartował całą historię: najpierw znalazł Brada, zawarł z nim znajomość w typowy dla siebie sposób i wystawił mu ocenę.

Była to ocena pozytywna. Brad czuł się swobodnie w wiosce Williego.

Starcowi odpowiadał tryb życia zgodny ze starymi tradycjami, ale również wielu młodych kultywowało dawne zwyczaje. Brad dostosował się natychmiast do sytuacji.

Wendy przyglądała się Bradowi z czułością. Aż trudno uwierzyć, że znała go dopiero kilka dni. Pamiętała doskonale, jak go znalazła, jak ściągnęła z niego zabłocone ubranie i zachwyciła się, że jest taki przystojny i pięknie zbudowany, taki męski. Już wtedy była pełna podziwu, choć starała się nie dopuszczać do siebie pewnych myśli. Niewykluczone, że poczuła do niego pociąg fizyczny, gdyż była bardzo samotna. Gdy poznała go bliżej, nie była w stanie mu się oprzeć. Oprócz urody miał jeszcze bowiem tyle godnych podziwu cech charakteru.

Niestety, i tak miał odejść. Lojalnie uprzedził ją, żeby się zbytnio nie angażowała. Ostrzegł też, że nie zamierza się nigdy ożenić. Zapewniła go, że to nie ma dla niej najmniejszego znaczenia. Nie była to prawda.

Obecność Brada sprawiała jej ogromną przyjemność. Przywykła natychmiast do drugiego ręcznika w łazience, do dwóch brudnych filiżanek w zlewie. Tak miło spędzali czas – jedli posiłki, śmiali się i żartowali, nie brakowało im tematów do rozmowy. Z prawdziwą rozkoszą zasypiała w jego ramionach.

Musiała uważać, żeby się w nim nie zakochać.

Wmawiała sobie, że daleko jej do tego. Że jest dorosłą kobietą i doskonale wie, co robi. I że sobie jakoś poradzi, gdy Brad od niej odejdzie. A że odejdzie, to tylko lepiej dla obojga. Nie chciała żyć złudzeniami.

Nagle zabrakło jej tchu. Przypomniała sobie, w jak tragiczny sposób została wdową. Leif padł ofiarą ludzi, z którymi Brad miał do czynienia na co dzień.

Gdyby zakochała się w Bradzie, oznaczałoby to życie w ciągłej niepewności, lęku, strachu. Zamartwiałaby się o niego...

Brad odwrócił się raptem w jej stronę, jakby odgadł jej myśli. Chciała pomachać mu ręką na powitanie, chciała się do niego uśmiechnąć, ale zabrakło jej sił. Dziwny błysk w oczach ostrzegł ją, że Brad myśli o tym samym. Zdradził go surowy, zacięty wyraz twarzy. Nie odezwała się ani słowem, tylko ścisnęła mocniej prześcieradło, w które się owinęła, i wróciła do domu.

Wzięła prysznic i ubrała się. Brad tymczasem przygotował śniadanie. Zaparzył kawę, usmażył jajecznicę i zrobił grzanki. Siedział, dumny z siebie, i popijał kawę.

– Wygląda to cudownie – zachwyciła się Wendy. Osunęła się na krzesło i spróbowała jajecznicę.

– Muszę dostać się do stacji benzynowej, żeby zadzwonić – oznajmił Brad.

Wendy odłożyła widelec.

– Nie ma sprawy. Zawiozę cię na miejsce. Zresztą, powinnam w końcu odebrać samochód. Muszę pojechać do miasta po zakupy – potrzebna jest nam żywność i trochę drobiazgów. – Wstała od stołu i wzięła talerz, by włożyć go do zlewu. Nie mogła przełknąć już ani kęsa.

Brad chwycił ją za rękę. Spojrzała na niego, zdumiona.

– Wendy, wydaje mi się, że nie powinienem dłużej tu zostawać.

Wyszarpnęła rękę z uścisku.

– Rób, jak uważasz.

Zrobiło mu się przykro. Wstał, wyjął jej z ręki talerz i postawił na stole. Miał rozpalony wzrok i cały był spięty.

– Nie zachowuj się tak, proszę.

– Jak? – Starła się, by jej głos zabrzmiał obojętnie.

– Nie udawaj, że jest ci wszystko jedno! – wykrzyknął.

Wendy nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz. Zaczęła mówić poirytowanym tonem.

– Czego mam nie udawać, McKenna? To ty postawiłeś od początku warunki. Chciałeś, żebyśmy się trochę bliżej poznali. To ty...

– Wendy. Czy nie rozumiesz, że mi na tobie zależy? Głuptasie, nie jesteś kobietą na jedną noc...

– Dlaczego nie? Jeżeli sama tego chcę? Podjęłam już decyzję. – Starła się ukryć irytację. Za wszelką cenę chciała zachować pozory obojętności, ale bez skutku. – Podjęłam decyzję, słyszysz! – krzyknęła. – Jeszcze pierwszej nocy – dodała głosem pełnym sarkazmu. – Wystarczył jeden rzut oka, aby stwierdzić, że trafił mi się przystojny facet. Doskonały kandydat na przelotną przygodę. Dlatego gdy ostrzegłeś mnie, żebym się zbytnio nie angażowała, sądziłam, że oczekujesz tego samego. Dwoje dorosłych ludzi spragnionych seksu bez zobowiązań.

– Wendy, przestań! Oboje dobrze wiemy, że...

– Nic nie wiemy, mój drogi! O co ci w ogóle chodzi? Chcesz odejść – to sobie idź! Nikt cię tutaj nie trzyma na siłę! Jeszcze mi tylko ciebie brakowało – faceta, który żyje z tego, że zabija ludzi...

– To są wierutne bzdury!

– Na miłość boską, przecież dopiero co zabili twojego partnera!

– Tak! To był przypadek. Zginąć można wszędzie: w katastrofie samolotowej, w wypadku samochodowym, przechodząc ulicę na zielonym świetle.

– Ale ty szukasz guza!

– Wendy, nie licząc ćwiczeń na strzelnicy, użyłem broni ze trzy razy w ciągu blisko dziesięciu lat.

Odsunęła się od niego i wzięła się pod boki.

– Co ty mi właściwie próbujesz udowodnić...

– Sugerujesz, że jestem nieomal jakimś płatnym mordercą, co jest dalekie od prawdy! – Podszedł do niej i chwycił za ramiona. Obrzucił ją piorunującym wzrokiem. – Staram się zapewnić zwykłym ludziom bezpieczeństwo, żeby mogli spokojnie chodzić po ulicy. A już ponad wszystko staram się, żeby kryminaliści nie mieli wpływu na młodzież szkolną. Czy widziałaś kiedyś dwudziestolatka, który zmarł z powodu przedawkowania kokainy? Albo ucznia szkoły średniej ze śladami igły na rękę? Nie ma najmniejszego sensu aresztować takiego dzieciaka. Trzeba mieć nadzieję, że uda mu się z tego kiedyś wyjść. Naszym obowiązkiem jest rozprawić się z gośćmi typu Michaelson. Facetami, którzy grają pierwsze skrzypce w interesie zakrojonym na dużą skalę i którzy zbijają forszę na handlu narkotykami.

– W porządku, Brad. Zajmij się tym swoim Michaelsonem i zostaw mnie w spokoju! Nic więcej od ciebie nie potrzebuję. Zrealizowałam już swój plan maksimum...

– Co takiego! – wykrzyknął z niedowierzaniem Brad.

Wendy dała się ponieść złości i powiedziała o jedno słowo za dużo. Mimo to powtórzyła:

– Wykonałam plan maksimum...

– Bo się ze mną przespałaś, tak?

– Owszem.

Spojrzał na nią, nie kryjąc oburzenia.

– To znaczy, że chodziło ci wyłącznie o seks?!

Był gotów przysiąc, że Wendy go oszukuje. Chciał do niej jakoś przemówić, ale się powstrzymał. Zrobiłby z siebie głupka! Opanował się z trudem i zmusił do beztroskiego uśmiechu. Nie miał innego wyjścia – zbyt wiele było do stracenia. Czy istniała możliwość, że jakoś uda mu się do niej w końcu dotrzeć? Do jej duszy i serca? Powinien znaleźć jakąś drogę.

– Czy rzeczywiście w grę wchodził wyłącznie seks? Wystarczył ci jeden rzut oka, by dojść do wniosku, że na ciebie polecę?

Ton jego głosu nie spodobał się Wendy.

Brad porwał ją ramiona i zaczął całować jak szalony.

Chciała mu się wyrwać, ale nie była w stanie. Całował ją tak zachłannie, pieścił tak namiętnie, że Wendy porzuciła wszelką myśl o oporze. Żarliwość Brada sprawiła, że Wendy pragnęła tylko jednego: aby nie wypuścił jej z objęć, aby nie przestał jej pieścić.

Po jakimś czasie znów rozpoczęli miłosny taniec.

Niewiele było trzeba, aby namiętność wzięła ich w posiadanie.

Osunęli się na podłogę. W chwilę później Wendy była już naga. Modliła się o to, żeby Brad posiadał ją jak najszybciej, żeby zaspokoił jej pragnienie.

Ale on się nie spieszył. Kochał się z nią powoli, świadom każdego swojego ruchu bardziej niż kiedykolwiek, doprowadzając ją wprost do szaleństwa. Szeptala jak w malignie, błagała go i zaklinała, a on wciąż odkrywał nowe, wrażliwe miejsca na jej skórze.

Gdy osiągnęli w końcu spełnienie, pozwolił jej odpocząć, ale się z nią nie rozłączył. W pewnym momencie wzniesli się znowu na szczyty

rozkoszy, wykrzykując spazmatycznie swoje imiona.

Popadli wreszcie w cudowne, leniwe omdlenie. Wendy leżała w objęciach Brada – rzeczywistość przestała się liczyć, czas stanął w miejscu.

– Wendy, wiem, że... – Urwał w pół słowa, bo nagle rozległo się pukanie do drzwi. Zerwał się jak oparzony. – Cholera! – zaklął i rzucił jej gniewne spojrzenie. – Od kiedy ciebie poznałem, zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Wendy? Brad? Jest tam kto?

Brad odetchnął z ulgą, gdy rozpoznał głos Erica. Wendy za to wpadła w panikę. Wiedziała, że Erie darzy Brada sympatią, mimo to miała okropne wyrzuty sumienia. Czowała się jak mała dziewczynka przyłapana na kradzieży lizaka. Sięgnęła po ubranie.

Brad przyglądał się badawczo, jak ubiera się w pośpiechu. Ta namiętna, niebieskooka kobieta o wyglądzie anioła była dla niego jedną wielką zagadką. Utrzymywała, że chodzi jej wyłącznie o seks, czym uraziła go do żywego. Wyczuwał jednak, że w ten sposób Wendy broni się przed miłością; że wolałaby, aby zniknął z jej życia, zanim będzie za późno. Że rozumiała, iż zaczynają się za bardzo do siebie przyzwyczajać i że są o krok od tego, żeby zakochać się w sobie bez pamięci.

– Ubierz się, proszę! – szepnęła.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym skinął głową i włożył dzinsy. Wendy wsunęła błyskawicznie bluzkę w spodnie. Brad uśmiechnął się i poszedł otworzyć – bosy i z rozchełstaną na piersiach koszulą.

– Cześć, Erie – rzucił na powitanie.

Przez chwilę Erie mierzył ich oboje wzrokiem. Trudno było cokolwiek

wyczytać z jego twarzy. Wendy przyczesła włosy i obciągnęła bluzkę. Indianin zerknął na Brada.

– Widzę, że przyszedłem nie w porę.

– Ależ skąd! – zachnęła się Wendy.

– Miałeś nosa. – wtrącił Brad. – Właśnie wybieraliśmy się do warsztatu, żeby zadzwonić. Gdybyś przyszedł parę minut później, to byś nas nie zastał. Wejdz, proszę.

Erie wyczuł, że coś jest nie tak. Posłał Wendy długie spojrzenie, marszcząc brwi. Zrobiła minę niewiniątka.

– Napijesz się kawy? Albo piwa?

Gość spostrzegł na podłodze talerze z prawie nietkniętym śniadaniem.

Wendy cieszyła się w duchu, że pozostawił sprawę bez komentarza i przyjął filiżankę kawy.

– Willie jest bardzo zadowolony, że cię wziął do nas. Co prawda, Wendy nieźle najadła się strachu, ale Willie mówi, że było warto – oznajmił.

Brad powiedział, że też się cieszy, iż poznał jego rodzinę. Przenieśli się na dalszą pogawędkę do dużego pokoju. Wendy odetchnęła z ulgą. Posprzątała talerze, dochodząc do wniosku, że to już kolejne zmarnowane śniadanie. Bez względu na to, czyja to wina, faktem jest, że dzień po dniu śniadanie lądowało w kubie na śmieci.

Co teraz z nami będzie? – przemknęło jej przez głowę. Uświadomiła sobie, że nie ma najmniejszego wpływu na bieg wydarzeń. Ich przyszłość leżała w rękach Brada.

Zajrzała do pokoju i stwierdziła, że panowie są wciąż pogrążeni w rozmowie. Poszła więc do łazienki, uczesała się i wymyła twarz zimną

wodą. Spojrzała w lustro i doszła do wniosku, że jej oczy zdradzają, iż jest zakochana.

– Wendy! – krzyknął Brad tak głośno, że nie mogła nie usłyszeć.

Co mu się stało? Zrobiła wojowniczą minę i ruszyła do pokoju.

– O co chodzi? – spytała, nie kryjąc irytacji. Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia.

– Erie powiedział mi, że przekazał mi przez ciebie wiadomość o jakichś facetach, którzy kręcą się po okolicy – niewykluczone, że na mnie polują.

Wendy nie odzywała się przez chwilę. Było jej głupio, że zapomniała go uprzedzić w tak ważnej sprawie. Wszystko przez to, że bardzo się zdenerwowała, gdy wróciła od Erica i nie zastała Brada w domu. Spędzili potem miły wieczór w wiosce, z Williem, Mary i pozostałą rodziną. A po powrocie do domu...

– Po prostu zapomniałam. – Pokręciła bezradnie głową.

– Coś podobnego! – oburzył się Brad.

– Wendy! To naprawdę bardzo ważna informacja – stwierdził Erie z wyrzutem w głosie.

– Przykro mi.

– Patrzcie państwo. Przykro jej! – wściekł się Brad. Podniósł się i zaczął chodzić w kółko po pokoju, próbując zebrać myśli. W końcu zwrócił się do Erica:

– Utrzymujesz, że na mokradłach, niedaleko stąd, wylądował hydroplan, tak?

Gość skinął głową.

– Jesteśmy tutaj, żeby rozbić siatkę Michaelsona – powiedział głucho Brad. – Wiedzieliśmy, że ściąga towar z Kolumbii, ale nigdy nie udało

nam się złapać nikogo za rękę. Domyśliłem się, że Michaelson znów coś knuje, gdzieś w tej okolicy. Próbowaliśmy przyłapać go na gorącym uczynku. I wtedy właśnie zostałem rany... – Prześlizgnął się spojrzeniem po Wendy – jego wzrok był pochmurny, nieodgadniony – po czym ciągnął: – Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego naszym agentom nie udało się go do tej pory złapać, skoro wciąż kręci się gdzieś tutaj, na bagnach?

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak przepastne są tutejsze mokradła? – spytał Erie. – Ciągną się niemal w nieskończoność – tutejszy krajobraz to trawa, błoto, kanały, często zarośnięte szuwarami, od czasu do czasu kawałek suchego łądu, gdzieś tam kilka sosen. Tu i ówdzie jezioro, mniejsze bądź większe, na którym spokojnie może wylądować hydroplan z drogocennym ładunkiem – białym proszkiem wartym miliony dolarów.

– Skoro Michaelson znalazł tutaj idealne miejsce na przemyt, moim zadaniem jest to miejsce zdemaskować. Liczę na twoją pomoc – powiedział Brad.

– McKenna, ty draniu! – Wendy puściły nerwy. – Jeżeli nie masz zamiaru ukrywać się dłużej przed facetem, który poza robieniem grubej forsy, ma tylko jeden cel w życiu: zamordować cię i to jak najszybciej, to twoja sprawa! Ale nie próbuj w to wciągnąć mojego szwagra...

– Wendy! – zaprotestował Erie, wściekły.

– Daj mi spokój! – Łzy cisnęły jej się do oczu. – Jesteście kompletnymi bałwanami! Jeżeli ci się coś stanie, to dziadek tego nie przeżyje! Brad, do cholery jasnej! Nie powiesz mi chyba, że twój szef popiera lekkomyślne akcje z narażaniem życia osób postronnych...

– Wendy, przestań! – upomniał ją znowu Erie. Wyciągnął do niej rękę,

ale odepchnęła ją z furją. – Buszowałem kiedyś po dżungli w Azji. Gdybym wtedy zginął, dziadek by to zrozumiał.

– Nigdzie się nie wybieramy i nic nie będziemy robić – wtrącił Brad ugodowym tonem. Zawiesił głos. – Mówiłem dzisiaj rano, że, moim zdaniem, sytuacja jest dla ciebie zbyt niebezpieczna.

Sądziła, że Brad próbuje zamydlić jej oczy, że Erie zamierza zaprowadzić go do różnych wiosek, by poznał jego przyjaciół, Seminoli i Mikosukesów, oraz nielicznych białych mieszkających na mokradłach. Michaelson urządził nagonkę. Obawiała się, że Brad ma już tego wszystkiego dosyć i zamierza sam zapolować na tego drania.

Poszła do sypialni i wyjęła z komody portmonetkę i kluczyki do łodzi.

Brad zaszedł jej drogę w korytarzu.

– Zejdź mi z drogi! – Wendy była nieprzejednana.

– Zrozum, musimy porozmawiać.

– Zostaw mnie w spokoju! Chcę po prostu jechać do miasta. Nie mam najmniejszej ochoty na rozmowę. W każdym razie nie z tobą. Owszem, może z personelem sklepu albo pracownikiem banku czy też barmanem. Z kimś, kto na co dzień nie ma nic wspólnego z przemocą!

– Wendy, przecież ci mówiłem, że...

– Tak, tak. Ze nigdy nie używasz broni. Zapomniałeś tylko, że znalazłam cię nieprzytomnego, z raną od kuli w głowie. A teraz chcesz sobie stąd pójść, tak? – Łzy, tak długo powstrzymywane, spłynęły po policzkach. Bała się, że za chwilę wpadnie w histerię – zarzuci mu ręce na szyję – i zacznie krzyczeć, że go nigdzie nie puści; że nie przeżyje tego, jeżeli od niej odejdzie. I zginie.

Zachowywała się jak idiotka. Traciła kontrolę nad sobą. Tymczasem on

nieźle się trzymał. No cóż, uprzedził ją przecież, że nie jest w stanie zakochać się i że prędzej czy później odejdzie.

– Wendy...

– Zostaw mnie! – Odepchnęła go z całej siły. – Erie zawiezie cię do stacji benzynowej. Jak już zadzwonisz, pomoże ci się stąd wydostać. Możesz na niego liczyć, na starego Maca zresztą też. – Prawie nic nie widziała przez łzy. – Do widzenia, Brad – odwróciła się na pięcie i wybiegła z domu. Rzuciła się jak oszalała do łodzi.

Płynęła, zaciskając pięści, zasłuchana w monotony szum motorka. Nie zwracała na nic uwagi; ani na chylące się na boki trawy, ani na wiatr, który osuszył jej łzy.

Myślała tylko o Bradzie. Był bezpieczny w jej domu. Z pewnością nikt by go tam nie znalazł. Nie umiał jednak znieść dłużej tego, że musi się ukrywać.

Stwierdziła, że nic więcej od niego nie chce, więc postanowił odejść. Zniknąć z jej życia.

Wystarczyło, że zamknęła oczy, a był znów tuż-tuż. Czuła jego zapach, dotyk. Słyszała w każdym podmuchu wiatru jego śmiech, przypominała sobie jego czułość i namiętność.

Wiedziała, że nigdy w życiu nie zapomni cudownych, miodowych oczu i słodkich słówek, które jej szeptał do ucha. Tak dużo się między nimi wydarzyło!

Ale nawet największa namiętność nie była w stanie zbliżyć ich do siebie tak naprawdę. Ich życie różniło się diametralnie i zwyczajnie nie dało się tego ze sobą pogodzić. Rozumiała też doskonale, na czym polega jego praca, i że w jego życiu nie ma dla niej miejsca. Ona z kolei nie była

w stanie znieść obcowania na co dzień z człowiekiem, który nieustannie naraża życie.

Próbowała się pocieszyć, że w gruncie rzeczy prawie go nie zna, ale na nic się to zdało. Myśl o przyszłości bez niego była nazbyt bolesna.

Rozdział 10

L. Davis Purdy milczał po drugiej stronie słuchawki tak długo, że Brad pomyślał, iż połączenie zostało przerwane. W końcu odezwał się, cedząc powoli każde słowo.

– Jakie masz konkretne informacje? – zapytał.

– W gruncie rzeczy prawie żadnych. Mój przyjaciel... – Brad urwał w pół zdania i wyjrzał przez okno.

Erie Hawk stał oparty o ścianę i słuchał opowieści Maca, czekając, aż Brad skończy rozmawiać. Miał na sobie dzinsowe spodnie i koszulę, wysokie, kowbojskie buty oraz kapelusz z szerokim rondem, nasunięty głęboko na oczy. Długie włosy sięgały mu do ramion. Brad doszedł do wniosku, że skoro Erie ostrzegł go, iż pojawiły się tu w okolicy jakieś podejrzane typki, to na pewno tak jest. Odniósł wrażenie, że byliby z Erikiem świetnymi partnerami, że gotów byłby zaufać temu Indianinowi bardziej niż niejednemu, z którym przyszło mu pracować.

Odchrząknął i mówił dalej:

– Mój przyjaciel zna tutejszą okolicę jak własną kieszeń. Potwierdza, że przerzut towaru odbywa się na mokradłach. Prawdopodobnie Michaelson kręci się gdzieś w pobliżu, w oczekiwaniu na nowy transport, który nadejdzie lada moment. Jestem pewien, że wciąż mnie szuka, ale pieniądze są dla niego ważniejsze niż zemsta.

Purdy ostrzegł Brada, żeby zachował szczególną ostrożność. Gdy zaczął wymieniać wszystkie obowiązujące go przepisy, Brad nie był w stanie dłużej go słuchać. Pochłonęły go własne myśli.

Powinien opuścić mokradła jeszcze dziś, ruszyć do miasta i czekać, aż

Michaelson zostanie unieszkodliwiony. Powinien odejść od Wendy, zniknąć jak najszybciej z jej życia. Pozostawić ją samą i bezpieczną. Zanim będzie za późno... Zanim zakochają się w sobie bez pamięci.

Wendy kazała mu się wynosić. Wybiegła z domu, nie oglądając się za siebie. Nie spodziewała się go zastać po powrocie, nie miał więc czego szukać dłużej w jej domu. Może powinien zatrzymać się u Erica.

Jednak zdecydował się zostać. Purdy przyznał, że Brad jest znacznie bezpieczniejszy w domu na mokradłach. Zresztą, ludzie Purdy'ego deptali Michaelsonowi po piętach, była to więc kwestia kilkunastu lub kilkudziesięciu godzin.

Brad zorientował się, że Purdy skończył wywód i zamierza odwiesić słuchawkę – w samą porę bąknął coś na pożegnanie. Obiecał, że będzie się z szefem regularnie kontaktował.

Wyszedł z kantorku. Podeszedł do Erica i Maca, wciąż pogrążonych w rozmowie.

– Nie powiesz mi, że wszyscy ci faceci zjechali się tutaj żeby zapolować na krokodyle, bo jest sezon – stwierdził stanowczo Mac i splunął na ziemię. – Poznają na kilometr ludzi, którzy zabawiają się w myśliwych. To przeważnie gryzpiórki, w ubraniach khaki, pochłaniający piwo beczkami i przechwalający się wyczynami. Ci faceci nie mają z nimi nic wspólnego. Nie podoba mi się ich wygląd. Choć łążą przebrani za myśliwych, mam wrażenie, że dopiero co wyskoczyli z garniturów.

Brad był pewien, że co najmniej połowa mężczyzn wyglądających podejrzanie w ubraniach khaki to pracownicy FBI oraz ludzie z Brygady Specjalnej do spraw Narkotyków. Jednak nie wróżyło to niczego dobrego. Miał nadzieję, że razie w bezpośredniej konfrontacji uda mu się odróżnić

gangsterów od policjantów.

– Pamiętaj, że jeżeli ktokolwiek by cię nagabywał, to nigdy nie widziałeś Brada – poinstruował Erie.

Mac zachichotał, zerkając spod oka na Brada.

– Oglądałem dziennik. Dobrze wiem, kiedy trzeba trzymać język za zębami.

– Dzięki, Mac – powiedział Brad.

– Nie ma za co. Wybieracie się dzisiaj na przejażdżkę?

– zwrócił się do Erica.

– Tak. Pomyślałem, że warto by się przepłynąć kilkoma kanałami.

– Chcecie coś wziąć ze sobą na drogę?

– Pewnie. Kilka puszek piwa, jakieś rybki. Może trochę sera, chrupki kukurydziane. Daj, co tam masz pod ręką – zaproponował Erie.

Mac załadował różne towary do łódki. Indianin zaproponował Bradowi, żeby posterował. Wypłynęli z kanału na jezioro, skąd rozpościerał się piękny widok.

Gdy zbliżyli się znowu do wąskiego kanału, Brad zmniejszył prędkość. Zamienili się przy sterze.

Cały ranek kręcili się po kanałach. Odwiedzili wiele indiańskich wiosek, położonych niejednokrotnie na odludziu. Dotarli do wielu opuszczonych chat, które służyły za schronienie niedzielnym myśliwym. Stały opustoszałe, gdyż zmieniły się przepisy i nie wiadomo było, kto jest ich właścicielem. W jednej z nich wyraźnie ktoś mieszkał – pachniało w niej drogimi cygarami i mocnym trunkiem.

Erie zmarszczył brwi.

– Czyżby to był Michaelson?

– Niewykluczone, ale nie sędzę, żeby zaszył się aż tak daleko na moczarach. Nie umiałby się obejść bez pewnych rzeczy – na przykład wody mineralnej, którą myje zęby. Podejrzewam raczej, że to kilku jego ludzi, naśladowujących zwyczaje szefa.

– Poczekajmy chwilę, może się zjawią – zaproponował Erie.

Zaszyli się w łodzi, schowani za kępką sosen, kilka metrów od chałupy. Erie otworzył piwo i paczkę chipsów. Zarzucili dla niepoznaki wędki i rozłożyli się wygodnie na dnie łodzi.

Brad posłał Ericowi przyjazne spojrzenie.

– Dziękuję ci. Zdaję sobie sprawę, że tracisz mnóstwo czasu.

– Nie ma sprawy. Nie pracuję w biurze od dziewiętej do siedemnastej. Jestem panem swojego czasu, a więc mogę sobie na to pozwolić.

Zrobiło się gorąco i parno, niczym w piekle. Brad wypił duszkiem pół puszki piwa.

– Mimo to bardzo ci jestem wdzięczny za pomoc.

– Naprawdę nie ma o czym mówić.

– Ona ma rację – zauważył Brad.

– Kto? Wendy? – uśmiechnął się Erie.

– Tak. Nie powinienem cię w to wszystko wciągać. Erie zaklął pod nosem.

– Słuchaj, stary. Nikt mnie na siłę nie ciągnął. Znalazłem się tu z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie mogę pozwolić, aby w mojej rodzinnej okolicy panoszyli się gangsterzy i handlarze narkotyków. A Wendy się nie przejmuj. Już ja sobie z nią poradzę.

Brad skinął tylko głową, nie spuszczając z oka długonogiego żurawia, który stapał z wdziękiem po podmokłym łądzie. Dokończył piwo. Erie

podał mu następną puszkę.

– Wendy opowiedziała mi, co się stało z jej mężem i twoją żoną. Bardzo wam współczuję.

– To nieszczęście spadło na nas tak nagle. Każde z nas przeżywało je na swój sposób. Jeśli chodzi o mnie, to początkowo uciekłem w samotność, a potem rzuciłem się w wir życia, jak wariat. W końcu jednak ustatkowałem się i znalazłem spokój. Bardzo mi pomogła moja rodzina. Wendy z kolei zamknęła się na cztery spusty w domu, zupełnie sama. – Zawiesił na moment głos. – Kiedyś chciałem dopaść tych bandziorów i porachować się z nimi. – Potoczył wzrokiem ponad powierzchnią wody. – Udało mi się w końcu złapać jednego. Oddałem go jednak w ręce policji. Był to dla mnie znak, że jestem w stanie powrócić do normalnego życia. Wiesz, chyba dobrze się stało, że Wendy cię spotkała. Masz na nią dobry wpływ. Myślę, że będziesz się musiał przed nią nieźle tłumaczyć po powrocie.

Brad zerknął na Erica.

– Sądzę, że nie powinienem wracać.

Indianina rozbawiły te słowa.

– Co, boisz się, że Wendy porachuje ci kości? – zażartował. – Oj, coś mi się zdaje, że się trochę zagalopowałem. W końcu to nie moja sprawa, niepotrzebnie się wtrącam, ale zależy mi na jej szczęściu.

– Co powinienem zrobić?

– Erie wzruszy! ramionami.

– Czy ja wiem?

– Słyszałeś przecież, jak wściekała się dzisiaj rano – zauważył Brad. – Sądzę, że nie ma ochoty dłużej znosić mojego towarzystwa.

– Założę się, że przyjmie cię z otwartymi ramionami.

– Zarzuciła mi, że zabijam ludzi, tak jakbym był płatnym mordercą.

– Doskonale wie, że to nieprawda. Po prostu okropnie się o ciebie boi i dlatego postępuje zgodnie z zasadą, że najlepszą obroną jest atak. Rozum i serce nie idą u niej w parze. Staraj się to zaakceptować.

– Sam nie wiem. W gruncie rzeczy nie mam wobec niej żadnych zobowiązań.

– W dzisiejszych czasach ludzie cenią sobie ponad wszystko wolność. Nie uzależniają się tak łatwo od siebie. – Erie uśmiechnął się. – Mój dziadek powiada, że życie jest jak rzeka, którą płyniemy, sami wytyczając jej bieg. Kierujemy się przy tym sercem, rozumem albo porywami duszy. W najważniejszych momentach powinniśmy iść wyłącznie za głosem serca. Rozum kieruje się jedynie logiką, a dusza zbyt często pycha. Serce zaś nie wie ani co to logika, ani co to pycha, i dlatego jest najlepszym doradcą. Brad, możesz jechać dziś na noc do mnie albo wrócić do Wendy – chętnie cię tam zawiozę. Decyzja należy do ciebie. Daj mi tylko znać, gdy już coś postanowisz.

– W porządku – odpowiedział Brad tylko dla fasonu, bo nie miał się nad czym zastanawiać. Obaj doskonale wiedzieli, gdzie chciałby spędzić noc.

– Hej! – wykrzyknął Erie.

– Co się stało? – Brad odstawił puszkę z piwem.

– Coś się złapało na moją wędkę!

– Aha. – Brad odetchnął z ulgą.

Erie zerknął na niego, zorientował się bowiem, że Brad spodziewał się czegoś innego.

– Przepraszam – uśmiechnął się i wstał, żeby stoczyć walkę z rybą. Okazało się jednak, że uwolniła się tymczasem z haczyka.

Brad sięgnął po dwie puszkę piwa. Usadowili się znowu na dnie łódki.

Powoli zapadał zmierzch. Niebo nad kanałem zabarwiło się na złoto, czerwono i fioletowo. Białe żurawie na powierzchni wody nabrały różowego odcienia.

– Nie sądzę, żeby ktoś się tu dzisiaj zjawił – stwierdził Erie.

Brad ledwie widział jego twarz. Wytężył wzrok, próbując przyzwycząić oczy do ciemności.

– Jestem pewien, że oni coś knują. Cholera wie, może zjawiają się tu co drugi albo co trzeci dzień. Swoją drogą, jak wpadli na to miejsce?

– Na mokradłach Everglades jest pełno myśliwskich chat. Ktoś musiał mieć jednak niezłego nosa. Może tu jeszcze wróca, a może się już zwinęli na dobre. Lepiej będzie, jak przyplniemy tu znowu jutro.

Erie zapalił motorek i ruszyli powoli kanałem, oświetlając sobie drogę lampą. Noc była czarna, mimo gwiazd, gdyż prawie nie było księżyca.

Brad zorientował się, że płyną w stronę domu Wendy, chociaż nie ustalali tego ze sobą. Gdy znaleźli się blisko, Erie wyłączył raptem motorek. Nie spodobało mu się, że nie pali się żadne światło. Była już najwyższa pora, żeby Wendy wróciła do domu.

– Podplniemy od drugiej strony. Tam rosną gęste szuwary, nie będziemy się tak rzucać w oczy – szepnął do Brada.

Przycumował łódź przy bagnistym brzegu. Brad wysiadł i natychmiast wpadł po kostki w błoto, które nalało mu się do butów. Grzął w mule, aż poczuł pod stopami pewniejszy grunt. Erie radził sobie lepiej na podmokłym terenie, bo miał długie buty.

– Wendy nie ma w domu – stwierdził Brad spięty. – Nie uwierzę, że do tej pory robi zakupy.

Poczuł, że strach ściska go za gardło. Czyżby ktoś trafił na jej ślad, chociaż dom stał na odludziu?

– Myślę, że po prostu jeszcze nie wróciła. – Erie, usiłował zachować zimną krew. – Może pojechała do którejś z wiosek, do rodziny, albo zabawiła dłużej w mieście, u przyjaciół. Albo wpadła na jeszcze inny pomysł.

Tak, z pewnością wpadła na jakiś idiotyczny pomysł. Brad nie mógł znieść myśli, że Wendy nie ma – pragnął ją zobaczyć, przekonać się, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

– Sprawdźmy, co jest grane – zwrócił się do Erica.

Rozumiejąc się bez słów, zaczęli się skradać wokół domu – Brad poszedł w lewo, Erie w prawo.

Instynkt mówił Bradowi, że w domu nie ma nikogo, mimo to serce waliło mu jak młotem na myśl, że Wendy mogła wpaść w łapy Michaelsona.

Dotarł na tyły budynku. Wyczuł jakiś ruch, a za moment usłyszał krzyk ptaka. Uśmiechnął się – to był Erie. Jeszcze tydzień temu Brad dałby się nabrać. Kilka dni spędzonych na mokradłach wystarczyło, żeby wyostrzyć zmysły.

Wychynął zza rogu.

– No i co? – spytał. Erie pokręcił głową.

– Nic. Nie wydaje mi się, żeby ktoś tu się kręcił od – chwili, gdy wyszliśmy. Powinniśmy dla pewności wejść do środka.

– Zamierzasz się włamać?

– Nie – roześmiał się Erie. – Mam klucz.

Sprawdzili dokładnie dom i nie stwierdzili niczego podejrzanego. Brad opadł ciężko na kanapę.

– A może Michaelson zorientował się, że Wendy mnie ukrywa i napadł na nią gdzieś na mokradłach? – westchnął.

– Daj spokój, Brad. Przecież Wendy nie jest dzieckiem. Wiesz, jaka była wzburzona. Pewnie chciała poradzić się dziadka albo pogadać z przyjaciółmi. – Uśmiechnął się ironicznie. – W innych okolicznościach przyszłaby do mnie. Uznała, że nagle przeszedłem na stronę wroga. Musiała znaleźć sobie kogo innego. Nie martw się. Jestem pewien, że nic jej się nie stało.

Teraz obaj zamarli. Nie słyszeli, żeby przyplłynęła łódź, nie widzieli żadnych świateł, ale wiedzieli z całą pewnością, że ktoś jest na dworze i skrada się cichcem pod domem.

Zerwali się na równe nogi. Podeszli bezszelestnie do drzwi wejściowych. Brad uchylił je ostrożnie. Wyjrzelili na zewnątrz. Nikogo nie było. Smuga światła padała na trawnik, poza tym było zupełnie ciemno.

Erie skinął na Brada. Zaczęli okrążyć dom, w milczącym porozumieniu.

Brad dostrzegł nagle w ciemnościach zgarbioną postać, która starała się zajrzeć ukradkiem przez okno. Po cichu, na palcach, zaczął się skradać do intruza, który w ostatniej chwili zorientował się, że nie jest sam, i chciał czmychnąć, ale nie zdążył.

Brad skoczył i rzucił się z całym impetem. Powalił go na ziemię, siadł na nim okrakiem, chwycił ręce w nadgarstkach i przytrzymał wysoko nad głową. I dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że to Wendy.

– Brad! Ty draniu! Co robisz najlepszego!

– Patrzcie państwo, co za miłe spotkanie w gronie dobrych znajomych!

– skomentował złośliwie Erie.

Wendy posłała mu piorunujące spojrzenie, po czym zwróciła się, wściekła, do Brada.

– Niech cię szlag!

– Gdzie byłaś?

– Nic ci do tego!

– Śmiertelnie się przeraziłem, rozumiesz! – wrzasnął na całe gardło.

– Coś podobnego! Taki osiłek jak z filmu o King Kongu, a się przeraził! Przecież to ty mnie napadłeś i siedzisz teraz na mnie okrakiem. Erie! Powiedz mu, żeby natychmiast ze mnie zlaźł.

– Założę się, że jak go grzecznie poprosisz, to sam zejdzie.

– Do cholery, powiedz mi w końcu, gdzie byłaś? – nie dawał za wygraną Brad.

– To moja prywatna sprawa, gdzie byłam, i nic wam do tego! – ostrzegła, ciskając gniewne spojrzenia.

– Ja jestem tylko bogu ducha winnym świadkiem – odparł Erie beztrąsko.

– Lepiej się stąd wynoś.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i ani drgnął. Wendy zmierzyła wzrokiem najpierw jego, a następnie bladego wciąż jak śmierć Brada.

– Byłam po prostu w sklepie! – wypaliła.

– Cały dzień? – zdziwił się Erie.

– A gdzie łódź? – dopytywał się Brad.

– Jestem samochodem! – warknęła. – Łódź została po drugiej stronie jeziora. Byłam u Maca, pogadałam sobie z nim, odebrałam naprawiony

wóz i pojechałam do Lauderdale. Zrobiłam zakupy w drogerii, potem w supermarkecie. Poczytałam ogłoszenia, kupiłam w automacie puszkę pepsi, posiedziałam na ławce i przerzuciłam gazetę.

– Nie powiesz mi, że zajęło ci to cały dzień! Wendy, zrozum, do ciężkiej cholery, że napędziłaś mi niezłego stracha! – wybuchnął Brad.

– A myślicie, psiakrew, że ja się nie przeraziłam, gdy wróciłam do domu i zorientowałam się, że ktoś jest w środku?!

– Przecież wiesz, że Erie ma klucz.

– Ale nigdzie nie było ani jego samochodu, ani łodzi. Cholera jasna! Dlaczego ja się w ogóle tobie tłumaczę?

Wendy nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Drżała na całym ciele. Niewiele brakowało, a wpadłaby w histerię. Wszystko dlatego, że Brad wrócił i znów był przy niej.

Dziadek uprzedził ją, że wróci. Powiedział jej, żeby była cierpliwa. Radził, żeby poszła do domu i spokojnie czekała, nie tracąc nadziei.

Wprawdzie kazała Bradowi się wynosić, ale modliła się w duchu, żeby jej nie posłuchał. Zrobiła zakupy na dwie osoby. W drogerii kupiła zapas pasty do zębów, mydła i krem do golenia...

Zachowywała się nierozsądnie. Było oczywiste, że Brad i tak odejdzie. Błagała los o trochę czasu. Chciała się choć trochę nacieszyć jego obecnością.

– Martwiłem się o ciebie. I to jak cholera! – wykrzyknął Brad.

– A co ty tu w ogóle robisz?! – udawała zdziwioną.

Erie odchrząknął znacząco.

– A może przenieśliśmy się do domu? Możecie sobie wtedy bez końca roztrząsać tę kwestię. Brad, obawiam się, że jak jej za chwilę nie

puścisz, to zaczniesz cierpieć na niedokrwienie rąk.

Brad poluzował natychmiast uścisk i zaczął rozcierać Wendy nadgarstki.

– Czy sprawiłem ci ból?

– Nie – odparła Wendy sucho. – Złóż ze mnie, dobrze?

Brad podniósł się powoli z ziemi i podał jej rękę. Podciągnęła się w górę, posyłając mu złe spojrzenie.

– Gdzie są zakupy? W samochodzie? – spytał Erie.

Skinęła głową, uśmiechając się z przymusem.

– Tak, z wyjątkiem torby, którą wzięłam ze sobą. Wypuściłam ją z ręki, gdy ten wariat wyskoczył na mnie z krzaków.

Erie podniósł papierową torbę na zakupy, przejrzał jej zawartość i zebrał puszki i kilka paczek chipsów, które wysypały się na ziemię.

– Na szczęście nic się nie zniszczyło – skonstatował.

Brad i Wendy wciąż mierzyli się gniewnymi spojrzeniami. Erie podsunął Bradowi torbę z zakupami.

– Zabierz to do domu, a ja przyniosę resztę z samochodu.

– O, świetnie. Dzięki – ucieszyła się Wendy.

Brad nie spuszczał z niej oka. Wyglądał bardzo przystojnie z tą swoją burzą miodowych włosów. Wendy wyminęła go i skierowała się do drzwi wejściowych.

Brad ruszył za nią. Postawił torbę na podłodze w kuchni. Po chwili zjawił się Erie, z dwiema wypełnionymi po brzegi siatkami.

– Gdzie mam je położyć? Na stole?

– Tak, proszę.

Brad oparł się o lodówkę.

– Powiedz mi, gdzie byłaś, Wendy? – spytał jak gdyby nigdy nic.

– Ubiłam milionowy interes z handlarzami narkotyków, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć – oznajmiła z kpina w głosie.

Brad chwycił ją za rękę.

– Wendy, odpowiedz mi poważnie na to bardzo ważne dla mnie pytanie!

– Ważne pytanie? Już ci mówiłam sto razy, że byłam w sklepie! Potem pojechałam odwiedzić rodzinę. Zjadłam obiad z Williem, Mary i ich dziećmi. To wszystko! Zresztą, nic ci do tego! Miałaś się przecież stąd wynosić!

Brad odwrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni. Wendy zerknęła na Erica – wzruszył tylko ramionami i ruszył w ślad za Bradem.

Zastał go na dworze.

– Gdzie się podział, do licha, jej samochód? – spytał, gdy zobaczył Erica.

Ten uśmiechnął się zagadkowo.

– Choć, to ci pokażę.

Zaprowadził Brada nad brzeg i pokazał mu kamienie, tuż pod powierzchnią wody. Na pierwszy rzut oka w ogóle nie było ich widać. Przeszli na drugą stronę kanału, gdzie w szuwarach wycięto ścieżkę, wiodącą do polanki przy drodze, na której stał zaparkowany samochód Wendy.

Wyładowali z samochodu resztę zakupów i zanieśli do domu.

Wendy rozkładała produkty, trzaskając przy tym niemiłosiernie drzwiczkami.

Erie postawił na stole ostatnią torbę.

– Pomóc ci?

– Nie – rzuciła na odczepnego.

– Jak chcesz. Brad, napijesz się piwa?

– Chętnie.

Erie przeszedł z obojętną miną obok Wendy i wyjął z lodówki dwie puszki piwa. Jedną podał Bradowi.

Wendy stała przy zlewie i pakowała do plastikowych woreczków steki, przygotowując je do zamrożenia.

– Cuchnie od was jak z browaru, tyle już dzisiaj wypiliście – zauważyła, pociągając ostentacyjnie nosem.

– Co takiego? – udał oburzenie Erie. – Jestem zdruzgotany.

Wendy odwróciła się energicznie od zlewu i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– Teraz wasza kolej. Powiedz mi, gdzie się podziewaliście przez cały dzień?

– Byliśmy na rybach.

– Na rybach? – Zrobiła wielkie oczy. – Cały długi dzień?

– Łowiliśmy sobie rybki, gawędziliśmy, popijaliśmy piwko. I nawet się nie spostrzeżliśmy, jak nadszedł wieczór.

Wendy znowu zajęła się stekami.

– Kłamczuch – mruknęła pod nosem.

– Spytaj Brada, jak mi nie wierzysz. Złapał mi się na wędkę taaaki sum, ale straciłem go przez tego mieszcucha.

Zerknęła spod oka na szwagra. Uśmiechał się niewyraźnie.

– Pozwolisz mu tu zostać? – spytał raptem, bez ogródek.

Wendy zaczerwieniła się.

– Wiesz, chciałbym już iść do domu i nie wiem, czy mam wziąć go ze sobą.

– Erie, ja nie potrzebuję adwokatów! – warknął Brad.

– Uspokójcie się! – prychnęła Wendy. – Brad może tu zostać.

– Przestań się wściekać. Zadałem ci po prostu zwyczajne pytanie – odparował Erie.

Brad pociągnął łyk piwa. W gruncie rzeczy sprawy miały się jak najlepiej. Okazuje się, że Wendy nic złego się nie stało. Zrobiło mu się gorąco na myśl, że wkrótce zostaną sami, tylko we dwoje.

– No to cześć! – powiedział Indianin i skierował się do wyjścia. Przy drzwiach odwrócił się i puścił oko do Brada. – Lepiej się pilnuj, bo ta kobieta jest niebezpieczna!

– Patrzcie państwo! – zachnęła się Wendy. – Ten facet napadł na mnie, a teraz wmawiasz mu, że powinien się mnie bać.

– Nie martw się. Jakoś sobie z nią poradzę – zapewnił go Brad.

Wendy przyjrzała mu się ukradkiem. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Poczwała, że znowu miękną jej kolana. Widok tego wysokiego mężczyzny, z grzywą jasnych włosów, opalonego i pięknie zbudowanego, przywiódł jej na pamięć burzliwe wydarzenia dzisiejszego poranka. Oczami wyobraźni ujrzała, jak grają mu mięśnie, gdy porywają w ramiona, pochyla ku niej twarz i posyła jej długie, gorące spojrzenie, płonąc z podniecenia...

– Naprawdę sobie z nią poradzę – powtórzył jeszcze raz łagodnym tonem Brad.

– Może tak, a może nie – odparł Erie. – Uważaj tylko, żeby cię nie złapała w sidła.

– Co ty pleciesz?! – Brad i Wendy wykrzyknęli niemal jednocześnie. Erie nie dał się zbić z tropu.

– Wiem, co mówię. Wendy zawsze bardzo pragnęła mieć dziecko. Mówiła ci o tym? Próbowwała zajść w ciążę, jeszcze zanim zginął Leif. Kto wie, może chce cię złapać na dziecko i zmusić w ten sposób do małżeństwa? Z drugiej strony, czy ty przypadkiem nie prowadzisz też jakiejś gry? Nie jesteś typem faceta, który chciałby się ustatkować. Masz niebezpieczną pracę. Każdy dzień może okazać się ostatnim w twoim życiu. Krótko mówiąc, niewykluczone, że po prostu z zimną krwią wykorzystujesz samotną kobietę.

– Erie! – zawołała Wendy, oburzona. Co mu strzeliło do głowy, żeby gadać takie bzdury? Przecież jest jej przyjacielem! – Wynoś się z mojego domu! Natychmiast! Jak mogłeś! – zaatakowała go z furją.

Zrobiła się biała jak ściana. Erie skinął głową.

– Nie ma sprawy. Już idę.

Zniknął w korytarzu. Za chwilę trzasnęły frontowe drzwi.

Wendy spojrzała przerażona na Brada. Wlepił w nią wzrok i zrobił krok w jej stronę.

– Nie! – zaprotestowała i chciała wybiec z kuchni, gdyż czuła, że łyżki cisną jej się do oczu. Miała już tego wszystkiego dosyć.

Brad zagroził jej drogę i porwał w ramiona.

– Nie! – krzyknęła znowu i próbowała wyrwać mu się z objęć.

– Możesz ze mną robić, co tylko chcesz – szepnął i przywarł wargami do jej ust, jednocześnie pieszcząc jej ciało, aż zabrakło jej tchu. Uniósł ją w pewnym momencie w górę, przytulając gwałtownie do siebie. Wendy poczuła, że nie jest w stanie dłużej mu się opierać.

Rozdział 11

Brad pieścił namiętnie Wendy, obsypywał ją pocałunkami, tulił czule, odczuwając przy tym prawdziwą rozkosz. Wendy oddała mu swe usta, równie zgłodniała pocałunków jak on. Mógł się kochać z nią całą noc...

Tak się zapamiętał, że w pierwszej chwili nie dotarły do niego odgłosy z dworu. Gdy jednak dźwięk się powtórzył, uświadomił sobie, że coś jest nie tak. W głuchych ciemnościach odezwał się nagle ptak – cicho, ale bardzo wyraźnie – wyrywając go z miłosego odurzenia. Brad wyczuł wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo. Rozluźnił uścisk i postawił Wendy na podłodze.

– Myślisz, że to Erie? – spytała szeptem.

– Tak, to on. Mówiłaś, że masz pistolet. Masz też dosyć amunicji?

Wendy skinęła głową i bez słowa poszła do sypialni. Brad został w przedpokoju. Nadstawił ucha i próbował rozróżnić odgłosy nocy. Usłyszał kroki.

Wiedział, że Erie jest gdzieś w pobliżu domu, ale musiał tam być jeszcze ktoś, dlatego Erie starał się go ostrzec.

Wendy wróciła z pistoletem kaliber 38. Brad wziął od niej broń i odbezpieczył.

– Nie ruszaj się stąd – szepnął. – Schowaj się w kącie. Nie reaguj na nic, nawet na strzały. Zrozumiałaś?

Wendy skinęła głową. Brad odwrócił się na pięcie i podkradł do drzwi wejściowych. Wyłączył po drodze światło w pokoju i w kuchni. Wyjrzał przez okienko w przedpokoju, ale nie zobaczył niczego podejrzanego. Uchylił drzwi i wymknął się na dwór.

Zaczął się przy rogu domu, odczekał moment i wyskoczył do przodu z bronią gotową do strzału, wycelowaną przed siebie. Nikogo nie było.

Posuwał się bezszelestnie dalej, wzdłuż ściany. Noc była czarna, nieprzenikniona.

Znowu usłyszał odgłos ptaka. Postanowił spytać kiedyś Erica, jakiego ptaka właściwie naśladuje. Czyżby to był puszczyk?

Nie miało to w tej chwili najmniejszego znaczenia. Zorientował się, że Erie jest gdzieś niedaleko, skrada się prawdopodobnie po drugiej stronie. Powinni za kilka chwil spotkać się na tyłach domu i bez problemu schwytać intruza.

Czuł każdym nerwem, że ktoś zaczął się za rogiem. Wystarczyło tylko wychynąć zza węgła, by stanąć oko w oko z nieproszonym gościem.

Brad zatrzymał się – serce waliło mu jak młotem. Trzymał oburącz odbezpieczoną broń. Wahał się chwilę, po czym skoczył zwinnie, gotów w każdej chwili oddać strzał.

Zobaczył, że na tyłach domu obcy mężczyzna usiłuje otworzyć okno do sypialni Wendy – widać było, że nie zdaje sobie sprawy z obecności Brada i Erica.

– Stój, bo strzelam! Ręce do góry! Wysoko ponad głowę! – wykrzyknął Brad.

Mężczyzna przykucnął na ziemi – coś nagle błysnęło w poświacie księżyca. Brad spostrzegł, że napastnik trzyma w rękach broń wycelowaną prosto w niego. Nie wahał się ani chwili i pierwszy oddał strzał. Ostrożnie i z rozmysłem pociągnął za spust. Wycelował tak, że wytrącił intruzowi z ręki broń.

Zza rogu domu wypadł Erie i rzucił się na leżący na ziemi pistolet,

ubiegając mężczyznę o włos. Brad podszedł bliżej, trzymając bandytę na muszce.

– Ekstra maszynka – stwierdził Erie, dokonawszy dokładnych oględzin zarekwirowanej broni. – Gość zamierzał nafaszerować cię nieźle kulami.

– Aha. Ludzie Michaelsona nie cackają się z nikim – skomentował rzeczowo Brad.

– Zaraz się tu wykrwawię na śmierć! McKenna, jesteś przecież gliną. Zabierz mnie jak najszybciej do szpitala, inaczej oskarżę cię za nieudzielenie pomocy rannemu.

Brad kucnął obok napastnika, którego głos wydał mu się znajomy, i przyjrzał mu się uważnie – miał przekrwioną, dziobatą twarz.

– Nie jestem zwykłym gliną, Suarez. I dobrze o tym wiesz. Jestem tajnym agentem Brygady Specjalnej do spraw Narkotyków. Straciliśmy przez takich drani jak ty kilku wspaniałych ludzi. My nie pieścimy się tak jak lokalna policja. Jeśli chodzi o mnie, Suarez, to możesz zdechnąć jak pies.

– Znasz tego faceta? – zdziwił się Erie.

Brad skinął głową, nie spuszczając oka z leżącego na ziemi przestępcy.

– To Tommy Suarez. Prawa ręka Michaelsona. Podejrzewamy, że zapracował sobie na tę pozycję, zabijając mnóstwo ludzi. To on wydawał mi różne polecenia typu:

skąd mam odebrać forszę, gdzie jechać po towar. – Brad zawiesił na moment głos. – Ten bandzior zamordował mojego partnera – dodał i pociągnął, z głośnym trzaskiem, za spust rewolweru.

Przyłożył pistolet do skroni Suareza.

– Hej! – jęknął bandzior. – Nie wolno ci tego zrobić! Jesteś przecież...

– Mów, kto się tu jeszcze kręci – przerwał mu Brad.

– Nikt – zapewnił ponurym głosem Suarez. – Do cholery, moja ręka krwawi na całego. Zrobiłeś z niej marmoladę, ty skurwysynu...

– Zamknij się! – huknął Erie. – Brad, teraz moja kolej. Nie mam nic wspólnego z rządem, a w stosunku do tego typu bydląt jestem pozbawiony skrupułów. Słyszysz, Suarez? Nie jestem gliną ani tajniakiem. Jestem Indianinem. I wiesz co, koleś? Mam powyżej nosa typów, którzy wciskają naszym nastolatkom narkotyki. Wiesz, ile dzieciaków przejechało się w zeszłym roku na tamten świat? Zawdzięczają to twojemu kumpłowi, Michaelsonowi, który upatrzył sobie okoliczne mokradła jako idealne miejsce do spławiania tego świństwa.

Suarez oblizał wargi. Erie trzymał go za poły koszuli. Bandzior wodził nerwowo wzrokiem od jednego do drugiego.

– Powiedz, żeby mnie puścił – zwrócił się płaczliwie do Brada. – Niech ten Indianin Wielkie Pióro trzyma ręce przy sobie!

Erie zaśmiał się sarkastycznie.

– Wielkie Pióro czy też Siedzący Byk, co za różnica? Czujesz pismo nosem, nie? – Przyłożył Suarezowi do gardła nóż, którego ostrze błysnęło groźnie w poświacie księżyca. – Zdaje się, że McKenna zadał ci jakieś pytanie.

– Nie, proszę – jęknął żałośnie Suarez. Bał się nawet przełknąć ślinę. – Powiedz mu, żeby zabrał nóż. Za chwilę poderżnie mi gardło. – Spojrzał błagalnie na Brada.

Brad skinął na Erica. Indianin wsunął nóż za cholewkę buta.

– Niech to szlag! – zaklął. – A już myślałem, że będę mógł sprawdzić, jak długo żyje śmierdzący szczur po oskalpowaniu.

– Jak wpadłeś na to miejsce? I kto poza tobą o nim wie? – rzucił pytanie Brad. Suarez patrzył na niego przerażony, ale milczał. Brad zaklął pod nosem. – Lepiej zacznij gadać, ptaszku, bo jedno moje słowo i Wielkie Pióro porachuje się z tobą.

Suarez nadal nie mówił ani słowa. Erie znowu sięgnął po nóż. To rozwiązało mu język. Przyznał, że zakradł się do domu Wendy w pojedynkę. Zatrzymał się w opuszczonej chacie myśliwskiej, ale kręcili się tam cały dzień łódką jacyś faceci – łowili ryby, popijali sobie piwko. Nie miał odwagi podpłynąć bliżej, zaczął więc rozglądać się po okolicy w poszukiwaniu nowej kryjówki.

– Nie gadaj, że siedzisz na tym odludziu sam, bo ci i tak nie uwierzę – skwitował Brad.

– Powinien być tu ze mną Charlie Jenkins, ale się jeszcze nie zjawił. Przysięgam, że jestem sam.

– W porządku. Siedzicie razem z Jenkinsem zadekowani w szałasie na mokradłach Everglades. A dlaczego się tutaj kręcicie?

– Szukamy ciebie – odparł prosto z mostu Suarez.

– Myślę, że macie jeszcze jakiś inny cel – stwierdził Brad.

– Zgadza się. Michaelson upatrzył sobie Everglades do robienia interesów. Dobrze o tym wiesz, McKenna. Co – najmniej połowa władz stanowych wie o tym – uśmiechnął się szyderczo, ukazując pożółkłe od nikotyny zęby. – Wszyscy o tym wiedzą, ale Michaelson to szczywany lis. Nie da się złapać za rękę. Potrafi się wywinąć nawet z najtrudniejszej sytuacji.

– Kiedy spodziewacie się nowego transportu? – przyciskał go Brad.

– Nie wiem dokładnie...

Szybkim ruchem Erie znów przyłożył Suarezowi nóż do gardła.

– Przysięgam, że nie wiem! – wrzasnął bandzior, przerażony, łypiąc kątem oka na ostrze, groźnie połyskujące w świetle księżyca. – Charlie Jenkins miał przynieść tę wiadomość.

Brad skinął na Erica, przekonany, że Suarez mówi prawdę. Indianin cofnął bez słowa rękę.

– Muszę go zamknąć – oznajmił Brad.

– Nie zamierzasz skrócić faceta o głowę? – zdumiał się Erie, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

Suarez aż zatrzęsł się ze strachu.

– Może innym razem – wyjaśnił Brad, z trudem powstrzymując śmiech.

– Przysięgam, że powiedziałem całą prawdę. Słowo daję, że więcej nie wiem – pospiesznie zapewniał Suarez.

Erie zaśmiał się sarkastycznie.

– Chodź, musimy powiedzieć o wszystkim Wendy. – Nie zdążył dokończyć, bo w ciemnościach rozległ się przeraźliwy huk.

– Ręce do góry! Cała trójka – wrzasnęła Wendy, która miała już tego wszystkiego serdecznie dosyć.

– Cholera jasna! Wendy! Mówiłem ci, żebyś się nie ruszała z domu – wściekł się Brad.

– Sam widzisz, że z nią są tylko kłopoty – przygryzł jej Erie.

– Martwiłam się po prostu o was.

– Dlaczego mnie nie posłuchałaś?

– Miałam siedzieć w kącie, jak jakaś ofiara losu? Mogłam wam być potrzebna.

– Jak widzisz, poradziliśmy sobie sami. Wszystko w porządku –

oznajmił Brad i aż zadrżał na myśl, co by się stało, gdyby w porę nie wrócił.

– Wracaj natychmiast do domu! – nakazał surowym tonem.

– Nie jestem twoją służącą! – zaprotestowała.

– Dajcie spokój – wtrącił się Erie. – Musimy zająć się tym ptaszkiem. Jego ręka nie wygląda najlepiej.

– Postrzeliłeś go? – Wendy napadła na Brada.

– Wybacz, moja droga. Byłem tylko o moment szybszy. Inaczej byłoby po mnie, jeżeli cię to interesuje.

Wendy pochyliła się nad Suarezem, żeby obejrzeć dokładnie ranę. Brad przytrzymał ją za rękę:

– Uprzedzam cię, że to nie wygląda najlepiej.

Spojrzała zniecierpliwiona i odepchnęła jego rękę.

– Mówiłam ci już, że byłam pielęgniarką. Widziałam w życiu niejedną ranę, i to dużo gorszą, wierz mi.

Uklękła obok Suareza i starannie zbadła postrzeloną dłoń. Była przy tym szalenie delikatna. Suarez wlepił w nią wzrok i wychwalał ją pod niebiosa po angielsku i po hiszpańsku. Nazwał ją nawet aniołem miłosierdzia.

– Rana jest bardzo głęboka – skrzywiła się. – Trzeba go odwieźć jak najszybciej do szpitala. Właściwie to już dawno powinno się to zrobić.

– Chyba żartujesz – oburzył się Brad.

– Przecież już minęło mnóstwo czasu od chwili, gdy go postrzeliłeś – powiedziała Wendy z naciskiem.

Brad miał ochotę złapać ją i potrząsnąć tak, aby odzyskała zdrowy rozsądek.

– Nie udawaj Matki Teresy. Ten facet zamierzał sforsować okno do twojej sypialni i cię zgwałcić. A może nawet zamordować.

– Daj spokój, Brad – wtrącił się Erie. – Wendy, to prawda, że ten gość nie jest niewiniątkiem, nie znalazł się w tej okolicy przez przypadek. Skoro uważasz, że trzeba go zawieść do szpitala, to...

– Już ja się nim zajmę – warknął Brad. – Ty lepiej pilnuj Wendy.

– Może to i dobry pomysł, ale obawiam się, że w tych egipskich ciemnościach trudno ci będzie znaleźć drogę.

Brad przyznał mu w duchu rację. Choć zaczynał coraz lepiej orientować się w okolicy, nie umiał jeszcze poruszać się po bagnach całkowicie pewnie, zwłaszcza nocą.

– Może wziąłbym samochód? – zaproponował.

Erie wzruszył ramionami.

– Uważam, że nie powinieneś brać na siebie takiego ryzyka. A może byś tak zadzwonił do szefa? Ja tymczasem odstawię tego zbira na posterunek policji. Stamtąd będzie go łatwiej przerzucić do twoich ludzi.

Brad skinął głową. To był niezły pomysł.

– Przyniosę opatrunek – oznajmiła Wendy i poszła do domu.

– Nie chcę, żeby Wendy została tutaj sama – powiedział Brad do Erica.

– Zgadzasz się, bym odwiózł gościa na policję?

Brad skinął głową.

– Zadzwonię do Purdy'ego i zorientuję się, co on chce zrobić z Suarezem.

– Purdy to zdaje się jakiś czarnuch? – stwierdził z kwaśną miną Suarez.

– Zamknij się. – Brad wymierzył mu kopniaka. – Erie, naprawdę nie chcę, żeby Wendy została tu choć przez sekundę sama.

– W takim razie pojedziemy wszyscy. Ja poprowadzę samochód. Wendy siądzie obok mnie, a ty z tyłu z naszym rannym.

Brad zastanawiał się przez chwilę. Nie podobało mu się, że Wendy będzie tak blisko Suareza, ale przynajmniej nie zostanie sama w domu. Obawiał się bowiem, że w każdej chwili może zjawić się Jenkins, a więc lepiej było nie ryzykować.

– W porządku – zdecydował.

Wendy przyniosła z domu środek dezynfekujący, gazę i bandaż. Z zawodową wprawą zajęła się rannym. Uprzedziła go, że będzie piekło, po czym wylała zawartość butelki na ranę. Suarez zawył z bólu i próbował cofnąć rękę, ale Wendy mu na to nie pozwoliła. Nakryła zranione miejsce gazą i zabandażowała. Na koniec kazała mu łyknąć tabletkę.

– To pyralgina. Uśmierzy trochę ból.

– A może byśmy mu tak załatwili apartament w pięciogwiazdkowym hotelu? – zapytał sarkastycznie Brad.

– Pamiętaj, że to ty go zraniłeś – zganiała go Wendy.

– A on zamierzał ukatrupić mnie na miejscu.

– No to co, zabierzecie go do miasta? – spytała Wendy, odgarniając z czoła niesforny kosmyk.

– Zabierzemy go do miasta we trójkę – odparł Brad.

– Ja się nigdzie nie wybieram.

– Nie masz w ogóle nic do powiedzenia. Sprawa jest przesądzona – powiedział Brad z zaciętym wyrazem twarzy. Gotów był zarzucić ją sobie na ramię i zanieść do samochodu jak worek kartofli. Dlaczego kobiety są takie uparte?!

– No już dobrze. – Do akcji wkroczył Erie. – Wendy, daj mu spokój.

On się po prostu o ciebie martwi. Brad, cieszę się, że jesteś tajnym agentem, a nie pracownikiem służby dyplomatycznej. Przynajmniej jest z ciebie jakiś pożytek. A teraz ruszajmy!

– Wielkie Pióro mądrze gada – wtrącił się Suarez.

– Wielkie Pióro?! – oburzyła się Wendy. Była w stanie walczyć jak lwica w obronie kogoś, kogo kochała, a szwagra kochała ponad życie. – Ty obślizgły draniu! – syknęła do Suareza.

Tak bardzo pragnę, żebyś pokochała mnie równie gorąco jak jego, pomyślał Brad, ale jako swojego kochanka.

– Wendy – jęknął Erie – daj spokój, nie musisz się za mną ujmować. Zbierajmy się, najwyższy czas.

– Masz rację. Suarez, wstawaj – warknął Brad, wymachując mu przed nosem bronią.

Erie podał rannemu rękę i podciągnął go w górę. Brad posłał Wendy gorące spojrzenie. Wytrzymała dzielnie jego wzrok.

– Zaraz wracam – rzuciła niespodziewanie i puściła się pędem do domu. Po chwili była z powrotem. Nie rozstawała się z dubeltówką. Brad pomyślał, że pewnie poszła po amunicję, którą schowała do przewieszanej przez ramię skórzanej torby.

Suarez przeraził się, że chcą go utopić, gdy kazali mu przejść kanał na przełaj. Uspokoił się dopiero, gdy Erie pokazał mu drogę z kamieni. Stwierdził, że Erie to Indianin z krwi i kości.

– Coś ty mu takiego zaaplikowała? – zwrócił się Brad do Wendy.

– Zwyczajną pyralginę – odparła, przeskakując zwinnie z kamienia na kamień. – Widzisz, mówiłam ci, że można tędy przejść na drugą stronę suchą stopą.

Suarez poszedł w jej ślady. Spojrzał tęsknie na przycumowany do brzegu kajak, którym przyplłynął.

– Nie powinienem się tu w ogóle zjawiać. Powinienem zastrzelić facetów, którzy kręcili się łódką niedaleko mojej kryjówki i po skończonej robocie wypić sobie spokojnie ich piwko – zauważył.

– Teraz to już musztarda po obiedzie, Suarez – prychnął Brad i dźgnął go w plecy lufą pistoletu. – Ruszaj się zwawiej.

Suarez przeszedł po kamieniach, zachowując niesłychaną ostrożność.

W samochodzie Brad pomógł Wendy usadowić się z przodu, po czym wepchnął Suareza na tylne siedzenie. Wendy rzuciła Ericowi kluczyki.

Ruszyli w drogę w milczeniu. Erie włączył radio. Rozległa się latynoamerykańska muzyka, którą Suarez dobrze znał, bo nawet sobie podśpiewywał pod nosem.

Brada rozboleła głowa. Skupił wzrok, starając się zapamiętać drogę, ale światła samochodu były tak słabe, że niewiele widział.

Podróż dłużyła się w nieskończoność. Dopiero teraz Brad zrozumiał, dlaczego Wendy wolała łódkę, którą do warsztatu dopływała w niecałe trzy kwadransy. Osiągnięcie tego samego celu samochodem zajęło im ponad godzinę. Zaparkowali samochód tuż przed drzwiami do warsztatu. Erie wyłączył silnik.

– Trzeba obudzić Maca – stwierdziła Wendy i wyskoczyła zwinnie z samochodu.

– Muszę się odlać – oznajmił Suarez.

Erie i Brad wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Erie wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi. Brad trzymał Suareza cały czas na muszce. Zbyt dobrze znał tego typu ludzi, by nie ufać im nawet wtedy, gdy

przycisnęła ich naturalna potrzeba.

Podprowadzili Suareza do pobliskich krzaków. Brad obejrzał się i zobaczył, że drzwi do kantorka się otworzyły. Widać Wendy udało się obudzić Maca, który spał w pokoju na tyłach budynku.

Brad podał Ericowi pistolet.

– Pilnuj go dobrze.

– Nie martw się – zapewnił go Indianin. – Jak tylko ruszy palcem, zrobię z niego sitko.

Brad ruszył w kierunku stacji benzynowej. Chciało mu się śmiać. Pomyślał sobie, że Suarez wziął pewnie Erica za najkrwawszego Indianina, jakiego spotkał w życiu.

– Wejdz, proszę do środka, McKenna. Dzwonń sobie, dokąd chcesz – powiedział Mac serdecznie, uchylając drzwi. – Wendy, napijesz się herbaty?

– Chętnie – odparła, przyglądając się, jak Brad wybiera numer.

Brad dodzwonił się do Prudy'ego. Ten uznał, że to doskonały pomysł, by Suarezem zajęła się lokalna policja. Postanowił osobiście zawiadomić posterunek. Zdecydował się wysłać natychmiast swoich ludzi, żeby przejęli bandziora i eskortowali go do szpitala. Zamierzał przesłuchać Suareza zaraz po udzieleniu mu pomocy medycznej.

Brad zerknął na Wendy.

– Muszę jeszcze tu zostać.

Purdy natychmiast wyczuł, w czym rzecz.

– Rozumiem, nie musisz mi się tłumaczyć. Martwisz się o swoją przyjaciółkę, prawda?

– Zgadza się.

– W porządku. Odstaw Suareza na posterunek policji, a potem nią się zajmij. Zadzwoń do mnie jutro w południe. Może warto przysłać ci posiłki.

– Chyba nie byłoby to takie głupie – przyznał Brad.

– Miej uszy i oczy otwarte, dobrze? Może uda ci się złapać w pułapkę jeszcze kogoś. Rozumie się samo przez się, że powinieneś zachować daleko idącą ostrożność. Musimy starać się za wszelką cenę, żeby tej kobiecie nie spadł włos z głowy.

Brad zerknął znowu na Wendy. Rozmawiała z Makiem, ale był pewien, że słyszy każde słowo. Cieszył się, że Purdy od razu zrozumiał, w jakim położeniu jest Brad, tak że nie musiał zbytnio się rozwodzić na ten temat.

Odwiesił słuchawkę.

– Udało ci się załatwić sprawę? – zainteresował się Mac.

– Tak.

Mac wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Napijesz się herbaty?

– Nie, dziękuję. Na nas już pora. – Uścisnął staremu rękę na pożegnanie. Zastanawiał się, czy będzie kiedykolwiek w stanie odplacić się Macowi za okazaną mu serdeczność.

Wyszedł z kantorka. Wendy ruszyła w ślad za nim.

– Poczekaj u Maca – rozkazał.

– Dlaczego?

– Proszę! – rzekł z naciskiem.

Poskromiła ogarniającą ją złość i bez słowa zawróciła do środka.

Co za dzień! Zresztą, ostatnio wszystko w jej życiu wywróciło się do góry nogami. Ni stąd, ni zowąd zjawił się Brad, a ona zakochała się w nim

bez pamięci. Rozkleiła się, gdy przyłapała się na tym, że zrobiła zakupy na dwie osoby, a potem w drogeru, gdzie kupiła mnóstwo rzeczy na zapas.

Nie była w stanie wrócić do pustego domu. Pojechała odwiedzić rodzinę, żeby zapomnieć o Bradzie. Chciała porozmawiać z dziadkiem, który zawsze służył mądrą radą. Przytulić się do babci. Rozpłakała się w ramionach dziadka jak mała dziewczynka. Po raz kolejny mogła odczuć, jak bardzo kochają rodzina zmarłego męża. Hawkowie przywiązywali ogromną wagę do więzów krwi, ale ponad wszystko cenili sobie prawdziwą miłość, Willie traktował ją jak swoją prawdziwą, najprawdziwszą wnuczkę. Wiedział, że bardzo kochała Leifa.

I zorientował się, że zakochała się w Bradzie.

– To przyzwoity człowiek – powiedział.

– Ale poszedł sobie – zaszlochała.

– Idź do domu i czekaj. On wróci.

– A jeżeli nie, to co wtedy?

– Wtedy wylejesz morze łez, a potem zrozumiesz, że życie toczy się dalej. Pozostanie ci po nim piękne wspomnienie.

Wendy oślepiły nagle światła nadjeżdżającego radiowozu. Brad i Erie opowiedzieli pokrótce, co się stało, i przekazali Suareza w ręce policji.

Gdy odjechali, Brad poszedł do kantorka po Wendy.

– Chodź, już po wszystkim. Jedziemy do domu – wyciągnął do niej rękę.

Jakże marzyła, żeby być znowu z nim sam na sam.

Erie siadł za kierownicą, Wendy obok, a Brad sam, na tylnym siedzeniu. Jechali w milczeniu, zasłuchani w sącącą się z radia muzykę.

Po godzinie dotarli do domu. Zaparkowali samochód i, wciąż milcząc, przeszli po ukrytych w wodzie głazach.

– Na mokradłach nie sposób się obejść bez długich butów. Powinnaś zaopatrzyć Brada w coś porządnego. Przemoczył sobie kompletnie nogi – zauważył Erie. – Pamiętam, że mój brat miał solidne, skórzane buty. Jemu i tak się już na nic nie przydadzą.

Wendy wyprzedziła obu mężczyzn i otworzyła drzwi z klucza.

– Buty Leifa są w szafie, w mojej sypialni. Możesz je sobie wziąć, jak chcesz – rzuciła od niechcena.

Było już bardzo późno. Zbliżała się trzecia w nocy. Brad nie odczuwał zmęczenia, gdyż był wciąż spięty. Zerknął na Erica. Zastanawiał się, kiedy powinni powiedzieć Wendy o tym, co postanowili wspólnie, czekając na radiowóz.

Ona tymczasem weszła do domu i położyła torebkę na stole. Spojrzała na dwóch mężczyzn, teraz najważniejszych w jej życiu – jeden był jej szwagrem, a zarazem najlepszym przyjacielem, a drugi kochankiem, którego tak bardzo bała się utracić.

– Zrobić wam coś do jedzenia?

– O, tak! – odparł entuzjastycznie Brad, uprzytomnił sobie bowiem, że nie jadł dzisiaj porządnego obiadu.

– O, tak, chętnie! – powtórzył za nim, jak echo, Erie.

Wendy otworzyła lodówkę.

– Na co macie ochotę?

Brad przypomniał sobie o stekach. Erie uznał to za świetny pomysł. Zwłaszcza gdyby do tego dodać brokuły z sosem serowym. Brad miał ochotę na sałatę i frytki.

O trzeciej nad ranem zabrali się w trójkę do gotowania.

Prowadzili przy tym miłą, niezobowiązującą rozmowę.

Zjedli, pozmywali, a Erie wciąż nie zbierał się do wyjścia. Wendy przyjrzała mu się podejrzliwie.

Brad zdobył się w końcu na odwagę. Odchrząknął i oznajmił, jak gdyby nigdy nic:

– Erie będzie trzymał straż jako pierwszy.

– Trzymał straż?! – zdumiała się Wendy.

– Zgadza się – potwierdził Erie i ścisnął ją za rękę.

– Zamierzam czuwać, a Brad się trochę zdrzemnie. Potem się zmienimy. Tak będzie bezpieczniej.

– Rozumiem. – Wendy odwiesiła ścierkę do naczyń.

– No to dobranoc.

Poszła czym prędzej do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Nie mogła zasnąć. Słyszała, że ktoś bierze prysznic. To pewnie Brad, pomyślała. Woda przestała się lać i zapadła cisza.

Po chwili rozległo się ciche pukanie.

Do pokoju wsunął głowę Brad.

– Dobranoc – powiedział i zamknął drzwi za sobą.

– Dobranoc – odparła Wendy.

Opadła zrezygnowana na poduszki. Po chwili zerwała się z łóżka, podbiegła do drzwi i otworzyła je z impetem. Brad stał na progu. Z bijącym sercem rzuciła mu się na szyję.

Brad przycisnął ją mocno do siebie i zaczął namiętnie całować. Nie wypuszczając jej ani na moment z uścisku, podszedł do łóżka. Opadł plecami na chłodną pościel, pociągając ją za sobą.

Wendy oderwała wargi od jego ust.

– Drzwi są otwarte. Nie jesteśmy przecież sami – wyszeptała gorączkowo.

Brad wstał i zamknął drzwi. Gdy wrócił do Wendy, zastał ją w łóżku już nagą.

Rozdział 12

Obudziła się następnego ranka bardzo późno. Brad leżał obok niej, pogrążony we śnie. Najprawdopodobniej w nocy zmienił Erica, czuwał przez kilka godzin, a potem dopiero poszedł spać.

Wzięła prysznic i ubrała się. Zajrzała do dużego pokoju, ale był pusty. Wyrzrzała przez okno i zobaczyła, że Erie siedzi na dworze i popija z kubka kawę. Prawdopodobnie nakarmił Dzidzię; pantera wylegiwała się bowiem leniwie u jego stóp, niczym słodka perska kotka.

Wendy przyglądała się Ericowi przez chwilę. Przypomniała sobie, jak powiedział wczoraj, zanim zaczęła się cała ta późniejsza awantura, że chce złapać Brada na dziecko. Jak mógł zrobić jej taki parszywy zarzut!

Poszła do kuchni, wzięła sobie szklankę wody z lodem i wyszła na dwór.

Erie od razu wyczuł jej obecność. Obejrzał się i posłał jej na dzień dobry promienny uśmiech. Wendy odpowiedziała uśmiechem. Podeszła bliżej i pochyliła się, żeby pogłaskać Dzidzię.

– Dobrze spałaś? – spytał z miną niewiniątka.

– Doskonale – odparła słodko i wylała mu na głowę szklankę lodowatej wody.

– Zerwał się na równe nogi, klnąc jak szewc.

– Czysty zwariowała?!

– Doskonale wiesz, dlaczego to zrobiłam. Jeśli nie, to ci przypomnę – co za historię wymyśliłeś wczoraj na mój temat?

Dzidzi nie spodobało się ich zachowanie. Wstała, przeciągnęła się i odeszła w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca.

Erie wyglądał jak zmokła kura. Spojrzał na Wendy i wybuchnął nagle śmiechem.

– Aha, już wiem. Przyznaj, specjalnie ci to nie zaszkodziło.

– Jak mogłeś mówić takie idiotyzmy? Powinieneś trzymać moją stronę!

– Oj, Wendy, Wendy. – Rozwarł szeroko ramiona, jakby chciał ją serdecznie uścisnąć, ale zorientowała się w porę, że szuka okazji do rewanżu – zamierzał ją oblać kawą.

Zrobiła zręczny unik i usiadła na trawniku w bezpiecznej odległości.

– Wiesz dobrze, że zawsze staję po twojej stronie – oświadczył, przysiadając się do niej. Słońce prażyło tak mocno, że zdążył już wyschnąć.

– To dlaczego wymyśliłeś całą tę historię? Przecież oboje dobrze wiemy, że Brad i tak stąd odejdzie.

– Jesteś tego pewna? – Erie zmarszczył wymownie brwi. Wendy zarumieniła się lekko. – Ach tak, rozumiem. Nie chcesz mieć do czynienia z tajnym agentem, prawda? Cokolwiek powiedziałem, nie zamierzałem nikogo urazić. I jeśli się nie mylę, wszystko dobrze się skończyło. Świetnie wiesz, że nie lubię się wtrącać w twoje sprawy. Nie zamierzam też pouczać Brada. Musicie oboje podjąć męską decyzję.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego się tak zachowałeś.

– Chciałem, żebyście byli kwita.

– Doprowadzasz mnie do szału! – zawołała.

Erie spojrział nad jej ramieniem i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Oto nadchodzi tajny agent. Wybacz mi, ale idę naparzyć świeżej kawy.

Wendy odwróciła się z ociąganiem. W drzwiach pojawił się Brad – był

boso i miał na sobie tylko dżinsy. Zdażył się ogolić, ale zapomniał uczesać. Patrzył zamglonym wzrokiem i robił wrażenie mało przytomnego. W ręku trzymał filiżankę z kawą. Erie zatrzymał się przy nim, zamienił kilka słów i zniknął w drzwiach. Brad podszedł do Wendy.

– Dzień dobry – powitał ją z uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry – odpowiedziała mu uprzejmie.

Zapadło niezręczne milczenie. Brad napił się kawy i zapatrzył przed siebie. Zza węgła domu wyszła Dzidzia i ułożyła się na trawie koło nich.

Brad objął Wendy ramieniem. Położyła mu rękę na kolanie.

– Wiesz, to wszystko, co powiedział wczoraj wieczorem Erie, to były wysrane z palca bzdury.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się łagodnie.

– A więc to nieprawda, że chciałaś mieć dziecko?

Spuściła oczy i wbiła wzrok w ziemię.

– Owszem, chciałam – przyznała speszona – ale cała reszta to nieprawda. Uważam, że nikogo nie należy do niczego zmuszać.

Brad odstawił filiżankę z kawą, przeczesał palcami włosy Wendy i pocałował ją czule.

– Naprawdę? – spytał ciepło.

Skinęła głową.

Poczuł, że Wendy usiłuje uwolnić się z jego objęć, więc przytulił ją mocniej i położył jej rękę na piersi.

– Wierzę ci.

Podrapała Dzidzię za uchem i zapatrzyła się gdzieś ponad wodą.

– Wiesz dobrze, że mi na tobie zależy – powiedziała łagodnie. – I dlatego tak bardzo się o ciebie boję. Masz taką niebezpieczną pracę.

Uprzedzałeś mnie, żebym się zbytnio nie angażowała. Oboje zdajemy sobie sprawę, że... – zawiesiła głos i szukała właściwych słów – że nasz związek nie ma żadnych perspektyw, że kiedyś to się skończy. Dopóki jesteśmy razem, staram się cieszyć każdą chwilą. Wierz mi, nie będę niczego żałować...

Wendy zdobyła się w końcu na szczerość, ale nie była w stanie powiedzieć, że się w nim zakochała. Wiedziała, że i ona nie jest Bradowi obojętna. Jednak nie mogła oczekiwać od niego miłości. Nie wolno jej było stawać mu na drodze.

Musiała pozwolić mu odejść – właśnie dlatego, że go kochała.

Brad oplótł palcami jej dłoń.

– Dokończ, proszę.

Pokręciła głową, spoglądając znowu na Dzidzię. Wybawił ją nagle z opresji Erie.

– Hej, Brad. Przecież miałeś w południe dzwonić do szefa. Jak się pospieszymy, to zdążysz na czas.

– Tak. Powinniśmy jechać – odparł Brad, nie spuszczając oka z Wendy.

Wstał, żeby pójść do domu po koszulę i buty, ale Wendy chwyciła go za rękę.

– Podejrzewam, że to ty i Erie kręciliście się łódką w okolicy chaty myśliwskiej. To o was wspominał w nocy Suarez.

– Zgadza się – odpowiedział Brad z ociąganiem.

– Czy zamierzacie dzisiaj znowu robić to samo?

– Wendy, to mój zawodowy obowiązek. Spodziewam się, że w chacie pojawi się Charlie Jenkins. To jedyny człowiek, który może zaprowadzić mnie do Michaelsona. – Brad zwichrzył jej pieszczotliwie włosy i wziął ją

za rękę. – Idziemy.

– Dokąd? – zdziwiła się. Westchnął, lekko zniecierpliwiony.

– Przecież nie mogę zostawić cię tu samej.

– Wydaje mi się, że przesadzasz. Jest biały dzień, potrafię obchodzić się z bronią, a poza tym mam towarzystwo Dzidzi. Ludzie wolą ją raczej obchodzić z daleka.

– Myślę, że dla uzbrojonych po uszy ludzi Michaelsona pozbycie się Dzidzi to drobnostka. Dlatego chcę, żebyś jechała z nami.

Wendy już chciała przytoczyć kolejny argument, ale Brad spojrział na nią błagalnym wzrokiem.

– Proszę cię! – powiedział rozbijającym tonem.

– No dobrze – poddała się w końcu. Nie miała ochoty spierać się z nim dłużej. Wstała z ziemi. Zapragnęła przytulić się do rozgrzanego słońcem nagiego torsu, czule całować opaloną skórę, zapominając o czekającej ich przyszłości.

Ale się powstrzymała.

Wiedziała, że i tak go straci. Czują, że los sprzysiągł się przeciwko nim. Spotkali się, oszaleli na swoim punkcie i rozstaną się, zanim zdołają objąć sercem i rozumem to, co między nimi zaszło.

Położyła mu dłonie na piersi, wspięła się na palce i pocałowała go delikatnie w usta.

– Czemu to zawdzięczam?

– Po prostu miałam ochotę cię pocałować – stwierdziła z rozbijającą szczerością.

Brad przytulił ją namiętnie do siebie.

– A ja ciebie przytulić.

Poszli do domu, czule objęci. Brad zniknął w łazience, żeby się ubrać. Wendy ostrzegła go, by nie zapomniał włożyć długich butów.

– A gdzie są?

– W szafie, w mojej sypialni.

Nie mógł ich znaleźć. W pokoju zjawiała się Wendy i zaczęła przetrząsać półki. Brad z kolei przejrzał ubrania Leifa, które wisiały w szafie.

– Powinnaś pozbyć się tych rzeczy.

Wendy z triumfalną miną wyciągnęła pudełko z butami.

– Ciesz się, że nie zrobiłam tego jeszcze do tej pory – odcięła się. – Nie sądzę, żebyś zmieścił się w moje spodnie.

Brad uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku, a po chwili chwycił za pośladki, przyciągnął do siebie i pocałował. Aż jęknęła z rozkoszy.

– To wcale nie jest śmieszne. Zachowuj się przyzwoicie, Wendy – skarcił ją dla żartu.

– Przecież ja nic złego nie robię!

Usiadł na brzegu łóżka i wciągnął buty. Były na niego troszkę przyciasne, ale nie przejął się tym specjalnie – najważniejsze, że mógł teraz bezpiecznie chodzić po bagnistym terenie.

– Może wyszukałabyś mi jakąś koszulę? – poprosił.

Wendy podała mu bez słowa czerwoną koszulę w kratkę.

– Dzięki. Bardzo ładna. – Zapiął guziki i wsunął poły w spodnie.

Wendy spuściła oczy, starając się zignorować strach, który chwycił ją z nienacką za gardło. Miała wrażenie, że na szyi zaciska jej się pętla. Czuła każdym nerwem, że przyjdzie taki moment, kiedy straci Brada na zawsze. Pozostanie po nim jedynie pustka. Albo, jak powiedział dziadek,

wspomnienie piękne jak sen.

Łudziła się nadzieją, że uda jej się zachować spokój ducha, gdy Brada już tu nie będzie.

Wspięła się na palce i pocałowała go znowu, głaszcząc czule i chłonąc jego zapach.

Nagle oprzytomniała. Odsunęła się i podeszła do drzwi.

– Przecież musisz zadzwonić do szefa.

– Tak, wiem.

Godzinę później zajęchali przed stacją benzynową. Brad poszedł do kantorka, żeby zadzwonić do Purdy'ego. Erie zatrzymał się na dworze, przy dystrybutorach paliwa, i uciął sobie pogawędkę z Makiem. Wendy została przy łodzi, ponieważ zupełnie nie była w nastroju do rozmowy.

Powietrze było gorące i ciężkie. Zasłuchana w monotonne bzykanie moskitów, podniosła bezwiednie włosy w górę, odsłaniając spoconą szyję. Zobaczyła w oknie kantorka Brada – miał tak poważną minę, że wydał jej się obcy. Niewiele miał wspólnego z człowiekiem, w którym się zakochała.

Odwróciła głowę, zacisnęła kurczowo dłonie i ruszyła wolnym krokiem wzdłuż kanału. Była tak podenerwowana, że nie spostrzegła, że zapuściła się bardzo daleko. Nie zauważyła też samochodu jadącego powoli drogą ani kajaka, który płynął bezszelestnie kanałem, zbliżając się do niej coraz bardziej. Zatopiona w myślach, nie wyczuła niebezpieczeństwa.

Z tyłu, za jej plecami, pojawił się nagle jakiś cień, przesłaniając słońce. Wendy odwróciła się odruchowo, marszcząc brwi ze zdziwienia.

Zobaczyła dwóch mężczyzn. Jeden z nich był wysoki, szczupły, miał bladoniebieskie oczy i siwe włosy. Drugi, znacznie młodszy, mocno

zbudowany, wręcz tęgi, miał piwne oczy. Obaj patrzyli na nią zimnym, nienawistnym wzrokiem.

Wendy zorientowała się, że jest w poważnych tarapatach. Każdy mięsień, każdy nerw zadrżał od szalonego napięcia. Chciała krzyknąć, ale osiłek o piwnych oczach złapał ją za gardło i wetknął w usta kawałek szmaty, nasączonej jakimś obrzydliwym, słodkawym płynem. Wendy myślała, że się udusi. Zaczęła wierzgać rozpaczliwie, ale poczuła, że kręci jej się w głowie – cały świat zawirował jej przed oczami.

Jak przez mgłę, uświadomiła sobie, jaka była nierozsądna, oddalając się samotnie od łodzi. Zapuściła się aż za zakręt. Erie był niedaleko stąd, gdzieś za szuwarami – niczego nieświadomy rozmawiał z Makiem – ale nie mógł jej zobaczyć, ani usłyszeć.

Wendy powoli traciła przytomność. Próbowwała wyrwać się z żelaznego uścisku, ale napastnik wpił się palcami w jej ciało tak mocno, że nie miała najmniejszych szans. Udało jej się uwolnić jedynie prawą rękę – podrapała mężczyznę, aż spod paznokci połała się krew.

Bandyta zaklął siarczyście, unieruchomił skutecznie jej rękę, syknął w ucho pogroźkę i wcisnął mokry gałgan jeszcze mocniej w usta. Wendy zrobiło się nagle ciemno przed oczami. Nie poczuła nawet, że mężczyzna uderzył ją w twarz, gdyż straciła przytomność i osunęła się na ziemię.

Mężczyzna wziął ją na ręce i ruszył do ukrytej w szuwarach łodzi.

Brad odłożył słuchawkę. Zadumał się nad tym, że nastąpił koniec idylli. Otrzymał wskazówki, by kręcił się cały dzień łódką po mokradłach w poszukiwaniu Jenkinsa albo Michaelsona. To było jego ostatnie samodzielne zadanie. Wysłano do niego posiłki, które powinny dotrzeć na

miejsce najpóźniej w nocy. Kilku agentom kazano nie spuszczać z oka myśliwskiej chaty, a reszta miała patrolować okolicę, gdyż spodziewano się w każdej chwili przerzutu narkotyków. Nie złapano wciąż Michaelsona, ale ludzie Purdy'ego deptali mu po piętach. Musieli zachować wyjątkową ostrożność, żeby przypadkiem nie spłoszyć ptaszka. Purdy wziął sobie za punkt honoru, że wsadzi Michaelsona za kratki. Liczył jednak na to, że uda mu się złapać przestępcę na gorącym uczynku, w trakcie przejmowania towaru z Ameryki Południowej. Machina została wprawiona w ruch.

Brad uprzytomnił sobie, że nie będzie miał już okazji być z Wendy sam na sam. Dzisiejszy dzień spędzi z Erikiem, który zgodził się mu pomóc. Zdecydowali wspólnie, że nie zabiorą ze sobą Wendy. Wczoraj Suarez wywęszył ich w pobliżu chaty, ale nie odważył się podpłynąć bliżej, dlatego ich później nie rozpoznał. Brad uznał to za przestrożę. Stwierdził, że dla Wendy będzie bezpieczniej, jeżeli zostanie w wiosce, z Williem i Mary.

Zobaczył przez okno Erica, który uśmiechał się znacząco. Uprzytomnił sobie, że stoi tak na środku kantorka już dobre kilkanaście minut. Wyszedł na zewnątrz. Erie przeprosił Maca, podszedł do niego i spojrzał wyczekująco.

– Dzisiaj w nocy nadejdą posiłki. Na razie będziemy i tak siedzieć cicho, ponieważ chcemy przyłapać Michaelsona na przejmowaniu towaru. Powinienem się tymczasem rozejrzeć, czy nie pojawił się przypadkiem gdzieś Charlie Jenkins. Potem muszę się spotkać z naszymi ludźmi. Kilku z nich będzie obserwować chatę myśliwską, paru pójdzie do domu Wendy. Purdy zgodził się ze mną, że należy zapewnić jej maksymalną ochronę.

Brad przemilczał fakt, że za bardzo był zaangażowany uczuciowo, dlatego nie czuł się na siłach stawić czoło niebezpieczeństwu w pojedynkę. Choć tworzył z Edkiem zgraną parę, lepiej było, żeby wsparł ich ktoś neutralny, z zewnątrz.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy w drodze powrotnej zajrzeli do chaty myśliwskiej?

– Oczywiście, że nie – odparł Erie. – A co zrobimy z Wendy? Z pewnością nie chcesz, by została sama w domu, a oboje zgodziliśmy się, że nie powinna jechać z nami.

– Myślałem, żeby ją zawieźć do Williego i Mary. – Brad skrzywił się. – Pewnie nie będzie tym zachwycona, ale uważam, że tak będzie lepiej.

Erie skinął głową i rzucił okiem w stronę kanału. Zmarszczył brwi.

– Nigdzie jej nie widzę.

Brad zeszywniał. Spojrzał na przycumowaną łódź. Przecież przed chwilą była tam Wendy. Gdy rozmawiał z Purdym, zerkał na nią co jakiś czas. Stała na brzegu, z rękoma w kieszeniach spodni, z twarzą zwróconą do słońca. Grzebała butem w ziemi, zniecierpliwiona.

Rzucili się z Erikiem, jak na komendę, nad brzeg kanału. Przedzierali się przez szuwary, torując sobie drogę do wody. Brada strach chwycił za gardło. Modlił się, żeby wszystko było w porządku, żeby nie znalazł jej twarzą w błocie, z głową przeszytą śmiertcionośną kulą. Modlił się, żeby nie okazało się, że wpadła w ręce ludzi Michaelsona. Wierzył jednak, że Wendy jest zbyt sprytna i rozsądna na to, by dać się zaskoczyć. Zresztą, z pewnością uderzyłaby na alarm. Zaczęłaby wzywać pomocy.

Nie znaleźli jej nigdzie w wodzie. Brad z trudem łapał oddech. Erie przyglądał mu się zdziwiony – ale i jego wzrok zdradzał wielki niepokój.

– Sprawdź drogę.

Brad wysłuchał polecenia. Odkrył na piasku odciski butów i ślady szarpaniny.

– Michaelson – jęknął.

– Nie sądzę, żeby ją zamordował – powiedział głucho Erie.

Brad skinął głową.

– Nie, zdaje się, że coś knuje, bo inaczej nie patyczkowałby się z nią, tylko wsadził jej z zimną krwią kulę w łeb. – Zamyślił się przez chwilę, po czym zaczął się przedzierać przez szuwary do łodzi. Przeszukał ją pospiesznie, w nadziei, że Michaelson zostawił wiadomość. Znalazł w końcu na dnie łódki, koło motorka, kartkę przyciśniętą kamieniem. Przeczytał ją błyskawicznie.

– Zabrał Wendy ze sobą do chaty myśliwskiej. Mamy tam się obaj stawić. Michaelson pisze: „Weź ze sobą Indianina. I nikogo więcej, bo inaczej poderżnę twojej laluni gardło”.

– Dlaczego akurat mnie? – zdziwił się Erie.

– Dowiedziałem się przed chwilą, że samolot z narkotykami rozbił się gdzieś na mokradłach. Purdy sądzi, iż ugrzązł na dobre w bagnie. Charlie Jenkins zna za słabo tejsze okolice, żeby sobie poradzić. Michaelson musi za wszelką cenę odnaleźć towar, dlatego jesteś mu potrzebny.

– A czego chce od ciebie?

– Chce mnie po prostu zabić. Z zemsty. Erie zmarszczył brwi.

– A Wendy?

– Dopóki Michaelson potrzebuje ciebie, Wendy nie spadnie włos z głowy. – Bradowi zabrakło tchu. – Cholera! Czort wie, czego ten facet jeszcze chce – zaklął pod nosem.

Erie spuścił głowę i zacisnął pięści.

– Zadzwoń jeszcze raz do Purdy’ego. Powinien wiedzieć, że Michaelson uprowadził Wendy. Popłyniemy do chaty myśliwskiej.

– Zadzwoń do szefa, a ja tymczasem postaram się skupić nad tym, jak wygląda dokładnie tamta okolica.

Brad ruszył biegiem do kantorka i połączył się z Purdym. Rozmawiali krótko – szef polecił mu natychmiast wkroczyć do akcji.

Brad wyjaśnił Macowi, co się stało, i wrócił do Erica, który czekał na niego w łodzi. Plan, ustalony naprędce z szefem, był ryzykowny, ale nie mieli innego wyjścia. Nie mogli siedzieć i czekać z założonymi rękami.

Brad wskoczył do łodzi. Erie zapalił silnik.

– Możemy zejść ich z tyłu – oznajmił. – Wyłączymy zawczasu motorek i podpłyniemy na wiosłach. Będziemy musieli przedzierać się przez grząskie błoto, ale jesteśmy w stanie dostać się w pobliże chaty.

– Musimy spróbować – stwierdził stanowczo Brad. Erie skinął głową.

– Wyruszyli w milczeniu na wyprawę w głąb przepastnych mokradeł.

Wendy ocknęła się z potwornym niesmakiem w ustach. Mdlilo ją od zapachu środka, którym ją uspieno. Głowa wprost pękała jej z bólu. Miała też obolałe ręce. Przez dłuższą chwilę nie mogła się połapać, co się z nią dzieje. Otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła. Poczwała, że robi jej się niedobrze. Przełknęła z trudem ślinę i po chwili znowu uniosła w górę powieki. Już było lepiej.

Rozejrzała się wokół. Jej wzrok padł na dziurawy, wygniły dach. Leżała na ziemi, na boku, w okropnie niewygodnej pozycji, od której zdrętwiały jej ramiona. Miała spętane ręce sznurkiem, który wpijał jej się

boleśnie w nadgarstki.

– Pewnie się facet gdzieś zabawił – rozległ się raptem męski głos, na dźwięk którego Wendy natychmiast przymknęła oczy. Usłyszała ciężkie kroki – ktoś podszedł do niej i zatrzymał się tuż przy jej głowie. Spojrzała przez szparki powiek, udając nadal nieprzytomną.

Obok niej stał osiłek, który potraktował ją tak brutalnie – to on złapał ją i przytknął do twarzy szmatę z chloroformem.

– Spoko, Jenkins. Na pewno gość się tu zjawi – zapewnił jakiś drugi mężczyzna opanowanym, ale bardzo groźnym głosem. Wendy odchyliła nieznacznie głowę do tyłu, aby zobaczyć, jak on wygląda.

Był to ten siwy o lodowatym spojrzeniu, który zaszedł jej drogę nad kanałem. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że to Michaelson. Siedział rozparty za stołem. Miał na sobie bardzo drogie, skórzane buty i lniany, modny garnitur oraz elegancki krawat. I pomyśleć, że znajdował się na kompletnym odludziu, gdzieś w środku mokradeł.

– Tak, facet się pewnie zjawi, ale nie wiadomo, czy z Indianinem – odezwał się trzeci głos, z wyraźnym obcym akcentem.

Wendy nie miała odwagi otworzyć szerzej oczu. Przez szparki zmierzyła wnętrze nędznej budy. Bała się też poruszyć, zresztą każdy ruch sprawiał jej ból. Padła ofiarą bandziorów, tak jak Leif. Jej mąż walczył do upadłego i ona również nie zamierzała się poddawać. Ci bandyci szykowali zasadzkę na Brada. Miała nadzieję, że zorientuje się w porę, co zamierzają. Chcieli też czegoś od Erica.

– Leżymy bez Indianina – zauważył Jenkins.

Michaelson zaśmiał się szyderczo.

– Tak, Indianin jest nam cholernie potrzebny, bo okazało się, że ty

jesteś do niczego!

Jenkins wściekły uderzył pięścią w stół.

– Nie udawaj frajera. Wiesz dobrze, że nikt tak nie potrafi niuchać jak ja. Gdyby nie ja, nie miałbyś tej baby jako zakładnika. Wytropiłem ślady Suareza i po nich trafiłem do niej do domu. Odkryłem, że zadekował się tam McKenna. O tym Indianinie też dowiedziałeś się ode mnie. A teraz słuchaj uważnie. Tutejsze mokradła są śmiertelnie niebezpieczne, czy to naprawdę do ciebie nie dociera? Twój plan się nie powiódł – samolot rozkraczył się na środku bagien, na których aż roi się od jadowitych węży i krokodyli. Jeden nieostrożny krok i można tu zostać na zawsze. Tylko człowiek znający mokradła jak własną kieszeń ma szansę odnaleźć transport.

Michaelson wstał z groźną miną.

– Nigdy więcej nie mów do mnie tym tonem – wycodził przez zęby. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. – Jeśli nie zjawi się Indianin, trzeba się będzie posłużyć dziewczyną. – Wendy poczuła na sobie jego wzrok. – Ona tu mieszka, a więc na pewno też zna nieźle teren.

– Jestem w stu procentach pewien, że ta lalunia doskonale zna okolice – odezwał się śniady brunet z obcym akcentem.

– Stul pysk, Pedro! – warknął Michaelson. – Pilnuj swojego nosa i nie spuszczaaj oka z dziewczyny. Jak znajdziemy samolot – jest twoja. Możesz z nią wtedy zrobić, co zechcesz, zrozumiałeś?

– *Sil* – przytaknął flegmatycznie Pedro.

Wendy poczuła, że zawartość żołądka podchodzi jej do gardła. Przełknęła z trudem ślinę, usiłując za wszelką cenę zapanować nad ogarniającym ją strachem.

– Hej! – wykrzyknął nagle Jenkins i podszedł tak blisko do Wendy, że miała wrażenie, iż za chwilę nastąpi jej na głowę. – Nasza mała wiedźma już dawno oprzytomniała, leży sobie spokojnie i podsłuchuje.

Szarpnął Wendy za ramię, zmuszając ją, by usiadła. Aż jęknęła z bólu. Rzuciła mu złowrogie spojrzenie.

– Pedro będzie się mógł nieźle zabawić – zarechotał Jenkins.

– Zostaw ją w spokoju – polecił Michaelson. – Zajmij się lepiej swoją robotą.

– Można tu umrzeć z nudów. Siedzimy tylko i czekamy. Ot i cała robota – prychnął Jenkins. Łypnął na Wendy i wyszczerzył zęby w uśmiechu – podsunął jej twarz prawie pod nos, tak że poczuła przesycony trunkiem oddech. Niewiele się zastanawiając, splunęła. Jenkins skrzywił się z obrzydzenia i uderzył ją w twarz.

– Do cholery jasnej, zostaw ją w spokoju! – wściekł się Michaelson. Wskazał ręką na okno. – Jeżeli myślisz, że McKenna to idiota, to jesteś w błędzie. Chcesz, żeby cię dopadł ze spuszczoneymi spodniami? Odwal się od niej, ty baranie!

Jenkins odepchnął Wendy, tak że upadła na podłogę, i wytarł rękawem twarz.

– Policzymy się, laluniu, później. Obiecuję ci to.

– Słyszeliście? Co to takiego? – spytał raptem Pedro.

Michaelson i Jenkins rzucili się do okna.

Wendy usłyszała kwilenie ptaka – cichutkie, ale bardzo wyraźne.

– To McKenna! – Jenkins podskoczył jak oparzony.

Wendy próbowała podnieść się z ziemi. Udało się jej usiąść. Serce waliło jej jak młotem. Skąd się tu wziął Brad? Łzy napłynęły jej do oczu –

czyżby przyszedł po nią? Przecież to była tylko jego praca – po prostu spełniał swój obowiązek.

– Jest sam – zachrypiał Jenkins. – Przy płynął zasraną łódką. W cholere z nim. Potrzebny jest nam Indianin.

Michaelson posłał Wendy złowrogie spojrzenie.

– Pamiętajcie, że mamy dziewczynę.

Wendy wytrzymała jego wzrok. Starła się za wszelką cenę opanować i udawać, że w ogóle się nie boi.

Brad nie był głupcem. Oczywiście, że nie zjawił się sam.

Michaelson wyjrzał znowu przez okno.

– Jak McKenna podejdzie odpowiednio blisko, zastrzel go jak wronę – rozkazał Jenkinsowi.

– Nie! – wykrzyknęła Wendy, przerażona.

– Przestrzel mu najpierw kolana – niech się ptaszek trochę pomęczy. A gdy już dotrze do tego zakutego łba, jaki los spotyka zdrajców – dobij go.

– Nie! – zaprotestowała znowu Wendy i wstała z ziemi, zataczając się jak pijana. – Jeżeli spadnie mu włos z głowy, nie pomogę wam odnaleźć samolotu. Cały wasz towar szlag trafi!

– Mam się nią zająć? Zrobi się zaraz potulna jak owieczka – zaproponował Pedro. Zerknął przez okno, a potem podszedł do Wendy i złapał ją za włosy. – Szefie, wystarczy jedno twoje słowo. Mam metody na takie lalunie – trochę sobie najpierw pokrzyczy, ale gwarantuję, że potem zaprowadzi nas wszędzie, gdzie tylko będziemy chcieli.

Wendy szarpnęła głową i spojrzała na niego wyzywająco.

– Nie bądź taki pewien.

– Odwal się od niej! – wrzasnął Michaelson. – I ty, Jenkins, też! –

Podszedł znowu do okna. – Gdzie on jest? Psiakrew, nigdzie go nie widzę!
Rozpłynął się czy co?!

– wybuchnął.

– Przecież musi gdzieś być – stwierdził Jenkins.

– Oczywiście, idioto, że gdzieś jest. Ale gdzie? To jakaś jego sztuczka!

Zagapili się, całą trójką, przez okno. Michaelson posłał Jenkinsowi i Pedro niezłą wiązanekę i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki pistolet. Podskoczył do Wendy i szarpnął tak, że znalazła się tuż przed nim. Przyłożył jej pistolet do głowy.

– Idziemy, słonko. Marzę o tym, by ukatrupić McKennę.

Wendy poczuła na skroni zimną stal. Jęknęła cicho z bólu, gdy Michaelson dźgnął ją pistoletem. Otworzył drzwi i wypchnął ją pierwszą na dwór.

– McKenna! Wychodź! Wychodź natychmiast! Liczę do dziesięciu. Słyszysz, McKenna? Inaczej twoja przyjaciółka pożegna się z życiem!

Wendy drżała na całym ciele, bała się nawet przełknąć ślinę. Usłyszała, że Michaelson odbezpiecza broń. Czuła na skórze twardy, zimny metal. Zamknęła oczy, by nie widzieć krwawego ciała rozpryskującego się po eksplozji.

– Zaczynam liczyć, McKenna! Masz dziesięć sekund do namysłu. Raz, dwa, trzy. No, to jak? Cztery, pięć, sześć...

Rozdział 13

Stop! – rozległo się nagle.

Michaelson cofnął nieco lufę pistoletu. Ale to nie był Brad, tylko Erie. Wychynął zza krzaków i w paru susach był tuż przy nich.

– Gdzie jest McKenna?! – krzyknął do niego Michaelson. – Ty i ta panienka będziecie mi potrzebni później, żeby wskazać nam drogę. Jak zrobicie swoje, puszcze was. Z McKenną mam stare porachunki.

– McKenna dał nogę. Zostawił mnie na lodzie, śmierdzący tchórz. – Erie splunął z pogardą na trawę. – Gdzieś się zadekował w okolicy. Daj mi trochę czasu, to go złapię.

Wendy zeszywniała, gdyż poczuła, że Michaelson przytknął jej znowu pistolet do skroni.

– Nie ze mną te numery, chłopie. Blefujesz.

– Mówię ci, jak jest. McKenna wróci tu, prędzej czy później. Złapię wtedy tego ptaszka, ale potrzebuję twojej pomocy.

Michaelson zawahał się, ale w końcu cofnął pistolet i dźgnął nim Wendy w plecy.

– Ruszaj, laluniu! Idź wolnym krokiem w kierunku Indianina. – Popchnął ją do przodu. – Jenkins! Pedro! Chodźcie tu! – wrzasnął na całe gardło.

Wendy ruszyła powoli w kierunku Erica. Z każdym krokiem grunt stawał się coraz bardziej grząski. Nogi zapadały jej się po kostki w błocie.

Zbliżała się coraz bardziej do Erica. Wlepiała w niego oczy, ale jego wzrok był nieprzenikniony.

Gdzie, u diabła, podział się Brad? – zastanawiała się w duchu.

Michaelson zadawał sobie to samo pytanie.

– Hej, czerwonoskóry! Mamy twój los, jeżeli okaże się, że coś knujesz. Jeden niewłaściwy ruch i po dziewczynie. Zabiję ją powoli, z premedytacją. Przetnę jej kark, a potem połamię wszystkie kości.

– Nic nie knuję, przysięgam – zapewnił Erie. – Ta gnida zmyła się stąd. Wolał, żeby zamiast niego zginęła Wendy. Porachuję się z nim, jak go znajdę. Ja też potrafię nieźle zabijać.

Michaelson odchrząknął, zadowolony. Wendy modliła się, żeby nie zabrakło jej odwagi. Zapadała się coraz głębiej w błoto.

– Pospiesz się, Wendy! – zawołał Erie. – Musimy znaleźć tego tajniaka! Zwiął, drań, i myślał, że ujdzie mu to na sucho!

Wendy spojrzała na niego błagalnym wzrokiem, w nadziei, że otrzyma jakiś znak. Jednak Erie zachował kamienną twarz.

Michaelson zaczął ją ponaglać.

– Nie słyszysz, co ten facet mówi? Ruszaj się zwawiej. Chcę jak najszybciej dopaść tajniaka i zatłuc go na śmierć.

– No, co tak się grzebiesz! – denerwował się Erie.

Wendy brnęła dzielnie do przodu. Michaelson przestał ją poganiać. Zaczął się wściekać na Jenkinsa i Pedra, którzy do tej pory nie zareagowali na jego wołanie.

Z każdym krokiem było jej coraz ciężiej iść. Z trudem utrzymywała równowagę. Po chwili noga tak uwięzła w błocie, że Wendy nie była w stanie jej wyciągnąć – zaczęła grzęznąć coraz głębiej w bagnie. Michaelson, który szedł tuż za nią, obejrzał za siebie i nie zauważył, że Wendy stanęła w miejscu. Zderzył się nią z takim impetem, że wypadł mu z ręki pistolet i w ułamku sekundy zatonął w błocie.

Wendy wpadła w panikę, gdyż tonęli w grzęzawisku.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął Michaelson do Erica, który przyglądał mu się lodowatym wzrokiem.

Wendy zapadła się tymczasem już pod uda. Krzyknęła przeraźliwie ze strachu.

W tym samym momencie rozległ się strzał. Michaelson zgiął się wpół. Wendy zorientowała się, że ktoś zaszedł ich z tyłu, od strony chaty.

Michaelson chwycił ją i przycisnął mocno do siebie.

– Pójdziemy na dno razem! Słyszycie!

Wendy rozplakała się. Zapadali się coraz głębiej, zasysani przez trzęsawisko.

Wendy odrzuciła głowę – z jej piersi wyrwał się rozdzierający serce krzyk.

Brad czekał we wnętrzu chaty. Usłyszał nagle przeraźliwy krzyk i zorientował się natychmiast, że to Wendy.

Do tej pory wszystko szło jak po maśle. Ułożyli z Erikiem misterny plan. Oczywiście nie mieli żadnej gwarancji, że im się powiedzie, ale musieli zaryzykować.

Jakoś się udało. Brad zaskoczył Michaelsona, Jenkinsa i Pedra tym, że zjawił się ni stąd, ni zowąd przed chatą. A potem zniknął – przycisnął się po prostu za domem.

Michaelson połknął haczyk i wyruszył do Erica, wlokąc ze sobą Wendy. Brad miał kilka minut na to, by unieszkodliwić pozostałą dwójkę. Starał się trzymać nerwy na wodzy, powtarzając sobie, że to rutynowa akcja. W rzeczywistości było to najcięższe zadanie w jego życiu.

Pedro i Jenkins gapili się przez okno i niczego nie zauważyli. Jenkins zorientował się, że coś jest nie tak, dopiero gdy Brad zdzielił Pedra w głowę kolbą karabinu. Jenkins był otyły, dlatego zupełnie nie miał szybkości. Brad przyłożył mu, bezlitośnie, kolaniem w brzuch i walnął go z całej siły w policzek kolbą karabinu – był pewien, że złamał bandziorowi szczękę.

W pewnym momencie usłyszał krzyk Wendy. Serce skoczyło mu do gardła. Wybiegł z chaty. Zobaczył, że Erie próbuje dotrzeć jak najszybciej do Wendy, która tonęła w bagnie. Michaelson trzymał ją w żelaznym uścisku – zapadali się w szybkim tempie coraz głębiej.

– Puść ją natychmiast! – wrzasnął Brad dzikim głosem.

Tymczasem Erie dotarł w pobliże czarnego bajora, w którym grzęzła Wendy ze swoim oprawcą. Wyciągnął do niej rękę, ale nie mógł jej dosięgnąć.

Brad, nie zważając na niebezpieczeństwo, rzucił się na pomoc. Pogrzyżył się natychmiast w błocie, które zaczęło go wciągać w głąb, niczym żywa, diabelska istota. Ale dla niego liczyło się tylko jedno – uwolnić Wendy jak najszybciej z rąk Michaelsona, zwłaszcza że bagno wchłonęło ją już powyżej pasa.

– Brad! – wyszeptała jego imię. Była blada jak śmierć i cała umazana błotem. Trzęsła się do tego jak w febrze.

Brad rzucił się na Michaelsona, mobilizując wszystkie siły. Szarpnął go za rękę, zmuszając, by poluzował uścisk. Na próżno.

– Nic z tego! – syknął Michaelson do Brada. – Zdechniesz tu razem ze mną.

Brad uderzył go z całej siły pięścią w szczękę – głowa odskoczyła mu

do tyłu, ale się nie poddał. Zamierzył się i próbował oddać cios, ale trafił w powietrze.

Brad odwrócił się i spróbował przepchnąć Wendy w stronę Erica. Musiał się spieszyć, bo zapadła się już po brodę.

– Podaj mi rękę! – krzyknął do niej, wyprężając się jak struna. Udało mu się chwycić jej dłoń. Zacisnął kurczowo palce, żeby się mu nie wyslizgnęła. Modlił się i klął na zmianę. Ciągnął z całej siły, aż ręka z głośnym plaśnięciem wydostała się z błota. Erie złapał błyskawicznie za nadgarstek. Niemal w tym samym momencie Brad spostrzegł kątem oka, że Michaelson przymierza się do uderzenia. Zrobił w porę unik, ale zapadł się głębiej.

– Zdechniesz tu, gliniarzu, razem ze mną! – wykrzyknął Michaelson i zaśmiał się szyderczo.

– Nie jestem gliniarzem. Jestem tajnym agentem Brygady Specjalnej do spraw Narkotyków – stwierdził i uprzytomnił sobie natychmiast, że w tej sytuacji zabrzmiało to wręcz śmiesznie.

– Brad! – zawołała Wendy. Obejrzał się i zobaczył, że Ericowi udało się wyciągnąć ją z bagna. Była od stóp do głów utyłana w błocie, ale cała i zdrowa.

On tymczasem zapadł się już prawie po szyję.

– Brad! Spróbuj mnie złapać za rękę! – krzyknęła.

– Chwyć ją za rękę! – zawołał Erie. Wendy wyciągnęła się jak długa na ziemi i starała się dosięgnąć Brada. Erie trzymał ją mocno za nogi.

Bradowi serce waliło jak młotem. Nie, Wendy, nie. Daj spokój. Jesteś już bezpieczna. Uciekaj stąd jak najszybciej.

Przeze mnie to wszystko! – przemawiał do niej w myślach.

– Do cholery jasnej, chłopie! Przecież wiem, co robię! – ryknął Erie.

Brad poczuł, że opada z sił. Nie mógł ruszyć ręką – po prostu nie był w stanie zdobyć się na taki wysiłek.

– Brad! – krzyknęła znowu Wendy. Dodało mu to otuchy. Jakimś cudem uwolnił ramię z błota. Wendy zacisnęła kurczowo palce na jego dłoni. Erie zaczął ciągnąć ją z całej siły za nogi. Brad przymknął oczy – poczuł się, jakby uczestniczył w jakimś dziwnym przeciąganiu liny między Erikiem a matką ziemią, która powoli zaczęła się poddawać.

Brad zorientował się, że błoto go puszcza. Bagno protestowało, wydając przeraźliwy bulgot, ale raptem skapitulowało – Brad wylądował na brzegu.

Erie i Wendy dostali napadu nerwowego śmiechu.

– Ty śmierdzący, zawszony... – Michaelson nie dokończył zdania. Zniknął z powierzchni ziemi, pogrążając się po czubek głowy w bagnie.

O mały włos skończyłbym tak samo, pomyślał Brad. Wendy też niewiele brakowało. Nagle przeszły go ciarki, gdyż kątem oka dostrzegł ludzką sylwetkę. Wendy zorientowała się z miny Brada, że coś jest nie w porządku. Obejrzała się i zobaczyła mężczyznę, który przyglądał się całej trójce niemal z rozbawieniem. Miał siwe włosy, niebieskie oczy, smukłą figurę – przypominał jej mężczyznę, który ją napadł nad brzegiem kanału. Tyle że tamten miał wzrok bazyliuszka, ten natomiast patrzył na nich z zadziwiającą łagodnością.

– Purdy! – zdumiał się Brad. – Co pan tu robi?!

L. Davis Purdy wpatrywał się w nich, trzymając się pod boki.

– McKenna, uganiem się jak dureń po całych mokradłach, wlokąc ze sobą tego wyjątkowego staruszka, i na co się w końcu natykam? – Urwał i

przesunął się trochę na bok, odsłaniając Williego. – Na ciebie, utyłanego po czubek głowy w błocie.

– McKenna, zdaje się, że za bardzo się wczułeś w rolę – wtrącił się młody mężczyzna, który towarzyszył Purdy’emu. Był sporo niższy od szefa, ale równie szczupły i wysportowany. Miał rude włosy i usianą piegami twarz.

– Gary. – Brad rozpoznał kolegę z brygady.

– Co to za jedni? – zainteresował się Erie.

– Erie, Wendy, pozwólcie, że wam przedstawię – mój szef, pan Davis Purdy, a to Gary Henshaw.

Wendy wyciągnęła rękę na powitanie i dopiero wtedy uprzytomniła sobie, jak bardzo jest brudna. Purdy uśmiechnął się tylko i uściśnął jej dłoń.

– Miło mi panią poznać. Pana też – zwrócił się do Erica.

Wendy posłała Purdy’emu niepewny uśmiech, po czym podbiegła do dziadka i rzuciła mu się na szyję.

– Jak pan tu trafił? – spytał Brad szefa. Zerknął na Williego.

– Stary Mac, ten ze stacji benzynowej, zawiózł nas do domu Wendy. Zastaliśmy tam pana Hawka, a on z kolei przyprowadził nas tutaj. – Uśmiech zastygł nagle na twarzy Purdy’ego. – A gdzie się podział Michaelson? Czyżby utonął w bagnie?

Brad skinął głową.

– Może to i lepiej – mruknął szef i wykrzywił usta w uśmiechu. – Wyglądacie jak dwa strasydła.

Gary Henshaw zachichotał.

– Przeszukaliśmy chatę. Pedro odzyskał przytomność, ale nie był w

stanie zrobić kroku.

– Dlaczego? – zdziwił się Brad.

– Pantera przyczaiła się w kącie i czekała tylko, aż się facet poruszy. Już ją chciałem zabić, ale powstrzymał mnie w ostatniej chwili pan Hawk. Podobno to urocza kocica.

– To Dzidzia! Jest naprawdę bardzo łagodna – wyjaśnił Brad.

– Ach tak? – Purdy posłał Gary’emu znaczące spojrzenie. – Popatrz, spędził tydzień na mokradłach i całkiem pomieszało mu się w głowie. Tarza się w błocie, uważa, że ogromna, ważąca tak na oko ponad sto kilo pantera to urocze kociątko.

Brad i Erie wybuchnęli śmiechem.

– No, dobra. Dostyc żartów. Pora zacząć działać. Musimy jeszcze zabrać parę rzeczy z chaty. A ty, McKenna, powinieneś wziąć prysznic. – Purdy odwrócił się na pięcie i ruszył energicznie w stronę domku.

Brad nie miał najmniejszych szans pozostać choć na chwilę sam na sam z Wendy.

Purdy polecił Gary’emu udać się do wioski Williego i wesprzeć, w miarę możliwości, rodzinę Hawków. Chciał, żeby Wendy i Erie złożyli zeznania. Zgodził się, by najpierw wrócili do domu, żeby się wykapać i przebrać. Brad miał mu towarzyszyć. Trzeba było jak najszybciej przesłuchać Charliego Jenkinsa i Pedra.

Brad zobaczył, że Wendy ma łzy w oczach – zrozumiała, że to koniec. Ścisnęło mu się serce. Pragnął odtrącić wszystkich na bok, podbiec do niej i porwać ją w ramiona. Powiedzieć jej, że nic nie jest w stanie stanąć na przeszkodzie ich miłości. Zabrakło mu odwagi.

– Brad, no chodź! – ponaglił go Purdy, zniecierpliwiony.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Brad wpadł w wir zajęć. Purdy wziął Jenkinsa i Pedra w krzyżowy ogień pytań. Rozwiązały im się języki. Purdy chciał się dowiedzieć coś więcej o samolocie z towarem dla Michaelsona. Wyciągnął z nich, że maszyna rozbiła się dwa dni temu gdzieś na mokradłach. Pilot, prawdopodobnie zginął, bo nie udało się im nawiązać z nim kontaktu radiowego. Jenkins zrobił na ziemi szkic, wskazując przypuszczalne miejsce wypadku. Gdy przesłuchanie dobiegło końca, zaczął błagać, żeby zawieziono go do lekarza, bo trzeba mu było złożyć szczękę.

Purdy polecił jednemu ze swoich ludzi, który odbył szkolenie medyczne, aby zajął się Jenkinsem. Młody człowiek dał Jenkinsovi tabletkę przeciwbólową i zrobił tymczasowy opatrunek.

– Niedługo będzie tu helikopter, weźmie cię do szpitala – zapewnił Jenkinsa Purdy.

Dosłownie po kilku minutach rozległ się dźwięk nadlatującego śmigłowca. Ponieważ nie mógł wylądować na bagnie, zawisł im nad głową w bezpiecznej odległości. Obu zatrzymanych, najpierw Jenkinsa, a potem Pedra, przetransportowano w specjalnym koszu. Po chwili helikopter odleciał.

Zajmie się nimi z pewnością lekarz więzienny, pomyślał Brad. Staną przed sądem nie tylko pod zarzutem przemytu narkotyków, ale również porwania.

Purdy postanowił włączyć do akcji oddział specjalny, który miał przeczesywać mokradła w poszukiwaniu samolotu. Wezwał asystę powietrzną, by patrolowała całą okolicę. Dopiero gdy już zorganizował wszystko, zwrócił uwagę na Brada. Obejrzał go od stóp do głów – był cały

w błocie, które zdążyło już na nim zaschnąć.

– McKenna, twoje zadanie skończone. Zabieraj się stąd. Musisz się doprowadzić do ładu.

– Szefie, zdążyłem się ostatnio nieźle zapoznać z tutejszą okolicą. Mogę się przydać przy poszukiwaniach samolotu.

– Brad! Powiedziałem ci, że dla ciebie to już koniec akcji. Potrzebny mi jesteś teraz na miejscu, w biurze, do sporządzenia raportów i złożenia oficjalnego zeznania.

Brad westchnął ciężko.

– Nawet nie mam się gdzie wykąpać, bo mój dom zmiotła bomba. Nie mam niczego, nawet ubrań. Całe szczęście, że nie miałem psa, bo byłoby i po nim!

Purdy poklepał go po plecach.

– Wynająłem ci całkiem przyzwoity apartament z widokiem na morze. Zorganizowałem też trochę ubrań. Na stole w kuchni czeka na ciebie czek z niezłą sumką. Pamiętaj tylko, że jeszcze w tym tygodniu musisz zjawić się w biurze, żeby załatwić wszystkie niezbędne formalności, by można było rozpocząć proces przeciwko Jenkinsowi i temu drugiemu.

Apartament wynajęty przez szefa okazał się całkiem przyzwoity, a jednak Brad czuł wokół siebie potworną pustkę. Nie miało to jednak nic wspólnego z mieszkaniem.

Nastawił muzykę, opadł na kanapę i przymknął oczy. Zastanawiał się, czy uda mu się powrócić do dawnego życia.

A więc tak: najpierw weźmie prysznic i się ubierze. Potem pójdzie do biura i gdy załatwi już całą papierkową robotę, wybierze się z kolegami do

nocnego klubu na drinka, żeby opić zakończoną akcję. Może spotka jakąś interesującą kobietę – przystojną, inteligentną, z którą będzie się mógł zabawić, bez żadnych zobowiązań. Może nawet spędzą ze sobą noc, zjedzą następnego ranka śniadanie.

Nagle podjął męską decyzję: nie pójdzie po pracy nawet na piwo, tylko pojedzie prosto do Wendy.

Niestety, los pokrzyżował jego plany. Gdy zjawił się w biurze, okazało się, że sędzia śledczy przesłuchiwał Wendy, ale zdążyła już wyjść.

– Jak to, wyniosła się stąd zaraz po przesłuchaniu?

– spytał Gary’ego, zawiedziony.

– Zostanie wezwana jeszcze raz, przed rozprawą.

– Nie chodzi mi o to. Po prostu sobie poszła, tak?

– zawahał się. – Nie zostawiła przypadkiem żadnej wiadomości?

Gary pokręcił przecząco głową. Brad nic z tego nie rozumiał.

Poproszono go, żeby złożył zeznania. Odpowiedział na wszystkie pytania pozbawionym emocji głosem, po czym zabrał się do roboty. Gdy skończył, wrócił do swojego pustego apartamentu.

Wypił piwo, potem drugie. Chwycił za słuchawkę, ale uprzytomnił sobie, że Wendy nie ma telefonu.

Nie zostawiła mu żadnej wiadomości. Nawet się z nim nie pożegnała. A przecież tyle między nimi zaszło.

Otworzył kolejne piwo. I jeszcze jedno. Zasnął dopiero o trzeciej nad ranem, z jej imieniem na ustach. Nie wiedział, czy ma ją błogosławić, czy przeklinać.

Wendy doszła do wniosku, że niewątpliwą zaletą mieszkania w

samotności, jest to, że można robić, co się chce. Przez kilka dni miała nadzieję, że Brad ją odwiedzi.

Śniła w nocy, że się budzi i widzi go, stojącego w drzwiach sypialni. Ma na sobie dżinsowe spodnie i koszulę Leifa. Podchodzi do łóżka, pochyla się nad nią i bierze ją na rękę.

Jednak za każdym razem budziła się sama jak palec. Czasem na łóżku leżała wyciągnięta leniwie Dzidzia. Wendy zrzucała ją, wściekła, na podłogę.

Zaczęła znowu pracować dla Erica, ale jakoś nie mogła się skoncentrować. Pewnego dnia szwagier przyłapał ją na tym, że wpatruje się w kartki książki, która leży do góry nogami. Usiadł naprzeciwko niej i zadumał się na chwilę.

– Może pojechałabyś do Lauderdale odwiedzić Brada?

– zasugerował.

Wendy potrząsnęła głową.

– Gdyby miał ochotę się ze mną zobaczyć, już dawno by wpadł z wizytą.

– A jeżeli on myśli dokładnie to samo?

– Byłam w jego biurze, ale go to zupełnie nie obchodziło.

– Może miał sto tysięcy spraw na głowie i po prostu zabrakło mu czasu.

Posłuchaj. W przyszłym tygodniu wybieram się z przyjaciółmi na obiad do meksykańskiej restauracji „Las Olas”. Podrzucę cię do Brada. W razie czego zawsze będziesz mogła dołączyć do nas.

– To nie ma najmniejszego sensu. W jego życiu nie ma dla mnie miejsca.

Erie uśmiechnął się dobrodusznie. Wziął ją za rękę.

– Wendy, miłość potrafi zmienić wiele w życiu każdego człowieka.

– Kto ci powiedział, że Brad się we mnie zakochał?

– wyszeptała.

Erie wzruszył ramionami.

– Nikt. Nie jestem ślepy. Dziadek mówi, że w życiu należy się zawsze kierować sercem.

– Dam ci znać, jeśli zdecyduje się zabrać z tobą do miasta – odparła po dłuższej chwili.

W piątek Wendy najpierw się wykąpała, potem umyła włosy, zrobiła manicure i pedicure i wyprasowała sukienkę.

Zrobiła się godzina czwarta. Krzątała się po domu z mokrą głową, ubrana w szlafrok do kostek. Zastanawiała się, co ma powiedzieć Bradowi. Że była z wizytą po sąsiedzku i postanowiła do niego zajrzeć? A jak zostanie u niego jakąś kobietę?

Powoli opuszczała ją odwaga. Nagle usłyszała samochód Erica. Zdziwiła się, bo umówili się na siódmą wieczorem. Wyszła mu naprzeciw.

– Wziąłem po drodze pocztę dla ciebie. – Podał jej plik listów. – Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy przypadkiem się nie rozmyśliłaś.

– Sama nie wiem... – zaczęła niepewnym głosem.

– Przyjadę po ciebie tak, jak się umawialiśmy – oznajmił stanowczo i zniknął.

Wendy postanowiła pójść tylko na obiad z Erikiem i jego przyjaciółmi. Pomyślała, że może się trochę rozerwie.

Poszła do łazienki i przyjrzała się sobie w lustrze. Była blada jak śmierć. Stwierdziła, że wszelkie starania, by dobrze wyglądać, zdały się na

nic.

Przeszła do kuchni i przerzuciła pocztę – jak zwykle, kilka rachunków, reklam. Wzdrygnęła się na widok koperty zaadresowanej przez biuro Brada. Przeczytała list. A potem jeszcze raz. Zrobiło jej się przykro.

W kilku zdaniach dziękowano jej za udzielenie pomocy ich tajnemu agentowi. Choć intencje mieli z pewnością jak najlepsze, zmroził ją oficjalny ton listu. Rzuciła go z furią na ziemię i zaczęła deptać jak szalona.

– Ty draniu! – zaklęła. Pobiegła do sypialni, rzuciła się na łóżko i szlochała jak małe dziecko.

Po jakimś czasie opamiętała się, gdyż poczuła, że nie jest sama w pokoju.

Tak jak we śnie, Brad stał w drzwiach, tyle że miał na sobie przyzwoity granatowy garnitur, białą koszulę i krawat. Było mu wyjątkowo do twarzy w granacie. Włosy miał zaczesane do tyłu, oczy trochę zapadnięte, twarz lekko wychudzoną. Ale najważniejsze, że był.

Wendy przyglądała się palcami mokre włosy. Wszystko tak dobrze zaplanowała. Zamierzała się zjawić u niego zadbana i pewna siebie. Tymczasem zaskoczył ją w momencie, gdy wyglądała jak zmokła kura.

Nawet nie próbowała nadrabiać miną. Zerwała się z łóżka.

– Ty draniu! – syknęła.

– Ja... Ja pukałem. Nikt mi nie odpowiedział. Wendy ruszyła ku niemu niczym furia.

– Wpuściłam cię do swojego domu. Nakarmiłam, ubrałam, dałam schronienie. Moje życie wywróciło się do góry nogami. Porwali mnie handlarze narkotyków. I co otrzymałam w zamian? Puste słowa

podziękowania! – zaczęła go okładać pięściami. – I to nawet nie od ciebie, tylko oficjalnie, z departamentu! Nienawidzę cię! Brzydzę się tobą. Jesteś pożałowania godnym niewdzięcznikiem! – Zamachnęła się, ale chwycił ją za rękę i przycisnął mocno do siebie.

Próbowała mu się wyrwać.

– Nie przyszedłeś się nawet ze mną zobaczyć, gdy byłam się w twoim biurze. Gdzie się wtedy podziewałeś, co? Niech cię szlag trafi, McKenna! Wynoś się stąd!

Brad porwał ją raptem na ręce. Wendy objęła go odruchowo za szyję i spojrzała mu prosto w oczy.

– Usiłowałem się z tobą zobaczyć – oznajmił spokojnym tonem i skierował się od razu w stronę łóżka.

Położył ją na łóżku i poluzował pasek od szlafroka – poły rozsunęły się, ukazując nagie ciało.

Pochylił się i pocałował ją w brzuch. Wendy wsunęła mu dłonie we włosy.

– Zamierzałam odwiedzić cię dzisiaj wieczorem. Zaplanowałam wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Miałam włożyć jedwabną sukienkę i wyszykować się tak, żeby wyglądać jak najpiękniej.

– Ty zawsze wyglądasz pięknie – wyszeptał Brad.

– Jesteś potwornym, wstrętnym skurczybykiem. Nienawidzę cię – westchnęła.

Czuła na skórze gorące usta, muskające delikatnie jej ciało.

Brad uniósł głowę i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Wendy, czy chcesz zostać moją żoną?

Nie odpowiedziała. Oniemiała ze zdumienia.

– Wszystko sobie przemyślałem. Rozumiem, co czujesz, ale może zgodzisz się na kompromis. Kocham cię, Wendy. Nie jestem w stanie całkowicie zmienić swego życia, ale nie chcę być dłużej sam. Zresztą, myślę, że i ty mnie kochasz. Potwornie za tobą tęskniłem. Wciąż miałem nadzieję, że pogodzisz się z moim zawodem. Ze do mnie zadzwonisz...

– Ty też nie zadzwoniłaś do mnie! – zaprotestowała Wendy.

– Przecież nie masz telefonu! – uprzytomnił jej Brad. – To jedna z pierwszych rzeczy, które musimy załatwić.

– Czy to znaczy, że zamierzasz się wprowadzić do mnie? – spytała z niedowierzaniem.

– Obliczyłem, że dojazd do pracy zajmie mi około godziny. Gdy pracowałem na Manhattanie, też spędzałem dobrą godzinę w samochodzie. Zamierzam pozostać w Brygadzie Specjalnej do spraw Narkotyków, ale wycofać się z pracy w terenie. Chcę spędzać noce w domu, z tobą. Tutaj.

– Ze mną, tutaj... – powtórzyła Wendy jak echo.

Brad zrzucił na podłogę krawat, potem marynarkę, kamizelkę i koszulę. Wendy przyglądała mu się w milczeniu, zupełnie oszołomiona.

Na podłodze wylądowały tymczasem buty, a potem spodnie. Wendy zadrżała z podniecenia. Brad wyciągnął się przy niej i przywarł delikatnie do jej ust. Zaczął ssać dolną wargę, lewą ręką pieścił jej ciało – najpierw piersi, potem sklepienie ud. Zabrakło jej na moment tchu.

– Więc jak będzie? – spytał szeptem.

Wendy nie rozumiała, o co mu chodzi. Odpowiadała żarliwie na jego pocałunki i pieściła z wielką namiętnością jego ciało. Sądziła, że jest wystarczająco przekonująca.

Brad pocałował ją przelotnie w usta i wtulił na moment gładko

wygolony policzek w jej szyję. Spojrzał jej znowu prosto w oczy.

– Chcesz wyjść za mnie?

– Tak! Brad. Tak!

– W porządku – uśmiechnął się uszczęśliwiony. – Tak bardzo się za tobą stęskniłem – wyszeptał. – Nie jestem w stanie bez ciebie żyć.

Wendy oplotła go ramionami.

– Kocham cię. Kocham cię i już nigdy nie pozwolę ci odejść.

Brad mruzczał coś pod nosem, ale nie rozumiała z tego ani słowa. Gdy się połączyli, zapomniała o całym świecie.

Leżeli obok siebie, rozmarzeni i senni. Kochali się kilka razy, jakby chcieli nadrobić stracony czas. Nagle dotarł do nich dźwięk motorka – ktoś przyплыł łódką.

– O Boże! – Wendy usiłowała zerwać się z łóżka, ale jakiś ciężar przygniótł jej nogi. To Dzidzia wyciągnęła się leniwie na łóżku – nie wiadomo kiedy.

– Dzidzia, zjeżdżaj stąd! – rozkazał Brad. Pantera prychnęła, niezadowolona. Brad popchnął ją lekko. – No, wynoś się!

Pantera w końcu posłuchała. Wendy uśmiechnęła się do siebie. Wstała i pospiesznie narzuciła szlafrok.

– To Erie – poinformowała Brada. Zmarszczył brwi, założył ręce za głowę i rozparł się wygodnie w łóżku. – Hej! Ty! – Wendy dała mu kuksańca w bok. – Wstawaj!

Brad wyskoczył z pościeli i założył spodnie.

– Erie od razu się zorientuje, co myśmy wyprawiali.

– Przecież miał cię zabrać dzisiaj wieczorem do miasta. Dobrze

wiedział, po co, nie sądzisz?

– Mieliśmy jechać po prostu na obiad! – skłamała na poczekaniu. Brad skwitował jej słowa śmiechem i wyszedł z sypialni.

Wendy przewiązała szlafrok w pasie. Usłyszała, że Brad wita się z Erikiem. Przyczesła włosy i wyszła do przedpokoju. Wpadła prosto w ramiona Brada.

– Erie zgodził się być świadkiem na naszym ślubie. Myśli, że Willie będzie w siódmym niebie, gdy się dowie, że poprosiłem cię o rękę. Mówi, że jest gotów się poddać i założyć w wiosce telefon.

Wendy wybuchnęła śmiechem. Erie ucałował ją serdecznie.

– Mówiłem ci, że trzeba kierować się sercem – szepnął jej do ucha. – Masz szampana? Powinniśmy to uczcić.

Wendy miała butelkę szampana, ale nie schłodzoną. Wcale się tym nie przejęli. Wrzucili po prostu do kieliszków kostki lodu i wznieśli toast.

Dwa miesiące później odbył się ślub. Willie poprowadził Wendy do ołtarza. Wyglądała pięknie. Miała na sobie długą, szaroniebieską suknię, dokładnie w kolorze oczu.

Gdy zostali w końcu sami, Brad powiedział jej, że jest najpiękniejszą panną młodą, jaką widział kiedykolwiek w życiu.

– Jestem taka szczęśliwa, że się pobraliśmy – szepnęła, rumieniąc się lekko. Przed sekundą bowiem Brad stwierdził, że ma cudowną suknię, ale z wielką rozkoszą rozbierze ją do naga.

– Ja też jestem szczęśliwy – odparł jej mąż, trochę nieobecny, gdyż całą uwagę skupił na licznych haftkach, które z trudem poddawały się jego palcom.

– Przede wszystkim ze względu na cudownego, małego potomka – wtrąciła nieśmiało Wendy.

– Mhm... – mruknął, walcząc z kolejną haftką. Nagle oprzytomniał.

– Co mówisz?

– Może będzie miał złote włosy i oczy koloru miodu, tak jak ty... Tylko nie wiem, co ty na to? – spytała go drżącym głosem.

– Ja... ja... – Przez chwilę nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Po prostu zabrakło mu słów, by powiedzieć, jak bardzo ją kocha i jak szalenie się cieszy, że będą mieć dziecko.

Pochylił się więc nad nią i wszystko to wyraził pocałunkiem.